



AGNIESZKA
WALCZAK-CHOJECKA

NIE CZAS
NA ZAPOMNIENIE

Saga Bałkańska



FILIA

AGNIESZKA
WALCZAK-CHOJECKA

NIE CZAS
NA ZAPOMNIENIE

Saga Bałkańska

Tom II

FILIA

*Najdroższej Gabi.
Oby jej pamięć mogła gromadzić tylko skarby*

*Pomiędzy nami i niebem
jedynie zapomnienie.
Słońce jest drogowskazem
do drugiej strony
wygnania.*

Dragan Dragojlović[\[1\]](#)

[\[1\]](#) Fragment wiersza *Ci, którzy mogliby wrócić*, Antologia współczesnej poezji serbskiej, wybór i tłumaczenie Grzegorz Walczak, Wydawnictwo Książkowe IBIS, 2015.

ROZDZIAŁ 1

Mostar, listopad 1993

Bywają sny, które nigdy nie powinny się przyśnić, wspomnienia, co ranią pamięć, próżne nadzieje, które odbierają siły.

Gdyby Jasmina zamknęła oczy, zapewne mogłaby wyobrazić sobie ładną parę brodzącą po błękitnej wodzie Zatoki Kotorskiej i potrafiłaby usłyszeć rytmiczny koncert cykad ukrytych w konarach drzew piniowych. Jednak w jej sercu czaiło się zbyt wiele mroku, by poddała się tak beztróskim wizjom. Była dziewczyną, która w krótkim czasie została pozbawiona przeszłości i przyszłości, straciła naiwną wiarę w to, że dobro prędzej czy później zwycięży.

Koryto Neretwy niczym wielka tuba z wielokrotnością odgłosy wojny. Wojny, przed którą młoda bośniacka Chorwatka starała się uciec, a która dopadła ją także tutaj, w Mostarze.

Ciszę rozdarł przeraźliwy huk.

– Jasmina, wstawaj! Zobacz, co się dzieje! – Do pokoju wpadł młody chłopak. Stał przy oknie i sprawnym ruchem odsunął zasłonę. – Walnęli w most. Wyobrażasz to sobie?

– W Stary Most? – Jasmina nie mogła uwierzyć. – Kto się na to odważył, Serbowie?

W przepięknym, pochodzącym z czasów osmańskich Turków moście w kształcie półksiężyca ziała wielka dziura. Na nic się zdały metalowe spoiwa łączące czterysta pięćdziesiąt sześć bloków białego marmuru i wiara dawnego sułtana Sulejmana Wspaniałego w to, że dzieło, które zlecił genialnemu budowniczemu, przetrwa burze historii. Pocisk wystrzelony z czołgu sprawił, że wielki kawał mostu runął do rzeki.

– Coś mi się zdaje, że pocisk nadleciał z chorwackiej strony... – Tarik spojrzał na Jasminę z wyrzutem, zupełnie jakby to ona była winna zamachowi na najważniejszy zabytek Bośni i Hercegowiny.

– Nie wierzę – rzekła pełna oburzenia.

Mosty... Dwa brzegi rzeki wydają się ze sobą związane na zawsze. Nagle pęka betonowa wstęga i brzegi stają się odległe, jakby nigdy wcześniej nie dzieliły wspólnego losu. Tak jak ludzie, których jeszcze przed chwilą łączyło silne uczucie, a teraz nie chcą pamiętać swoich imion.

Przyjaźń, która zmieniła się w chęć zemsty, miłość przemieniona w nienawiść... Czy istnieje bardziej niszczycielska siła?

Gdy Jasmina opuszczała obleżone Sarajewo, nie przypuszczała, że wpadnie z deszczu pod rynnę. Mostar zdawał się jej lepszym schronieniem niż odcięte od świata rodzinne miasto, na które codziennie spadały setki pocisków. I dopiero w podróży uświadomiła

sobie, że należy do nacji, której przywódcy niespodziewanie przeskoczyli z jednej strony barykady na drugą, co sprawiło, że relacje między zwykłymi mieszkańcami kraju skomplikowały się jeszcze bardziej.

W pierwszym etapie wojny Chorwaci stali po stronie Armii Bośni i Hercegowiny i wspierali Muzułmanów w walce z Serbami, nagle jednak postanowili uszczknąć coś dla siebie z wojennego tortu i obrócili się przeciwko dotychczasowym sojusznikom. Mówiono, że już dawno zawarto porozumienie, na mocy którego Bośnia i Hercegowina miała zostać podzielona między Serbię i Chorwację. Muzułmanom, którzy stanowili najliczniejszą z nacji byłej republiki Jugosławii, chciano pozostawić niewielki skrawek ziemi. Alija Izetbegović zaś od początku nie wyobrażał sobie poszatkowania terytorium i rozdzielenia trzech narodów, których przedstawiciele zmieszani byli ze sobą niczym ziarna w korcu maku. Stworzenie terenów czystych etnicznie nie mieściło mu się w głowie – nie zamierzał się poddawać.

Muzułmańska dzielnica pięknego Mostaru usytuowana po wschodniej stronie Neretwy, w której zatrzymała się Jasmina, znalazła się w kleszczach. Na wzgórzach nad miastem stacjonowały serbskie wojska, a z przeciwległego brzegu rzeki spadały na mieszkańców chorwackie pociski.

Dziewczyna patrzyła przez okno na pejzaż wojenny namalowany ludzką ręką i coraz bardziej się w sobie kuliła. W sercu nosiła podobne pobojuwisko.

Gdy zamykała oczy, wciąż widziała siebie w małym sarajewskim mieszkaniu Harisa. Było ciemno, tylko lipcowe niebo za oknem co pewien czas rozświetlały artyleryjskie wystrzały. Czekala na Dragana, który udał się po kilka drobiazgów do swojego domu i miał niebawem wrócić. Planowali ucieczkę z miasta przez podziemny tunel, jak szczury. I tak byli nimi od dawna, kryjąc się przed śmiercią po mrocznych piwnicach.

Jednak zdawało jej się, że na końcu ciemnego tunelu odnajdzie światło. Miała nadzieję, że gdy wydostaną się z Sarajewa pogrążonego w bratobójczej walce, znów nauczy się uśmiechać. Zapomni o silnych lędźwiach Ivana Katicia, o jego szorstkich, chciwych dłoniach, o oddechu cuchnącym tytoniem, o chłodzie metalowej sprzączki paska spuszczonej spodni, raniącej jej uda... I o nagłym zdziwieniu w oczach serbskiego watażki, gdy ciężki świecznik trzymany przez Dragana roztrzaskał mu głowę.

Było coraz później, a chłopak Jasminy nie wracał. Leżała na łóżku zwinięta w kłębek, jakby w półśnie, zawieszona między rzeczywistością a pragnieniem, by to wszystko już się skończyło. I ten łoskot wystrzałów, i strach, i uczucie splugawienia, które jak rdza wżerało się w każdą komórkę jej ciała... Chciała zapomnieć o tym strasznym wieczorze, ostrym cięciem amputować go z pamięci. Gdyby istniały jakieś pigułki, które pomagają wymazać z głowy niechciane zdarzenia choćby za cenę całkowitej utraty wspomnień...

Obiecała Draganowi, że jeśli do wieczora nie wróci, sama poszuka wejścia do tunelu, że będzie się ratować. Przekonał ją, że musi to zrobić, bo wcześniej czy później przyjdą po nią ludzie Katicia. Oni nie wybaczą. Nigdy. Przysięgła chłopakowi, że będzie działać. Ale czy miała na to siłę? Poza tym, czy Tunel Spasa^[2] naprawdę istniał? Może to tylko mrzonka, wytwór wyobraźni sarajewian spragnionych choćby nikłego promyka nadziei...

Ściągnęła z siebie przykrycie, usiadła. Która to godzina? Powinna się ruszyć. Coś musiało przeszkodzić Draganowi w dotarciu na Dobrinję. Pewnie spotkają się koło

lotniska, w tym domu, w którym ukryte jest wejście do tunelu. Trzeba tylko uważać, bo po drodze można się natknąć na bośniackie patrole. By wydostać się z miasta, potrzebne są papiery, a ona ich nie miała. Wojskowi wcale nie chcą, by nagle połowa mieszkańców opuściła Sarajewo, a już na pewno nie młodzi i zdrowi. Kto będzie wówczas bronił miasta? No i Serbowie nie przestawali strzelać. Już samo dojście do lotniska w taki sposób, by nie zwrócić na siebie uwagi snajperów, było prawdziwym wyzwaniem. Wiedziała jednak, że musi spróbować. Tylko że nagle zakręciło jej się w głowie.

Dotknęła dłonią czoła, było rozpalone. Czarne plamy wirowały jej przed oczami. Próbowwała się skupić, by zobaczyć światło na końcu tunelu, które ją wzywa, lecz otaczała ją gęsta, lepka ciemność lipcowej nocy i bezradność. Odpłynęła.

– Jasmina, co z tobą? – usłyszała nad sobą głos Harisa. Postawny mężczyzna klepał ją po policzkach, żeby się ocknęła.

Jasmina nie miała pojęcia, jak długo leżała bez świadomości. Musiało to trwać jednak dobrych kilka godzin, bo gdy otworzyła oczy, przez brudne, popękane szyby mieszkania zobaczyła wpadające do pokoju promienie słońca.

– Boże, która godzina? Dragan na mnie czeka! – chciała usiąść na łóżku, ale nie miała siły.

– Leż spokojnie, jesteś chora – po twarzy przyjaciela przemknął dziwny grymas.
– Pomóż mi wstać, muszę biec do niego.
– Jasmina, jesteś rozpalona, masz chyba wysoką gorączkę. Przyniosę termometr. Miałem go gdzieś w kuchni... – nie patrzył jej w oczy.

Czuła, że coś się stało. Nie wiedziała, skąd to przeczucie, bo przecież Haris niczego jej nie powiedział, ale ona miała intuicję dużo silniejszą niż większość kobiet. I nie chodziło tu o jej własną chorobę, której nabawiła się zapewne ze zgrozoty po tym, co ją spotkało w domu serbskiego watażki.

Gdy Haris znów do niej podszedł, złapała go za rękę.
– Wiesz, gdzie jest Dragan? – wyszeptała.
– Jasminka, nie teraz... Musisz najpierw odpocząć, potem pogadamy – pomógł jej wetknąć termometr pod pachę. Była taka słaba...

– Nie rozumiem... – pokręciła głową. Znów zrobiło jej się ciemno przed oczami.
Następne dni pamiętała jak przez mgłę. Ktoś stawał przy jej łóżku, poprawiał poduszkę, wisiała nad nią kroplówka. Kap, kap, spływała kropelka po kropelce. Była w szpitalu? Na chwilę wracała jej świadomość, potem znów odpływała. Miała wrażenie, że widzi nad sobą uśmiechniętą twarz Dragana, jego ciemne figlarne oczy, słyszy jego głos... ciepły, najdroższy...

Opowiadał jej o Zalewie Kotorskim, mówił, że ją tam zabierze... I jeszcze o jakichś dziwnych skałach w Polsce, podobnych do zwierząt. Była tego pewna. A może tylko jej się to śniło? Bo gdy w końcu doszła do siebie, Ajna, młoda muzułmanka z zabandażowaną głową z łóżka obok, zeznała, że przez ten cały czas zaglądała do niej tylko mama. No i raz wpadł Haris. Ajna dobrze go zapamiętała, bo mężczyzna w stroju moro, z chłopięcą, nieco puciołowatą twarzą, wpadł jej w oko.

Gdy Jasmina doszła do siebie na tyle, że zaczęła sama siadać na łóżku, Haris pojawił się znowu.

– Wybacz, Jasmino, nie mogłem wcześniej cię odwiedzić, bo wysłali nas na drugą stronę miasta. Zrobiło się gorąco. Staramy się wyprzeć Serbów z... A zresztą, lepiej, żebyś nie wiedziała – rozejrzał się po niewielkim szpitalnym pokoju, do którego wepchnięto dziesięć łóżek. Na każdym z nich ktoś leżał.

– Rozumiem, ale powiedz mi, gdzie jest Dragan? Nawet do mnie nie zajrzał, nie przysłał żadnej wiadomości – dziewczyna wbiła w niego badawcze spojrzenie. Chciała zadać to pytanie, odkąd tylko odzyskała świadomość.

– Jasminko...

Twarz chłopaka przybrała nieokreślony wyraz. Zauważyła jednak, że nagle poblądł.

– Nic mu nie jest, prawda? – szepnęła.

– On... To było jakieś cholerne nieporozumienie. Wysłałem do was kolegów, żeby pomogli... Mieli dostarczyć wam papiery, wiesz, żebyście bez problemu... – zaczął się jąkać. – Szukali was najpierw w moim mieszkaniu, ale nikt im nie otworzył...

„Pewnie spałam” – przemknęło Jasminie przez głowę. Patrzyła na Harisa coraz bardziej przerażonym wzrokiem.

– Więc poszli do Dragana, a on... *Jebote*^[3], nie wiem, dlaczego nawet z nimi nie porozmawiał...

– I co?

– Do Miljacki nie powinno się skakać, ona jest... za płytka. Most jest wysoko, w tym miejscu prawie nie ma wody...

Jasmina widziała, jak trudno Harisowi przechodzą przez gardło te słowa.

– Haris, czy ty wiesz, co ty mówisz? – czuła, że siły, które zyskała w ostatnich dniach, znów zaczynają ją opuszczać. – Gdzie on jest? Powiedz! – błagała.

– Podobno wdrapał się na barierkę i... – chłopak spuścił głowę. Nie potrafił dokończyć.

Dziewczyna schowała twarz w rękach, drżała. Nie chciała w to wierzyć.

Mosty... Już od jakiegoś czasu stały się przekleństwem Jasminy. Najpierw Stary Most, z którego Dragan skoczył do Neretwy i o mało co nie złamał karku, a potem...

Młoda kobieta zaczęła nienawidzić mostów. Dlatego teraz, gdy patrzyła, jak wielkie marmurowe fragmenty mostarskiego zabytku wpadają do rzeki, nie czuła żalu. Może to i dobrze, niech wszystko pochłonie woda! I ogień! Niech żywioły dokończą dzieła zniszczenia, które rozpoczęli ludzie. Było jej wszystko jedno. Jak miała żyć bez Dragana, który był całym jej światem? Ona też mogłaby skoczyć, gdyby nie to, że...

– Lecę do radia, muszę się dowiedzieć, co się dzieje! – Głos Tarika wyrwał ją z odrętwienia. – Jeśli to dzieło Chorwatów, zrobi się piekło.

– Jeszcze większe? To możliwe? – spojrzała na niego ponuro.

Młody dziennikarz był kuzynem Harisa. Przed wojną chętnie się z nim spotykał, a ich rodziny często razem spędzały bajram^[4]. Chłopcy nie byli specjalnie pobożni, ale lubili świętować.

Gdy Tarik wpadał do Sarajewa, chętnie przesiadywali w małych knajpkach usytuowanych na zboczach Żutej albo Bijelej Tabiji, skąd rozpościerał się bajeczny widok na całe miasto, i leniwie pykali fajkę wodną, wciągając przez mały ustnik dym o smaku melasy, jabłka lub innego owocowego suszu. Kończyli swoje biesiady nocną porą, gdy

światła stolicy Bośni tworzyły niezwykle migotliwy pejzaż, a śpiewne tony wydawane przez muezinów z setek minaretów łączyły się w jedną przeciągłą i rzewną nutę.

To właśnie Harisowi Jasmina zawdzięczała to, że znalazła się w Mostarze. Gdy się dowiedział, że przyjaciółka chce się przedostać do tego miasta w poszukiwaniu swego ojca, który trafił do serbskiej niewoli i był więziony gdzieś w jego okolicach, próbował wybić jej z głowy ten szalony pomysł. Kiedy jednak zrozumiał, że przy życiu trzyma Jasminę jedynie myśl o uwolnieniu taty, dał za wygraną. Napisał list do Tarika i jego rodziców, w którym polecił swą przyjaciółkę ich opiece. Miał nadzieję, że kuzyn z jego dziennikarskimi koneksjami będzie mógł pomóc dziewczynie w dotarciu do szefa oddziału, który przetrzymywał Perę Jovanovicia. Jako żołnierz doskonale wiedział, że dowódcy wrogich stron są ze sobą w stałym kontakcie, a gdy leży to w ich interesie, dobijają nie takich targów.

Nie mylił się. Tarikowi udało się znaleźć osobę, która знаła kogoś, a tamta jeszcze kogoś, kto miał dostęp do dowódcy przetrzymującego chorwackiego porucznika. Teraz pozostało doprowadzić do wymiany jeńców i ojciec Jasminy odzyska wolność. Jovanović nie był w końcu szczególną szychą, zatem wszystko zdawało się tylko kwestią ceny.

Miało się to wydarzyć lada dzień, więc młoda Chorwatka trwała w oczekiwaniu. Myśl o tym, że będzie musiała stanąć przed mężczyzną powiazanym z serbskim wojskiem, mroziła jej krew w żyłach. Automatycznie przypominała jej się znieawidzona twarz Ivana Katicia, jego zimne, szurze oczy i wygięte w wyrazie pogardy usta. Nieustannie czuła na swej skórze kwaśny zapach jego potu i wiedziała, że żadnym sposobem się go nie pozbędzie.

Nie mogła się jednak wycofać teraz, kiedy osiągnięcie celu było na wyciągnięcie ręki. Wyobrażała sobie moment, w którym przytuli się do taty, zarzuci ręce wokół jego szyi i usłyszy surowy ton jego głosu: „Jak mogłaś się tak dla mnie narażać? Jak mogłaś być tak nieroztropna?”. A ona będzie miała w końcu pewność, że przynajmniej jednego z dwóch najważniejszych w jej życiu mężczyzn udało jej się uratować.

Może właśnie po to przeżyła, skoro nie mogła już być Julią dla swojego Romea...? Prawie obcy ludzie nadstawiali dla niej karku, ich dobroć nie mogła pójść na marne. Na przykład Husein...

Był lekarzem w sarajewskim szpitalu, do którego Jasmina trafiła po historii z Katiciem. Dla każdego miał ciepły uśmiech, choć co chwilę przywozili mu kolejnych rannych: żołnierza prosto z akcji z rozszarpanymi wnętrznościami, staruszkę z odłamkiem pocisku w plecach, małą dziewczynkę ze zmasakrowaną do ramienia ręką i przerażeniem w wielkich błękitnych oczach... Doktor dwoił się i troił, wyglądało to tak, jakby był jednocześnie przy każdym z potrzebujących. Oferował im nie tylko swoje złote ręce, którymi okruszek po okruszku z ogromną precyzją i cierpliwością czyścił rany, ale też słowa mające niezwykłą moc pocieszania.

Jasmina słyszała jego głos, gdy przemawiał do chorych z sali, w której leżała...
Wcześniej ciągle przebywała we własnym świecie.

*Cóż to jest? Czara w zaciśniętej dłoni
Mego kochanka? Truciznę więc zażył!*

*O skąpiec! Wypił wszystko; ani kropli
Nie pozostawił dla mnie! Przytknę usta
Do twych kochanych ust, może tam jeszcze
Znajdzie się jaka odrobina jadu,
Co mię zabije w upojeniu błogim*^[5].

Bezgłośnie powtarzała słowa tak dobrze znane jej ze spektaklu, w którym wspólnie z Draganem grali w Teatrze Kameralnym 55. Szekspirowskie wersy jak natrętne ćmy kołatały się w jej głowie.

*Tak i Romeo stanie przy swej żonie;
Dzieląc za życia, złączmy ich po zgonie.
Ponurą zgodę ranek ten skojarzył;
Słońce się z żalu w chmur zastonę tuli;
Smutniejszej bowiem historii nie zdarzył
Los jak historia Romea i Julii.*

Jednak doktor Husein potrafił przywrócić ją do życia.

– Pomoże mi pan dostać się do tunelu? – szepnęła kiedyś, gdy przyszedł na obchód do jej sali.

– Obudziłaś się? – wyraźnie się ucieszył.

– Pomoże mi pan?

– Nie wiem, o czym mówisz – próbował ją zbyć łagodnym uśmiechem.

– Wie pan doskonale. Słyszałam... Wtedy, gdy rozmawiał pan z pielęgniarem. Myślał pan pewnie, że śpię...

Dostrzegła, że po sympatycznej twarzy lekarza przebiegł nagły grymas. Husein obawiał się pewnie, że będzie go szantażować, bo wie, iż przerzuca rannych za miasto, ale ona pragnęła tylko pomocy.

– Jasmino, mogę ci zaufać? – lekarz nachylił się do jej ucha. – Od zachowania pełnej dyskrecji zależy los wielu ludzi. Zdajesz sobie z tego sprawę? – w jej spojrzeniu dostrzegł chyba szczerą, bo już o nic nie pytał.

– Porozmawiamy o tym, jak dojdiesz do siebie, dobrze? Teraz powinnaś odpoczywać.

– Muszę mieć pewność, że... – złapała go kurczowo za rękę.

– Zawsze jest powód, by żyć. Dla innych – domyślił się, co chciała powiedzieć.

Podczas jednej z długich rozmów, które niestrudzenie z nią toczył, jakby był wytrawnym psychoanalitykiem, a nie zwykłym chirurgiem, zapytał, dlaczego koniecznie chce się przedostać na tamtą stronę tunelu. Gdy opowiadała mu swoją historię, milczał. Jednak nazajutrz, podczas badania, szepnął, że za dwa dni pomoże jej się wydostać z miasta, musi tylko załatwić odpowiednie papiery. Jasmina poczuła wielką wdzięczność, lecz jednocześnie zląkła się, że to tak szybko. A co jeśli matka do tego czasu jej nie odwiedzi i nie zdąży się z nią pożegnać? Ta wizja wydała jej się nie do zniesienia.

A kuzynka Goca? Jej nie widziała od tamtej pamiętnej nocy, gdy Dragan przyszedł do domu serbskiego szpiega... To ona dała mu adres. Jasmina w pewien sposób zawdzięczała

jej życie.

O brata się nie martwiła, już dawno straciła z nim kontakt, bardziej zależało mu na śliwowicy niż na niej. I na zemście na każdym, kto robił znak krzyża trzema złączonymi palcami od prawego do lewego ramienia. Jednak myśl, że zostawi matkę i Gocę tylko pod jego opieką, bardzo jej ciążyła. Najchętniej zabrałaby je ze sobą do Mostaru, wiedziała jednak, że to niemożliwe. Musiała się skupić na zadaniu. I na tym, by na nowo odnaleźć w sobie chęć do życia.

Mama, wiedziona chyba przecuciem, odwiedziła ją następnego dnia w szpitalu. Choć tak bardzo nie lubiła wychodzić z domu i przedzierać się pod ostrzałem snajperów przez ulice, przysłała do córki. Gdy dowiedziała się o jej planach, przez długi czas nie potrafiła przestać szlochać, potem jednak zebrała się w sobie, pobłogosławiła ją na drogę, wierząc, że jeśli nawet nie odnajdzie ojca, będzie bezpieczna poza miastem uwięzionym w piekielnym kręgu serbskiego ognia. Dziesięć razy zarzekała się, że poradzi sobie sama w Sarajewie, że będzie uważać także na Gocę, byle tylko Jasminka zadbała o siebie i dotarła szczęśliwie do Mostaru.

Dziewczyna czuła, jak podchodzi jej do gardła wielka gula żalu, lecz, by nie zasmucać mamy jeszcze bardziej, starała się dzielnie trzymać. Dopiero gdy Ana Jovanović zniknęła za drzwiami, dotarło do niej, że to było pożegnanie. Nie umiała jednak płakać, jakby wszystkie jej łzy zabrała Miljacka i poniosła ze sobą do morza, siedziała więc tylko nieruchomo z rękoma splecionymi na kolanach i patrzyła tępo w ścianę. Była córką wojny, odartą ze złudzeń.

– Coś ci jeszcze przyniosłam... – O poranku zbudził ją matczyiny głos. Nie mogła uwierzyć, że dotychczas mocno zalękniona kobieta, która prawie nie wychodziła z domu, dla niej odpędziła swoje strachy i ponownie przedarła się przez miasto do szpitala.

– Mamuś, nie trzeba było – Jasmina spojrzała na pikowaną kamizelkę, którą matka położyła na jej łóżku.

– Zaszyłam coś w podszewce – uśmiechnęła się blado. – Przyda ci się, gdy znajdziesz ojca. Myślałam, że podaruję ci to, jak będziesz brała ślub, ale cóż... Wyszło inaczej...

– A co to takiego?

– Taki mały skarb rodzinny. Wiesz, że nigdy nie byliśmy bogaci, ale kiedyś twoja babcia dostała kilka kosztownych drobiazgów.

– Naprawdę? – zdziwiła się Jasmina.

– Tak, bransoletę ze złota i pierścionek z rubinem. A wszystko dzięki swojemu dobremu sercu.

– Nie rozumiem.

– Ech, to dłuższa historia.

– Opowiedz mi ją, proszę – Jasmina przytuliła się do ramienia matki.

– Jesteś pewna? Nie musisz się szykować?

– Jeszcze nie, doktor da mi sygnał. Myślę, że wyruszymy dopiero po zmroku – wyjaśniła.

– No dobrze, posłuchaj zatem. Trzeba znać rodzinne historie, zwłaszcza teraz, bo niedługo może nic więcej nam nie zostanie – powiedziała Ana, patrząc gdzieś w dal. – W czasie drugiej wojny światowej na Sarajewo spadały bomby, a niektóre kobiety, tak jak

teraz, rodziły dzieci w piwnicach. Wiesz o tym, prawda? Taki właśnie los spotkał sąsiadkę mojej matki, nie pierwszej już młodości. Strasznie się, bidulka, namordowała przy porodzie, bo jej dziecko było źle ułożone.

– A pewnie nie było jak wezwać lekarza? – Jasmina pokiwała głową ze zrozumieniem. Nietrudno jej było wyobrazić sobie tę sytuację.

– Tego dnia na zewnątrz faszyci robili masowe łapanki, nikt nawet nie śmiał wystawić głowy z piwnicy, a co dopiero szukać po mieście doktora, diabli wiedzą gdzie. Gdyby nie moja mama, to kto wie, jak by się skończył ten poród!

– A co zrobiła babcia?

– Mama była doświadczoną kobietą, bo wydała na świat troje dzieci, w tym mnie, miesiąc wcześniej, w tej samej piwnicy – uśmiechnęła się Ana. – Gdy zobaczyła, co się dzieje z ciężarną i że nikt nie kwapi się, by jej pomóc, wcieliła się w rolę położnej i odebrała trudny poród. Ale to jeszcze nie wszystko! Przez dwa miesiące karmiła niemowlę własną piersią, bo kobieta ze stresu i bólu całkowicie straciła pokarm.

– Ach, czyli mleczne piersi i dobre serce mojej babci uratowały maleństwo! – ucieszyła się Jasmina.

– Tak, sąsiadka pragnęła jej się odwdzińczyć, jednak twoja babcia nie chciała nawet o tym słyszeć. Uważała, że nie godzi się przyjmować zapłaty za zwykłą ludzką życzliwość.

– No i miała rację – uśmiechnęła się Jasmina.

– Tylko że kobieta nie dała za wygraną i uciekła się do podstępu. Wyobraź sobie, że klejnoty zawinięte w chusteczkę do nosa podrzuciła do mojego becika.

– A babcia? Nie oddała jej tej biżuterii?

– Nie. Los chyba chciał, żeby złoto u nas zostało. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że moja mama znalazła ten skarb dopiero po jakimś czasie, gdy jej znajoma wyniosła się już z piwnicy?

– Hm, ciekawe. Chyba nic nie dzieje się bez przyczyny. Kiedyś te kosztowności były podziękowaniem za uratowanie życia i teraz znów temu posłużą – rzekła cicho Jasmina.

– Mam taką nadzieję – mama poklepała córkę po ręce.

– Odnajdę go, zobaczysz.

– Wiem, córciu, zrobisz wszystko, żeby tak się stało. Chciałabym mieć twoją odwagę.

– To nie jest odwaga, to... egoizm – Jasminie zaszklily się oczy.

– Hm... Gdyby każdy z nas był takim egoistą... Spójrz na mnie, boję się nawet wyjść z domu, a co dopiero wyrwać się z miasta... Potrafię tylko się za was modlić.

– To dużo, mammo, to bardzo dużo – Jasmina uśmiechnęła się do niej czule.

– Szkoda, że nie jestem muzulmanką. Wylałabym za tobą na drogę wodę. Miałabym wtedy pewność, że dotrzesz szczęśliwie na miejsce, a tak... No nic, niech cię jeszcze raz uściskam! – wyciągnęła w stronę córki bardzo szczupłe ramiona. – A, Goca prosiła, żeby coś ci dać – przypomniało jej się. Wyjęła z płóciennej torby długi szalik z żółtej włóczki wydziergany na drutach. – Robiła go całą noc, więc go nie zapomnij.

– Ojej... Podziękuj jej, mammo.

Przytuliła się do matki, jakby miała nigdy więcej nie poczuć jej ciepła.

– No dobrze, będę już lecieć. Mają przywieźć chleb, muszę zająć kolejkę – Ana ucałowała czule córkę w czoło.

Jasmina wiedziała, że mama boi się rozkleić. Wyglądała tak krucho, tak nierealnie... Gdy w końcu zniknęła za drzwiami, dziewczyna miała wrażenie, że w ogóle jej tu nie było. Tylko żółty szalik kłuł w oczy intensywną barwą...

A potem były wyboje, takie, że aż wrywało wewnątrzności, i gaz do dechy, gdy opancerzonym samochodem gnali wraz z doktorem Huseinem i pielęgniarzem Ahmedem Aleją Snajperów. Słyszała, jak pociski świszczą tuż koło nich.

Jasmina opuszczała miasto, które było dla niej wszystkim – jej zawiązanym[6], sceną aktorskich ambicji, a przede wszystkim kolebką młodszej miłości. Prędeż, prędeż! Jeszcze kilka skrętów, nie jest łatwo jechać nocą ze światłami zalepionymi czarną taśmą...

Dojechali do bramki bośniackiej kontroli. Zakapturzony człowiek wsadził głowę do auta. Krople deszczu skapywały mu z brody. Jasmina, leżąca z tyłu samochodu na noszach, zeszywniała i wstrzymała oddech.

– Nasza? – spytał żołnierz, świecąc latarką w papiery, które podał mu doktor.

– Nasza – przytaknął Husein. – Amira Bazdulj.

Usłyszała nieznane nazwisko, które chwilowo miało należeć do niej. Doktor o wszystkim pomyślał, najłatwiej przepuszczali Muzułmanów.

– Niech no ją zobaczę – zakapturzony przybliżył twarz do jej twarzy. – Nie wygląda mi na zdechlaka.

Jasmina poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. To akurat mogło ją uratować. Wiedziała, że rany na czole, ukryte pod bandażem, nie są aż tak niebezpieczne, jak wynikałoby z karty choroby. Z miasta można było przetransportować na zewnątrz tylko najcięższych rannych, takich, dla których w pozbawionych leków i sprzętu szpitalach Sarajewa nie było ratunku.

– Oberwała w głowę. Tu jej nie pomożemy. – Usłyszała spokojny głos doktora.

– Czyżby? – wojskowy nie był pewien.

– Zdjąć opatrunek, żeby mógł pan zerknąć, jak ładnie się mózg wylewa? – Husein zrobił nieokreślony ruch ręką.

– Nie, nie, dzięki. W tym deszczu mój własny już mi się lasuje – burknął żołnierz i z trzaskiem zamknął drzwiczki samochodu.

– Uff! – pielęgniarz wypuścił głośno z płuc powietrze. – Zejdę kiedyś w tej robocie na zawał.

– Dobra, dobra, lepiej przyciśnij gaz do dechy, żebyśmy zdążyli oddać ją Emirowi, póki ma dyżur. Niepotrzebne nam dodatkowe niespodzianki – popędził go lekarz.

Nie dało się ich jednak uniknąć. Znajomego, który miał dług wobec doktora za uratowanie jego bratu nogi przed amputacją, nie było na posterunku przy Tunelu Spasa. Z powodu rozstroju żołądka nie mógł się ruszyć z latryny. Zastępował go kolega, gburowaty służbista, który każdy dokument studiował z taką dokładnością, jakby był napisany egipskimi hieroglifami. Znów zaczęło się wypytywanie, badawcze spojrzenia, niemal prześwietlanie Jasminy na wylot wzrokiem. W końcu jednak nosze z pacjentką zostały przekazane dwóm młodym żołnierzom i wąskimi schodkami zniesione do podziemia.

Chorwatka nie zdążyła nawet szepnąć doktorowi „dziękuję”. Miała zresztą udawać

nieprzytomną. Poprzysięgła sobie jednak, że kiedyś go odnajdzie, by mu się odwdzińczyć – po wojnie, w lepszych czasach, bo przecież musiały takie nadejść. Nie mogli żyć ciągle jak hieny karmiące się ochłapami nienawiści.

Póki co otoczyła ją wilgoć. Z nisko zawieszzonego sufitu skapywała woda. Jasmina miała wrażenie, że ściany wąskiego podziemnego kanału napierają na nią z każdej strony, że nie ma czym oddychać. Jeszcze chwila i dopadnie ją atak klaustrofobii, zacznie się trząść i krzyczeć. Nigdy nie lubiła małych pomieszczeń bez okien. „Spokojnie, oddychaj głęboko” – starała się uspokoić. „Nie wolno ci wszystkiego zaprzepaścić, nie teraz, gdy dotarłaś tak daleko”.

Słyszała sapanie żołnierzy, którzy, zgięci w pół, nieśli ciężkie nosze, przeciskając się między drewnianymi wspornikami tunelu. Gdy mijali kogoś, kto szedł z naprzeciwka, na ogół z dużym bagażem, przyklejali się do gliniastej ściany i przekręcali nosze na bok. Jasmina była pewna, że lada moment ześlizgnie się z nich na ziemię, do mętnej, cuchnącej wody, w której żołnierze brodzili po kostki. Jednak konsekwentnie udawała, że niczego nie widzi.

Wmawiała sobie, że oszalały puls nie dudni jej w uszach, że jest już po tamtej stronie, gdzie czeka na nią Dragan. Bo przecież wyraźnie słyszała, jak ją wzywa, jak przez huk dział, od których trzęsła się ziemia, przebija się jego głos. Była pewna, że nie mógł jej zostawić, tak bez słowa, bez pocałunku, bez „do widzenia”. A jednak gdy żołnierze wynieśli ją z tunelu, zamiast ukochanej twarzy zobaczyła nad sobą jedynie ciężkie ołowiane chmury.

[2] Tunel Nadziei – dosłownie, po bośniacku, chorwacku i serbsku: „Tunel Ratunku”.

[3] Bośniackie przekleństwo typu: „Cholera!”, „Ja pierdołę!”.

[4] Bajram – nazwa dwóch świąt w Islamie. Kurban Bajram to Święto Ofiarowania obchodzone 10 dnia miesiąca Dhul-Hijjah w okresie pielgrzymek do Mekki. Ramadan Bajram – święto zakończenia postu w Ramadanie.

[5] William Szekspir, *Romeo i Julia*. Wszystkie przywoływane w powieści cytaty z dramatu *Romeo i Julia* Williama Szekspira są podawane w przekładzie J. Paszkowskiego (Wydawnictwo Greg, Kraków 2005).

[6] Zavičaj – po chorwacku określenie rodzinnego zakątku, rodzinnej krainy.

ROZDZIAŁ 2

Mostar, grudzień 1993

Zniszczenie Starego Mostu rozwścieczyło Muzułmanów tak bardzo, że gotowi byli gołymi rękoma walczyć z sąsiadami mieszkającymi w Mostarze po drugiej stronie rzeki.

Niedawni sprzymierzeńcy wydawali im się teraz większymi wrogami niż Serbowie, którzy ciskali na nich ogień ze wzgórz nad miastem. Arif Pašalić – komendant czwartego korpusu Armii Bośni i Hercegowiny – krzychał: „Niszcząc Stary Most, Chorwaci wyszczalili się na swoją tysiącletnią tradycję i kulturę”^[7].

Dochodziło do tego, że w akcie desperacji muzułmańscy wojskowi kontaktowali się przez telefon radiowy z wrogimi oddziałami stacjonującymi na wzgórzu i wołali w słuchawkę:

- Bracia Serbowie, ratujcie! Potrzebujemy broni!
- A pieniądze macie? – pytali tamci.
- Mamy.
- No to pomożemy.

W tym piekle liczył się tylko zysk, wszystkie układy, przyjaźnie i paktory pękały jak bańki mydlane. „Oko za oko, ząb za ząb” stało się jedyną regułą.

Po nasileniu walk Tarik obawiał się o bezpieczeństwo swojego chorwackiego gościa, bo nie wiadomo było, na jaki pomysł mogli wpaść jego muzułmańscy sąsiedzi, którzy wiedzieli o tym, że Jasmina jest katoliczką. Udawali, że nie zwracają uwagi na to, że Tarik i jego rodzice przyjęli pod swój dach takiego gościa, a jednak patrzyli na dziewczynę spode łba i nieraz, gdy szła przez podwórko, szeptali coś między sobą. Okazało się jednak, że to nie o nią, a o siebie chłopak powinien się martwić.

Pewnego poranka, gdy jego matka (pół Muzułmanka, pół Żydówka) udała się wraz z Jasminą na targ, by wymienić prawie nienoszone adidasów Tarika na coś do jedzenia, a jego ojciec, Muzułmanin, przesiadywał u kolegi w jego niewielkiej knajpce umiejscowionej w piwnicy o solidnych murach, do pokoju chłopaka wpadło dwóch rosnących mężczyzn w uniformach HVO^[8].

- Co jest? – zawołał wyrwany ze snu młodzieniec.

W pierwszej chwili zupełnie nie wiedział, co się dzieje, bo odsypiał nocny program, który poprzedniego dnia prowadził w lokalnym radiu do późnych godzin.

– Wstawaj, muzułmańska łachudro. Już dziewiąta, a ty się wylegujesz, jakby to jakieś wakacje były! – burknął do Tarika starszy z nieproszonych gości.

– O co wam chodzi? – szczupły jak trzciniowa witka dwudziestotrzylatek poderwał się na równe nogi. Doskonale wiedział, czym może się skończyć taka niezapowiedziana wizyta.

– Wpadliśmy po sąsiedzku – zaśmiał się drugi z wojskowych. – Mamy kilka pytań.

– A to ciekawe.

– Mówią, że ludzie lubią słuchać twoich audycji. Chcemy wiedzieć, o czym do nich przez to radio gadasz?

– Jak to o czym? O muzyce! – Tarik odetchnął z ulgą.

Przez chwilę obawiał się, że będą go wypytywać o ojca. Stary nie wtajemniczał go w swoje sprawy, ale on i tak dobrze wiedział, czym się zajmuje, a nawet gdzie ma niewielki składzik z bronią. Ojca nie chcieli wcielić do oficjalnej jednostki Armii Republiki Bośni i Hercegowiny, bo zaraz na początku wojny stracił nogę prawie aż do pachwiny. Poszedł w góry, by zebrać chrust na opał, i wszedł na minę. I tak miał cholernie dużo szczęścia, że tylko na amputacji kończy się skończyło! Stan jego zdrowia nie przeszkodził mu jednak w stworzeniu własnej niewielkiej bojowej grupy, którą zdalnie kierował. Tarik szybko to wyśledził, nie na darmo był dziennikarzem. Miał zawsze oczy szeroko otwarte. Teraz jednak wolałby nie posiadać tej wiedzy.

– O muzyce, powiadasz? Hopa, siupa nadajesz, żeby się Bośniacy dobrze w rytm wstrzelili...? – starszy z mężczyzn spojrzał na chłopaka spod oka.

– No właśnie, trochę narodniaków^[9], trochę rocka im puszczam, ale najbardziej lubię heavy metal. Znacie, panowie, taki zespół Iron Maiden? – Tarik próbował ich zagadać. – Nawet gdzieś tu miałem ich płytę – podskoczył do szafki, w której stała jego ukochana wieża hi-fi. Codziennie pucował ją flanelową ściereczką.

– Daj spokój, młody. Nie przyszliśmy do ciebie płyt słuchać – mężczyzna omiótł wzrokiem meblóściankę z dużą kolekcją winyli i okazałym księgozbiorem. – Gadaj lepiej, jakie tajne hasła przekazujesz swoim przez radio.

– Co takiego? – Tarik zrobił wielkie oczy.

– No, nie udawaj durnia. Książek się naczytałeś i myślisz, że nas wykiwasz? – wojskowy złapał chłopaka za ucho. – Ale nie z nami te numery. Zamiast podburzać naród, lepiej przekonaj swoich, że warto się wynieść tam, gdzie im się po dobroci proponuje. Chorwacką ziemię niech zostawią Chorwatom.

– Ałć! – Tarik próbował uwolnić ucho z kleszczowego uścisku żołnierza.

– Tak będzie dla nich lepiej. I dla ciebie też, chłoptasiu – brzuchaty mężczyzna zmroził go wzrokiem. – Więc zrobimy tak. Od teraz będziesz mówił to, co my ci każemy. Czy to jasne? Przed każdą audycją dostaniesz wytyczne i jazda!

– Ale przecież ja mam szefów! Redaktorów, którzy wszystkim rządzą – próbował się bronić młody Muzułmanin. – Zrozumcie, panowie...

– Szefów masz, powiadasz? – zarechotał wojskowy i swoją wielką łapą złapał chłopaka za nadgarstki. – Ja myślę, że Tarikowi trzeba trochę pomóc zmądrzeć... – zwrócił się do kolegi.

– Co racja, to racja.

Mężczyzna wyjął z kieszeni zapalniczkę. Podeszedł do chłopaka przyciśniętego do ściany i tuż przed jego nosem spróbował zapalić płomyk. Pstryk! Pstryk! Tarik wstrzymał oddech.

– *U pičku materinu!*^[10] – zaklął brzuchaty, bo zapalniczka nie zadziałała.

– Jasna cholera! Zalała mi się chyba, jak przechodziliśmy wczoraj przez rzekę. Ale

chwilunia... – wziął z półki pierwszą z brzegu książkę i wyrwał z niej stronę. Pstryk, pstryk! Kilka nieśmiałych iskier poleciało na papier.

– Tylko nie tę! – jęknął Tarik, widząc okładkę książki *Nevakat*. Była to jego ulubiona powieść, czytał ją chyba ze trzy razy. Zadziwiła go zdolność przepowiadania przyszłości Derviša Sušicia^[11].

– O, proszę! Jeszcze głos podnosi! Smarkacz, będzie nam mówił, którą książkę wybrać – zaśmiał się gruby.

– Nie, nie, ja tylko...

– Ty tylko będziesz robił to, co ci powiemy – huknął na młodzieńca Chorwat. – A z książeczkami to możesz się pożegnać. No, dalej, Zdenko, zróbmy tu małe ognisko! – zwrócił się do współtowarzysza.

– Już się robi, tylko może najpierw zwiążmy chłopaka, by przypadkiem nie wierzgał – zaproponował, spoglądając ze złowieszczym uśmiechem na Tarika.

– Masz rację, nie będę go przecież tak trzymał – ucieszył się z pomysłu brzuchaty. – Potrzebny nam jest tylko jakiś mocny sznurek.

– Da się skombinować – zakrzyknął ten drugi i wybiegł do przedpokoju. Po chwili wrócił z kablem od telefonu, wyrwanym z aparatu. – To powinno starczyć.

– No i pięknie! – brzuchaty sprawnie splątał nim chude ręce chłopaka.

– Zostawcie mnie, do cholery! – Tarik próbował się szarpać. – Zrobię, co chcecie, obiecuję!

– A pewnie, że zrobisz – burknął wojskowy, przyczepiając koniec kabla do okiennej klamki. – Jak cię trochę podwędzimy, zrobisz to na pewno. Następnym razem będziesz potulny jak baranek. Nauczysz się, kto jest teraz twoim szefem.

Młodszy z wojskowych też nie próżnował, przygotował na biurku stosik z książek i podpalił je zapalniczką, która na nieszczęście Tarika tym razem zadziałała.

– Dorzuć jeszcze trochę tych literackich wypocin! – zachęcał mężczyznę towarzysz. – O, tak! I może jeszcze kilka płyt. Jestem ciekaw, czy ładnie się sfajczą.

– Już się robi! Ale zaraz, zaraz, którą to nam Tarik tak polecał? – mężczyzna zaczął grzebać w szafce pod wieżą. – O, jest! Iron Maiden!

– Zostawcie to, cholerne łachudry! – krzyknął chłopak.

Wstąpiła w niego nagle taka wściekłość, że nie odczuwał już strachu. Miał ochotę rzucić się na Chorwatów i okładać ich pięściami na oślep, lecz gdy szarpał kabel, którym przywiązany był do okna, plastikowa linka jeszcze bardziej wrzynała mu się w skórę, a na jego nadgarstkach pojawiały się czerwone pręgi.

– Jak ty się, psie, do nas odzywasz? *Jebem ti majku!*^[12] – doskoczył do niego młodszy z wojskowych i złapał go mocno za szczękę. – Natychmiast przeproś. Chyba że wolisz sfajczyć się jak te książki – przystawił zapalniczkę do gęstych włosów chłopaka.

– Zostaw go, Zdenko, nie warto. Spadamy stąd! – brzuchaty dał sygnał do odwrotu. – Mamy jeszcze coś do załatwienia, pamiętasz? Mieliśmy wpaść do tej słodkiej panienczki, z którą ten młokos prowadzi audycję... Myślę, że z nią się lepiej zabawimy.

– O, nie! Dina jest tylko naszą asystentką, za nic nie odpowiada – krzyknął przerażony Tarik.

Był gotów powiedzieć wszystko, byle tylko tych dwóch nie poszło do jego koleżanki.

Miała zaledwie siedemnaście lat. Była bystrą dziewczyną z dużym dziennikarskim potencjałem i szalonymi pomysłami. Lubiła zupełnie inny rodzaj muzyki niż on, bardziej sentymentalne pioseneczki, typowe pościelowy, ale i tak świetnie się dogadywali.

– Jasne, jasne – uśmiechnął się z przekąsem Chorwat. – Wszystkie one tylko parzą kawę... Suki.

Drugi z mężczyzn ryknął donośnym śmiechem. Dorzucił jeszcze kilka książek do stosu na biurku i zgodnie z poleceniem starszego udał się za nim w stronę wyjścia.

– Hej, odwiążcie mnie, gnoje! – zawołał za mężczyznami Tarik, ale odpowiedziało mu tylko trzaśnięcie drzwiami.

Płomień na biurku stawał się coraz większy, ogień szybko rozprzestrzenił się w stronę meblościanki i już po chwili czerwone jęzory zaczęły smagać mebel pokryty lśniącą politurą. W pokoju było coraz więcej gryzącego w oczy dymu.

Chłopak, przywiązany do okna, szarpał za kabel, próbując uwolnić ręce, ale na nic się to zdało. Gdyby chociaż mógł otworzyć okno i wpuścić do pomieszczenia trochę powietrza. Krótki kabel i silny węzeł nie pozwalały mu jednak się ruszyć. Próbował łokciem rozbić szybę. Dlaczego to szkło jest takie mocne? Boże, niech ktoś mnie usłyszy, niech matka wróci do domu...

Wołał o pomoc z całych sił, lecz miał wrażenie, że jego głos nie przebija się przez skwierczenie palonych mebli, płyt i książek. Smród topionego plastiku winylowych krążków stawał się nie do zniesienia.

Szczupły chłopak, który wyróżniał się raczej otwartą głową niż fizyczną tężyzną, powoli opadał z sił. Jeszcze chwila i dym wdzierający się pod powieki, do nosa i do ust wypełni jego płuca... Jeszcze chwila... Dlaczego po pokoju latają nietoperze? Mają takie wielkie skrzydła, a te ich oczy... są takie dziwne jak u ślepeca...

Nie miał już siły walczyć. Przerazała go myśl, że nie pomoże Dinie. W wyobraźni widział, jak dwóch drabów wpada do jej mieszkania... Uciekaj, Dina...! – szeptał.

Było coraz ciemniej, choć przecież ogień rozświetlał pokój, i zrobiło się ciepło, jakby trwało lato. Można biec na bosaka po rozgrzanych kamieniach, wyślizganych przez miliony stóp. Bo przecież Mostar to kamienne miasto, jego ukochane. Kiedyś Bóg przelatywał z workiem kamieni nad Hercegowiną, a diabeł wyszarpał w płótnie dziurę. Kamienie rozsypały się po okolicy, białe, piękne. Tak głosi legenda. Tarik kochał legendy i życie. Nogi same go niosły na starą uliczkę Kujundžiluk, gdzie przycupnęły rzemieślnicze zakłady i liczne, barwne sklepiki. Sprzedawali w nich pięknie rzeźbione tygielki do kawy, wisiorki i bransolety ze starego srebra, chusty i szale kolorowe niczym tęcza.

Tarik minął je jednak i pobiegł do Tabhany, starego pałacu, gdzie kiedyś garbowano skóry, a w którym dziś królują kawiarnie. Chciał zasiąść w jednej z nich jak pasza, zamówić aromatyczną kawę w maleńkiej filiżance, bo nigdzie na świecie ten napój nie pachnie tak dobrze, a na przekąskę smaczną pitę albo burek. Będzie się rozkoszował tym ciepłym dniem, bo przecież tak pięknie grzeje słońce...

Gdyby tylko ten przekłęty kaszel tak go nie męczył. I jakiś dziwny ciężar nie gniótł jego piersi... Aaaa! Tak okropnie brakuje powietrza. Ale zaraz wszystko się skończy, bo nietoperz przykładą już skrzydło do jego ust... Będzie dobrze. Po tamtej stronie pewnie

też można zapalić sziszę^[13]...

^[7] *Rušenjem Starog mosta Hrvati su se popišali na svoju tisućljetnu tradiciju i kulturu.*

^[8] HVO – Hrvatsko Vijeće Obrane, Chorwacka Rada Obrony – oficjalna chorwacka formacja militarna działająca na terenach Bośni i Hercegowiny od 1991 do 1994 roku.

^[9] Narodnjaki – piosenki należące do popularnej w byłej Jugosławii muzyki ludowej (folkowej), zwanej narodnjacką.

^[10] U pičku materinu! – przekleństwo w języku chorwackim, odpowiednik polskiego: „Do cholery!”, „Ja pierdzielę!” lub „Kurwa!”.

^[11] Derviš Sušić (1925–1990) – bośniacki pisarz i dziennikarz znany przede wszystkim ze swojej książki pt. *Ja, Danilo*.

^[12] Przekleństwo po chorwacku.

^[13] Szisza – rodzaj fajki wodnej do palenia.

ROZDZIAŁ 3

Warszawa

Odkąd Katarzyna Waleczna została szefową nowo powstałego działu marketingu w swoim banku, nie myślała tak często o tym, że wciąż nie ma wieści z Bośni od Dragana. Nadal martwiła się o syna, ale wydawało jej się, że chwilowo nie może nic zrobić, by się z nim skontaktować, a tym bardziej by ściągnąć go do Polski. Nie miała też czasu, by zastanawiać się nad tym, dlaczego jej mąż nie bywa już prawie w domu. Zresztą w tym drugim przypadku sprawa wydawała się oczywista. Praca w prywatnej telewizji wymagała poświęceń, zwłaszcza że Polsat jako pierwsza komercyjna stacja w Polsce zaczął niedawno nadawać własny program informacyjny, a sport, którego Edward był szefem, stanowił ważną część Informacji. Według jej męża nawet najważniejszą.

Dziennikarz, do którego sam właściciel stacji miał zaufanie, angażował się też w inne redakcyjne sprawy, a czasy w polityce znów stały się gorące. We wrześniu ostatni z sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy armii rosyjskiej, którzy stacjonowali w Polsce, wrócił do swojego kraju i ojczyzna Katarzyny znów mogła swobodnie oddychać. Co prawda, do władzy ponownie doszła lewica (SLD podpisał umowę koalicyjną z ludowcami), jednak była to zupełnie inna formacja niż kiedyś. Nowi rządzący lubili zaskakiwać. Małomówny premier Waldemar Pawlak powołał na przykład na swojego rzecznika prasowego pochodzącą z niewielkich Gorlic długonogą zdobywczynię tytułu Miss Polonia.

Edward, który miał okazję poznać tę zawsze uśmiechniętą i inteligentną dziewczynę, bardzo popierał ten wybór. Fakt, że pani rzecznik pracowała wcześniej jako prezenterka Polsatu, wprawiał go w dumę tak wielką, że teraz prawie nie wychodził już z telewizji.

Jego żonie nie pozostało nic innego, jak także popaść w pracoholizm, więc i ona nie opuszczała swojego biura wcześniej niż o dwudziestej. A gdy trwały przygotowania do jakiejś ważnej firmowej imprezy, nazywanej ostatnio modnie mitingiem, zdarzało jej się zasypiać ze zmęczenia w taksówce, którą wracała do domu. Drzemka była zresztą krótka, bo siedziba banku, jak i jej blok na osiedlu Za Żelazną Bramą znajdowały się w centrum, jednak ta namiastka wypoczynku dobrze jej robiła.

Grunt to wykorzystać każdą minutę życia, wycisnąć ją jak cytrynę, jak często powtarzała jej młoda szefowa. Katarzyna przejęła od niej tę maksymę, tak jak i upodobanie do świetnie skrojonych garsonków kupowanych za grube pieniądze w modnych butikach.

Tego dnia Kasia znalazła się w swoim mieszkaniu, pustym oczywiście, tuż przed

dwudziestą trzecią. Rzuciła się na kanapę, nie zważając na to, że bawełniana spódnica w miodowym kolorze będzie wyglądać za chwilę jak wyciągnięta psu z gardła, i głośno westchnęła. Przeklinała się w duchu za to, że dała się namówić przybranej córce na zorganizowanie imprezy motywacyjnej dla pracowników banku na kształt tych, z których słynęły firmy sprzedaży bezpośredniej.

„Co mnie podkusiło?” – zastanawiała się. „Zawsze wyśmiewałam się z ich sekciarskiego podejścia do ludzi, a teraz sama wynajęłam salę Dramatycznego, zawodowego motywatora, czyli inaczej opowiadacza bajek, a na deser znaną piosenkarkę. Jeśli to nie zadziała i sprzedaż kredytów nie dostanie nagłego przyspieszenia, to szefowa pogoni mnie gdzie pieprz rośnie”.

Po próbie przed firmową imprezą Kasia nie miała już siły nawet na to, by zjeść kolację, chciała tylko leżeć, jednak nagły dźwięk telefonu poderwał ją na równe nogi.

– Halo – niezbyt przyjaźnie burknęła w słuchawkę.

– Muszę do ciebie wpaść, i to natychmiast... – Katarzyna usłyszała zdenerwowany głos przyjaciółki.

– Co się stało?

– Powiem ci, jak się zobaczymy, tragedia! – pisnęła rozmówczyni.

– Kurczę, jest już późno i właśnie zamierzam się położyć...

– Będę za chwilę!

Anna miała nieciekawą zwyczaj dzielenia się problemami ze swoimi przyjaciółmi o każdej porze dnia i nocy. A że była osobą, której ciągle coś się przytrafiało, Katarzyna nieustannie musiała być w pogotowiu. W natłoku własnych spraw matka Dragana nieraz myślała o tym, by przystopować koleżankę w wylewaniu przed nią pretensji do świata, jednak nie chciała jej do siebie zrazić.

Zdażyła wskoczyć tylko w szlafrok (miała nadzieję, że jej strój będzie jasnym sygnałem, iż pora jest co najmniej nieodpowiednia na długie pogaduszki), gdy w drzwiach stanęła Anna.

– Nie ma Edwarda? To całe szczęście – zawołała. – Będziemy mogły spokojnie obmyślić plan.

– Jaki plan, Aneczko? Nie możemy zająć się tym kiedy indziej? Muszę jak najszybciej położyć się spać, bo jutro czeka mnie ciężki dzień – Katarzyna próbowała się wykręcić.

– A mnie czeka ciężkie życie – westchnęła tragicznie przyjaciółka. – I to w pewnym sensie przez ciebie.

– Słucham? – Kasia zrobiła wielkie oczy.

– No tak, bo wykrakałaś! Wmawiałaś mojej Moniczce, że jest w ciąży i... naprawdę w nią zaszła.

– No proszę! – ucieszyła się Kasia.

– Tyle tylko, że nie z twoim synem. Bo przecież jego nie widziała od wieków.

– Ano racja. To kto w takim razie jest szczęśliwym ojcem?

– Szczęśliwym? – Ania przewróciła oczami. – Właśnie o to chodzi, że ten palant ma gdzieś i swoje dziecko, i moją córkę. A wiesz, co to znaczy? Że ja zostanę z tym całym kramem sama.

– Swojego wnuka nazywasz kramem?

– Oj, nie łap mnie za słówka. Chodzi o to, że moja niefrasobliwa córka zadała się z nieodpowiedzialnym dupkiem. Niby dyplomata, pracownik ambasady... Wyobrażasz to sobie? A tak naprawdę zwykły dzieciuch! – złościła się kobieta. – Potrafił pięknie ją czarować, wlepił w nią te swoje zamglone oczka, mizdrzył się po francusku: *mon chéri, mon amour...* Opowiadał jakieś dyrdymały, że zna znanych producentów, reżyserów, a nawet samego Luca Bessona, i pomoże Monice zrobić karierę w Paryżu... A jak się okazało, że jego „*chéri*” za chwilę straci swoją talię osy, to nagle zaczęło mu się strasznie spieszyć na nową placówkę. I to wiesz dokąd? – utkwiała spojrzenie w gospodyni. – Do Afryki. Wyobrażasz to sobie? No, chyba mnie krew zaleje!

– Uch, faktycznie trochę palant – Katarzyna skwapliwie zgodziła się z przyjaciółką.

– Trochę...? Żartujesz chyba! Nawet jakby ją zabrał na Czarny Łąd, to przecież moja córka nie będzie grała w murzyńskim kinie!

– Hej, nie bądź rasistką.

– Prawda jest taka, że teraz kariera Moniczki legnie w gruzach. A po tej rólce u Wajdy tak się świetnie zapowiadała... – westchnęła dramatycznie. – No i na dodatek mój wnuk nie będzie miał ojca. I co ludzie powiedzą!?

– Tym to bym się akurat nie martwiła – Katarzyna starała się uspokoić przyjaciółkę.

– No, chyba żeby twój Dragan...

– Żeby co...?

– Wiesz... Sama wspominałaś kiedyś, że chciałabyś, żeby nasze dzieci... Że Dragan ma wobec Moniki poważne zamiary, że nawet sądzi, że będą mieli dziecko...

– Przecież to było dawno. Od tamtej pory wiele się zmieniło – Kasia machnęła ręką. Pomysły przyjaciółki wydały jej się niedorzeczne, choć jeszcze nie tak dawno sama snuła intrygę, która miała na celu ściągnięcie syna do Polski i połączenie go z Moniką. Odkąd jednak dowiedziała się, że Dragan ma kogoś w Sarajewie... – Ty chyba nie myślisz poważnie, że mój syn mógłby wychowywać cudze dziecko? – prychnęła.

– Tak tylko chciałam spytać... – Anna zaczęła się wycofywać. – Sądziłam, że będzie ci szkoda mojej małej, a i Dragana mogłabyś łatwiej przekonać, żeby tu przyjechał... Wszyscy by na tym skorzystali.

Katarzyna spojrzała na przyjaciółkę spod oka. Zszokowało ją, że jej myśli podążały podobnym torem, co niegdyś jej własne. A myślała, że tylko ona jest intrygantką. Widać jednak, że każda zdesperowana matka gotowa jest na wiele.

– Poza tym nie masz pojęcia – kontynuowała Ania – ilu facetów wychowuje cudze dzieci, wierząc, że to ich własne. Czytałam ostatnio statystyki na ten temat...

– Daj spokój, Anka! To wszystko jakieś dyrdymały! Mnie nie interesują głupie cyfry, tylko mój syn – oburzyła się Kasia.

– To znaczy, że nie podoba ci się mój pomysł? No cóż, ponoć przyjaciół poznaje się w biedzie – wytoczyła grube działo.

– Wiesz co? Lepiej już idź do domu. Jutro pogadamy.

– Dobra, ale obiecaj, że jeszcze się nad tym zastanowisz – Ania lubiła mieć ostatnie słowo.

– Zastanowię się, zastanowię – westchnęła gospodyni, popychając lekko koleżankę w stronę drzwi.

Wiedziała jednak dobrze, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Zresztą miała na głowie ważniejsze sprawy niż niechciana ciąża Moniki. Nie dość, że brakowało jej łączności z synem, to i z mężem – choć był na wyciągnięcie ręki – kontakt stawał się coraz trudniejszy. Miała złe przeczucia...

ROZDZIAŁ 4

Mostar

W wojennych czasach handel wymienny kwitł w najlepsze, bo gotówki praktycznie nikt nie posiadał, a rodzinę trzeba było jakoś wykarmić. Jasmina i matka Tarika udały się do pobliskiego sklepiku, by zaproponować tęgiej sprzedawczyni zamianę butów znanej sportowej marki na coś do jedzenia, jednak kobieta nie miała do zaoferowania nic oprócz butelek z francuską gazowaną wodą i puszek z tuńczykiem tak starym, że jego spożycie oznaczałoby żołądkowe męki. Kobiety nie zabawiły więc u niej długo i postanowiły odwiedzić bazar.

Tam po kilkukrotnym przemierzeniu całego placu wzdłuż i wszerz oraz po wielu negocjacjach z przekupkami udało im się osiągnąć cel – zamieniły adidasy na dwie szklanki mąki, pół litra mleka i cztery jaja, z czego można już było zrobić porządny obiad.

Jasmina postanowiła, że wymyśli coś więcej niż zwykłe naleśniki, bo zależało jej na tym, by chociaż dobrym posiłkiem odplacić rodzinie Tarika za schronienie i życzliwość, której od nich zaznała. Wsparcie to było niezwykle cenne szczególnie teraz, gdy inni Muzułmanie krzywo patrzyli na Chorwatów. Wojenny test przyjaźni był szczególnie trudny. W skomplikowanych czasach nikomu nie przychodziło łatwo wykrzesanie z siebie resztek humanizmu.

Kobiety wracały już z bazaru i były niemal pod swoim domem, gdy matka Tarika złapała nagle Jasmine za rękę.

– Spójrz! Tam! – krzyknęła.

Pod kamienicą kłębili się ludzie, a czarny dym wydobywał się z okien jej mieszkania.

W tym samym czasie do pokoju Tarika wpadł rosły czterdziestoletni Chorwat Luka, sąsiad muzułmańskiej rodziny.

– *U pičku materinu!* Co tu się dzieje? – wrzasnął.

Oстрыm nożem znalezionym w kuchni przeciął sznur telefoniczny krępujący dłonie Tarika. Młody gospodarz osunął się na ziemię jak worek kartofli, jednak silne ręce podniosły go z podłogi.

– Oddychaj, chłopaku, oddychaj! – wołał do niego Luka. – Dzieciaki, szybko po wiadra z wodą! I ściągnijcie tu pomoc. Natychmiast! – wrzasnął do córki i syna, którzy wbiegli za nim do mieszkania sąsiadów. Sam wyniósł chłopaka na dwór, by jak najprędzej jego twarz owionęło świeże powietrze.

– Boże! Synku! – matka Tarika, która zdążyła już wbiec na podwórze, jednym susem dopadła do na wpół żywego chłopca. Jego twarz była blada, jakby odpłynęła z niej cała

krew. – Co się tu stało? Kto ci to zrobił? – z niedowierzaniem przyglądała się czerwonym bruzdom na nadgarstkach syna i skórze umazanej sadzą. – Powiedz coś do mnie, Kochany, powiedz – szeptała, a po jej policzkach płynęły łzy wielkie jak grochy.

Jasmina była przekonana, że już po Tariku.

– Ludzie, dajcie mu odдыchać! – Luka jednak się nie poddawał. Zaczął otwartą dłonią klepać Tarika po policzkach.

– Walcz, Tarik, walcz! – cedził przez zęby.

Metodą usta-usta ze wszystkich sił próbował przywrócić go do życia. Działał jak dobrze wytrenowany ratownik, automatycznie, bez chwili wahania. Wiedział, że liczy się każda sekunda.

I nagle ranny zarzęził, zakasłał, a potem zaczerpnął haust powietrza jak nurek, któremu skończył się tlen, lecz ostatkiem sił udało mu się przebić na powierzchnię wody.

– Będzie żył – zakomunikował uszczęśliwiony Luka.

Ostrożnie ułożył głowę chłopaka na kolanach jego matki, a sam podniósł się, by dołączyć do innych, którzy walczyli z ogniem w mieszkaniu sąsiadów.

– Bogu dzięki! – matka Tarika wzniosła oczy do nieba. – Jak ja ci się odpłacę, Luka? Jak ja ci się odpłacę?

– Nie wygłupiaj się, Esmá. Najważniejsze, że dobrze się skończyło – rzekł postawny sąsiad.

Kobieta posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie, a on raz jeszcze upewnił się, że Tarik równo odдыcha, i pognął do budynku, by ratować dobytek. Gdy wbiegł na drugie piętro, okazało się, że ogień w pokoju młodego dziennikarza udało się już ugasić. W pomieszczeniu śmierdziało spalenizną, ściany wyglądały, jakby diabeł smagnał je czarnym pędzlem ogona, na ziemi leżały kawałki zniszczonych sprzętów, powyginane konwulsyjnie winylowe płyty i na wpół spalone książki. Na szczęście sypialnia rodziców Tarika, mały przedpokój i kuchnia ocalały w pożarze.

Przez kolejne dwa tygodnie Tarik balansował na granicy pomiędzy życiem i śmiercią, czasem przybliżał się do realnego świata, a innym razem znów stawał nad przepaścią. Czad, którego się nawdychał, zrobił spustoszenie w jego płucach, drogi oddechowe były poparzone i musiało minąć sporo czasu, by znów zaczął bez bólu wciągać powietrze. Jego ciało trawiła wysoka gorączka.

Jasmina przypomniáa sobie, jak jeszcze niedawno sama była w podobnym stanie. Czuwała więc przy łóżku chłopaka na zmianę z jego matką, przykładáa mu zimne okłady do czoła i śpiewáa cichutko bośniackie piosenki. Martwiła się nie tylko o zdrowie Tarika, ale też o to, że czas ucieka, a jej wymyka się z rąk szansa na uwolnienie ojca. W krótkich chwilach, gdy przyjaciel czuł się nieco lepiej, nie miała sumienia męczyć go pytaniami o nazwisko człowieka, który był jego łącznikiem z serbskim wojskiem. Zresztą sama i tak nie zdołałaby go odnaleźć.

Przez jakiś czas zastanawiała się, czy nie poprosić o pomoc ojca chłopaka, jednak potem poczuła, że to nie jest najlepszy pomysł. Ich relacje pogorszyły się od czasu pożaru.

Wcześniej jego oczy śmiały się na jej widok, często w jej obecności dowcipkował, udawał nawet, że ją adoruje, a teraz wiało od niego dziwnym chłodem. Matka Tarika też nie była już dla niej tak życzliwa, jak dawniej. Dziewczyna domyślała się, że zaczęła im zawadzać, odkąd po zniszczeniu przez ogień części mieszkania musieli wszyscy gnieździć się w jednym pokoju, w którym ciągle czuć było odór spalenizny. Z drugiej strony w czasie wojny wiele rodzin mieszkało w dużo gorszych warunkach, może chodziło więc o coś jeszcze? Może zauważyli to, do czego ona sama nie chciała się przed sobą przyznać, że... Na wyjaśnienie zagadki nie trzeba było długo czekać.

Tego dnia Jasmina wróciła do domu z naręczem gałęzi zebranych na opał w niewielkim sadzie nad rzeką i usłyszała, że gospodarze prowadzą ożywioną rozmowę. Stanęła cicho za drzwiami pokoju, bo zaciekało ją pytanie, które doleciało do jej uszu.

– Czy ty zauważyłeś, Mustafo, że Jasmina stała się ostatnio jakaś drażliwa? – Usłyszała głos matki Tarika. – I chyba się zaokrągliła albo mi się zdaje...

– A powiedz mi, Esmo, skąd właściwie ona się u nas wzięła? – spytał pan domu.

– No, przecież wiesz, przysłał ją Haris.

– Jesteś tego pewna?

– A jakże, list przywiozła – kobieta wyraźnie nie wiedziała, do czego zmierza jej mąż.

– Hm... Papier wszystko przyjmie... – rzekł mężczyzna.

– Co ty wymyślasz? – zdziwiła się żona.

– Nic, nic, tak tylko się zastanawiam... Bo sama powiedz, skąd te chorwackie psy знаły nasz adres? Skąd wiedziały, że mają przyjść właśnie do Tarika? Może Jasmina... – wyrzucił z siebie.

– Ejże, przecież tak w ogóle to miła dziewczyna. Wiesz, że straciła miłość, wiele przeszła, więc gdzieżby ona...?

– No właśnie, zginął jej chłopak... A przez kogo? Przez naszych. Z tego, co wiem, to oni zagonili na most tego jej Serba. Chyba się nie mylę? – mężczyzna nie dawał za wygraną.

– I co... Chce się mścić? Na nas? – trudno jej było uwierzyć w spiskową koncepcję, ale ziarenko niepokoju musiało w niej chyba zakiełkować, bo po chwili dodała: – Mówisz straszne rzeczy, Mustafo. Nie mogę pojąć, jak ten świat się zmienił. Czy naprawdę ludzie myślą, że jesteśmy mudzahedinami?

– Żebyś wiedziała. Głoszą, że muszą ratować przed nami ludzkość. Ha, ha... Wyobrażasz to sobie? Dlatego tak łatwo przychodzi im usprawiedliwianie zbrodni... – gorączkował się mężczyzna.

– Ale żeby Jasmina... – Esmo nadal nie była przekonana.

– Ech, nieraz widziałem, do czego są zdolne zrozpaczone kobiety. Zresztą, spójrz na siebie, nie dalej jak wczoraj twierdziłaś, że gdybyś tylko dorwała tych dwóch skurwysynów, co tak potraktowali twojego syna, to...

– Wydrapałabym im oczy – kobieta weszła mu w słowo. – To prawda, nienawiść budzi w człowieku straszną siłę.

Jasmina, która cały czas stała w przedpokoju, wstrzymując oddech, by nikt jej nie usłyszał, nie mogła uwierzyć własnym uszom. Jak mogli wziąć ją za szpiega? Jak mogli o czymś takim w ogóle pomyśleć? Wojna miesza ludziom w głowach, wiedziała o tym od dawna, ale żeby tak...? Poczucie niesprawiedliwości zapiekło ją do żywego. Czy dała

rodzicom Tarika powód, by mieli ją za wroga? Przecież była tu tylko z powodu ojca. Gdyby nie on, zostałyaby w Sarajewie, włożyłaby ulubioną sukienkę, czerwoną jak krew, dobrze widoczną z daleka i poszła na most Vrbanja^[14], by tak jak Dragan nigdy już z niego nie powrócić.

Oni jednak tego nie rozumieli. Przejęci własnym żalem wznosili wokół siebie mur wrogości, którego nie była w stanie przeskoczyć. Dlatego wiedziała, że nie ma tu dla niej miejsca, musi pójść własną drogą.

Rzuciła na podłogę chrust, odwróciła się na pięcie i już miała nacisnąć klamkę drzwi, gdy usłyszała ciche wołanie dochodzące z kuchni. Stało tam łóżko Tarika. Jego rodzice umieścili je w niewielkim pomieszczeniu, najmniej zniszczonym przez pożar, w którym nie było czuć zapachu spalenizny.

– Jasminko! – wzywał ją chłopak.

Przez chwilę się zawahała, lecz świadomość, jak wiele wysiłku musiało kosztować przyjaciela to wezwanie, nie pozwoliła jej tak po prostu odejść.

– Jestem tu. Potrzebujesz czegoś? – wsadziła głowę do kuchni.

– Podejź do mnie – poprosił. – Muszę ci coś powiedzieć.

Zbliżyła się, choć niechętnie. Nie wiedziała, czy i on nie odtrąci jej tak, jak zrobili to jego rodzice. Gdy jednak spojrzała na jego wymizerowaną twarz i oczy płonące gorączką, poczuła, że jest mu potrzebna i że może mu ufać. Opadła na taboret stojący przy jego łóżku i uśmiechnęła się smutno. Byli niczym rozbitkowie na wzburzonym morzu, trzymający się ostatnich desek tratwy. Próbowali przeżyć za wszelką cenę, choć powoli gasła w nich nadzieja na ratunek.

– Będę mówił cicho, bo ciągle boli – dotknął ręką szyi. – Nie chcę też, żeby rodzice słyszeli...

Pokiwała głową na znak, że go rozumie.

– Tamci... Niedługo przyjdą – szepnął z wyraźnym wysiłkiem.

– Kto taki? Ci, którzy ci to zrobili? – domyśliła się, o kim mówi.

Teraz on pokiwał głową.

– Jesteś pewien?

– Muszę uciekać z miasta – nabrał ciężko powietrza w płuca. – I potrzebuję twojej pomocy...

– Pojadę z tobą – weszła mu w słowo – tylko najpierw wykupię ojca.

– Nie ma czasu, Jasminko, nie ma czasu.

– Ale przecież ty i tak nie możesz jeszcze podróżować – spojrzała na niego z troską.

– Dam radę, inaczej będzie po mnie. Po nas wszystkich. Luka obiecał, że mi pomoże, nasz sąsiad. Ty... masz tu do załatwienia swoje sprawy... Ja to rozumiem... – oddychał coraz ciężiej. Mówienie wyraźnie sprawiało mu ból. – Ale pomóż mi się spakować – mówiąc to, wcisnął w jej rękę kartkę zapisaną koślawym pismem. Była na niej lista rzeczy, które chciał ze sobą zabrać, trochę ubrań, kilka ocalałych z pożaru książek. – Rodzice nie mogą o niczym wiedzieć.

– Jak to? Przecież musisz się z nimi pożegnać.

– Nie puszczają mnie, a ja... Robię to przecież dla ich dobra.

– Rozumiem. Ja też nie mogę tu zostać. Pojadę z tobą, pomogę ci. Tylko najpierw

ojciec... Wykupię go i wkrótce będę gotowa do drogi. Pojedziemy we troje do Dubrownika. Mam tam ciotkę, schronimy się u niej. Powiedz mi tylko, gdzie znajdę tego człowieka, wiesz, tego Serba, któremu mam dać zapłatę.

– Jasmina... – skrzywił się. – To nie takie proste...

– Wiem, ale bez ojca się stąd nie ruszę... – spojrzała na chłopaka błagalnie.

– Nie chciałem ci mówić, ale dostałem pewną wiadomość... – uciekł gdzieś wzrokiem. –

A zresztą – nagle jakby się rozmyślił – zawsze lepiej upewnić się samemu.

– O czym ty mówisz? – wbiła w niego badawcze spojrzenie.

– Już nic, nieważne. Jeśli chcesz ze mną jechać, to musisz załatwić sprawę do jutra.

Znajdziesz tego człowieka w kawiarni „Dva meseca”. Ma na imię Ivan.

– Ivan? – Jasminę zmroził dźwięk tego słowa. Poczowała, jak serce podchodzi jej do gardła.

Czy kilka prostych głosek może sprawiać, że świat nagle zaczyna wirować? – A nazwisko?

– spytała, gdy udało jej się już wyrównać oddech.

– Nie wiem, ale poznasz go...

– Jak to? – poczuła, że sztywnieje jej kark. Działo się tak zawsze, gdy wpadała w panikę.

– Jest charakterystyczny. Ma... – („Szramę na czole” – dokończyła w myślach. „Przecież to niemożliwe, przecież Katić...”) – rude włosy – odparł chłopak.

– Rude? – wypuściła głośno powietrze.

– Tak, mam nadzieję, że nie będzie siedział w knajpie w czapce. Poradzisz sobie, prawda? Żałuję, że nie mogę iść z tobą – przez jego twarz znów przebiegł grymas bólu.

– To nic, dam radę – powiedziała Jasmina tak przekonująco, jakby chciała wmówić samej sobie, że jest silna.

Po nadejściu zmroku założyła ocieplaną kamizelkę otrzymaną od matki, okutała szyję żółtym szalem i cała drżąca, choć nie z zimna, ruszyła w stronę čaršiji^[15].

Przemknęła koło biurowca Energopetrolu, którego frontowa ściana z dziurami wyszarpanymi przez kule straszyla widokiem niczym bezzębna kostucha, i dalej, wzdłuż niskiego płotu niewielkiego cmentarza z białymi słupkami nagrobków odbijającymi blade światło księżyca.

Miała wrażenie, że zmarli ułożeni pod ziemią zgodnie z muzułmańskim zwyczajem na boku w stronę Mekki, wodzą za nią podejrzliwym wzrokiem. Z głową wciśniętą między ramiona pobiegła w stronę meczetu Koski Mehmed-Paszy. W końcu stanęła niedaleko wejścia do kawiarni, do której skierował ją Tarik. Czowała, że ze strachu robi jej się niedobrze. Raz już była u pewnego Ivana, by prosić o pomoc w uwolnieniu taty...

„Nie, nie mogę teraz o tym myśleć” – powtarzała sobie i dla uspokojenia próbowała liczyć kostki brukowe, po których musiała przejść do lokalu. Raz, dwa, trzy, ech, ta leży krzywo, a tam jest jeszcze jedna, mała... I zaczynała liczyć od nowa. W kieszeni miała przygotowane zawiniątko – bawełnianą chusteczkę z klejnotami po babci.

„Żeby tylko zechciał je przyjąć, żeby tylko nie uznał, że to za mało” – modliła się Jasmina. „Bransoleta jest piękna, wykonana ze złota najwyższej próby. A pierścionek? Taki delikatny, z rubinowym oczkiem i brylancikami wokół. Tylko czy taki zwykły tajniak się na tym pozna?” – zastanawiała się.

Było już jednak za późno, by snuć podobne rozważania. W lokalu panował półmrok

i zalatywało papierosowym dymem. Kilku mężczyzn siedziało przy długich ławach i grało w szachy, tak jakby mieli mnóstwo czasu, jakby na zewnątrz nie toczyła się wojna. Dziewczyna odczekała chwilę, aż oczy przyzwyczają się do braku światła, po czym zeszła po schodkach. Zrobiła jeszcze kilka kroków i... zamarła.

Siedział przy barze i rozmawiał z ładną barmanką z włosami tlenionymi na blond, która, wpatrzona w niego, wybuchała co chwilę perlistym śmiechem. Jasmina widziała tylko plecy mężczyzny i czarne wojskowe buty oparte na metalowym podnóżku wysokiego stołka. A jednak mogłaby przysiąc... Ta przygarbiona, kostusza sylwetka i te buty...

Nadal słyszała ich stukot, jakby głuchy jęk, a może ostrzeżenie, gdy zbliżał się do niej z łapczywym wzrokiem... Tego nie da się zapomnieć...

Brakowało jej powietrza. Drętwienie ręki zaczęło się od palców i pięło w górę aż do serca, które kołatało tak szybko, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi. Nie, nie była w stanie podejść bliżej. Choć przecież wiedziała, że mężczyzna, o którym myśli, jest martwy.

Łzy płynęły jej po policzkach. Tak bardzo pragnęła uwolnić tatę, tyle przecierpiała, a teraz... Wybiegła w ciemną, grudniową noc. Deszcz zacinał ostrymi kroplami z ukosa, a ona gnała w gęsty mrok. Próbowała uciec... przed sobą.

[14] Vrbanja most, czyli most Suade i Olge – most, na którym w czasie ostatniej wojny, w kwietniu 1992 roku, zginęły dwie pierwsze ofiary snajperów, Suada Dilberović i Olga Sučić, a w maju 1993 roku słynna zakochana para, Boško i Admira, podczas próby wydostania się z miasta.

[15] Čaršija – centralna część miasta, która zazwyczaj rozwinęła się pod rządami tureckiej dynastii Osmanów.

ROZDZIAŁ 5

Po nieudanej wizycie w kawiarni Jasmina wróciła roztrzęsiona do mieszkania Tarika i jego rodziców. Postanowiła, że zbierze myśli, uspokoi się i podejmie jeszcze jedną próbę załatwienia wykupu ojca z rąk Serbów. Ganiła się za irracjonalne lęki, które sprawiły, że wzięła obcego mężczyznę za nieżyjącego Ivana Katicia.

„Na wojnie zdarzają się różne rzeczy, ale duchy nie piją śliwownicy i nie podrywają kelnerów w knajpach” – starała się żartować sama z siebie, choć nie było jej do śmiechu. Czuła, jak lepkie macki strachu ściskają ją za gardło i sprawiają, że oddech staje się nieprzyjemnie krótki. Odkąd straciła Dragana i porzuciła ukochany teatr, który był jej oazą, świat wokół zdawał jej się jeszcze bardziej nieprzewidywalny i drapieżny niż wcześniej.

Jak zresztą mogło być inaczej, skoro walki nieustannie trwały, a media wciąż donosiły o nowych zdarzeniach, które trudno było ogarnąć rozumem. Jasmina wiedziała, że w jej rodzinnym Sarajewie od serbskich granatów znów ginęli bezbronni cywile, nigdzie nie było bezpiecznie. W dzielnicy Alipašino Polje śmierć podczas lekcji poniosło troje dzieci i ich nauczycielka, a w szpitalu klinicznym uniwersytetu bomby zabiły dwie pielęgniarki i trzech innych pracowników.

Dziewczyna była czujna niczym zwierzę, wciąż w napięciu, nieustannie gotowa, wśród tysięcy dźwięków potrafiła wyłowić nieznany szelest, by rzucić się do ucieczki. Ta zdolność okazała się bardzo przydatna, ledwo bowiem wróciła do domu Tarika, przez odgłos chrapania gospodarzy przebił się nagły pisk hamulców dochodzący z podwórka.

Wbiegła na palcach do kuchni, by nie obudzić chorego, i wyjrzała przez okno. Z mocno zdezelowanego auta wyskoczyło dwóch rosnących mężczyzn ubranych w kurtki moro. Szybkim krokiem skierowali się w stronę kamienicy. Jasmina miała złe przeczucia, wiedziała, że liczą się sekundy.

– Hej, obudź się! Idą do nas – szarpnęła za ramię przyjaciela. – Są już na klatce.

– Co? Jak?! – Tarik w pierwszej chwili nie wiedział, o co chodzi, szybko jednak otrzeźwiało. – Mówiłem ci, że przyjdą. Dobra, pomóż mi się podnieść! – poprosił i nad wyraz sprawnie usiadł na łóżku. Adrenalina robiła swoje, nagle stał się silniejszy i zdrowszy niż jeszcze kilka godzin wcześniej. – Spakowałeś, o co prosiłem?

– Masz wszystko w plecaku – Jasmina wyciągnęła bagaż spod łóżka. Złapała też swoją kamizelkę i płaszcz.

– Okej, to szybko, do sąsiada! – Tarik oparł się na ramieniu dziewczyny i po chwili byli już na korytarzu.

W gęstym mroku widać było tylko ich oczy. Dotykając ściany, przemknęli pod drzwi

Luki. Gdy naciskali na klamkę, stukot butów na schodach był już bardzo blisko. Wstrzymali oddechy. Tarik wypuścił z płuc powietrze, dopiero gdy znaleźli się w przedpokoju sąsiada.

– Luka, ratuj! – chłopak wszedł do jego sypialni.

– Co się dzieje? – mężczyzna podniósł głowę znad książki, którą czytał przy migotliwym świetle świecy. W głębi pokoju spała jego żona.

– Wybacz, ale tylko w tobie nadzieja. Inaczej już po mnie. Przyszli... Są już pewnie w mieszkaniu... Uciekliśmy w ostatniej chwili – spojrzał z wdzięcznością w kierunku Jasminy. – Do rodziców chyba się nie przypieprzą, prawda? *Jebem im majku!*

– Tak czy inaczej musimy spadać! – Luka natychmiast zerwał się z fotela i szybkim ruchem naciągnął spodnie. Zgarnął ręką kluczyki samochodowe, które leżały na nocnej szafce. – Śpij, śpij, kochanie, niedługo wrócę – uspokajająco musnął w czoło żonę wyrwaną ze snu i ruszył w stronę drzwi.

Wystawił głowę na klatkę schodową pogrążoną w mroku i ciszy. Nie było jednak czasu, by zastanawiać się, czy intruzi weszli już do mieszkania rodziców Tarika, czy są jeszcze na schodach. Trzeba było zaryzykować.

– Za mną, tylko cicho!

– Ale ja... zostaję – dziewczyna zatrzymała się w pół kroku. – Nie wyjadę bez ojca.

– Nie wygłupiaj się, jesteś nam potrzebna – Luka nie zamierzał tracić czasu na rozmowy. – Na rogatkach miasta roi się od chorwackich patroli. Powiem, że wiozę cię do rodziny, razem nie będziemy wyglądać podejrzanie. Poza tym ktoś musi zająć się na miejscu Tarikiem. Spójrz na niego – gestem głowy wskazał na chłopaka, który po mocnych przeżyciach tak osłabł, że ledwo trzymał się na nogach.

– Jasminka, proszę cię...

W głosie młodego dziennikarza wyczuła błaganie, stała jednak niezdecydowana. Wiedziała, że musi pomóc. Tarik pierwszy wyciągnął do niej rękę w tym mieście, dał jej schronienie mimo ryzyka odrzucenia przez sąsiadów, teraz więc przyszła kolej na nią... Jednak tak bardzo chciała odnaleźć ojca. Jeśli teraz wyjedzie z Mostaru, kto wie, co może się wydarzyć, czy będzie miała szansę jeszcze tu wrócić, czy w międzyczasie ojcu w niewoli nie stanie się krzywda...

– Hejże, nie ma czasu! Będziesz się zastanawiać na dole – Luka pociągnął Jasminę za rękę w stronę korytarza.

Poszła, choć serce biło na alarm. „Zatrzymaj się, zawróć! Nie opuszczaj ojca!” – niemal słyszała w uszach matczyny głos. Nie potrafiła jednak zawieść Tarika.

– Do bagażnika, wskakuj! – polecił Luka chłopakowi, gdy zatrzymali się przy aucie.

– No co ty? – Tarik spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Nie ma innego wyjścia. Inaczej cię nie przewiozę. Musisz wytrzymać.

Młody Muzułmanin przez sekundę jeszcze się wahał, jednak odgłos otwieranego okna dochodzący ze szczytu kamienicy pomógł mu w podjęciu decyzji. Niezgrabnie wgramolił się do wozu.

– Ty siadaj z przodu! – krzyknął Luka do Jasminy i, by nie dać jej chwili do namysłu, natychmiast odpalił silnik.

Miał intuicję, bo sekundę po tym, jak dziewczyna zatrzasnęła drzwiczki, z klatki

kamienicy wypadli jak gończe charty dwaj mężczyźni. Jeden z nich był tak szybki, że jeszcze zanim Luka ruszył z piskiem opon, zdołał rzucić się na maskę.

– Co za kretyn! – wrzasnął towarzysz Jasminy i zakręcił kierownicą z impetem.

Chorwackiego napastnika odrzuciło kilka metrów. Jak szmaciana lalka poleciał na kostkę, którą wyłożone było podwórko. O dziwo, szybko pozbierał się z ziemi i niczym RoboCop pognął za samochodem. Nie miał jednak szans i już po chwili został w tyle.

Jasmina i Luka odetchnęli z ulgą, przez pewien czas jechali w milczeniu. Nadal buzowały w nich emocje. Kierowca był wściekły, że, ratując skórę sąsiadowi, zadarł ze swoimi. Był Chorwatem, choć miał w sobie także trochę krwi muzulmańskiej, bo jego dziadkowie ze strony ojca, jak zresztą czterdzieści procent małżeństw w Bośni i Hercegowinie, byli mieszaną parą.

Luka od dziecka chorował na serce, dzięki czemu uniknął wcielenia do wojska i miał nadzieję, że uda mu się nie wplątać w krwawe rozgrywki. A teraz postawił się żołnierzom i wszystko zaprzepaścił... Lecz trudno, lubił Tarika i szanował jego rodziców, którzy bardzo go wspierali w czasie, gdy jego matka zachorowała na raka. Esma ściągала dla niej lekarstwa ze Stanów od swojej żydowskiej rodziny i nie chciała nigdy za to pieniędzy. Jakby tego było mało, gdy Luka i jego ojciec stracili już nadzieję na uleczenie matki, zawiozła chorą do uzdrowiciela, który mieszkał w Banja Luce. A gdy i jego czary okazały się nieskuteczne, to, mimo że sama była innej wiary, zabrała matkę Luki do katolickiego Medjugorje, by mogła uklęknąć przed figurką Gospy^[16], która wielokrotnie objawiała się w tym miejscu. I chociaż żaden z tych zabiegów nie przyniósł rezultatu, a kobieta pożegnała się z życiem, to i tak mężczyzna nigdy nie zapomniał życzliwości sąsiadki. Żadna polityka, żadne podjudzanie narodów przeciw sobie nie mogło zmienić jego ciepłych uczuć w stosunku do ludzi, z którymi co dzień wspinał się po tych samych schodach.

Pędząc autem przez ciemne ulice, Luka miał gonitwę myśli, jednak to Jasmina przeżywała prawdziwe katusze. Nie mogła przeboleć, że z każdym obrotem kół auta oddala się od ojca, który potrzebuje jej pomocy. Oddala się też od Sarajewa, gdzie przeżyła miłość życia. Choć jej obecność w rodzinnym mieście nie mogła już niczego zmienić, odczuwała niemal fizyczny ból, że stary golf wiezie ją w odwrotnym kierunku, niżby chciała.

Jasmina lękała się o Tarika zamkniętego w bagażniku, czy osłabiony, pozbawiony dopływu świeżego powietrza, zdoła przetrwać podróż nad morze. Choć droga nie była daleka, dziewczyna nie mogła przewidzieć, co ich jeszcze tej nocy może spotkać.

A zdarzało się, że trasa, którą dziś przemierzała, tak cieszyła jej oczy. Gdy jechała wraz z bratem na wakacje do Dubrownika, zachwycał ją niezwykle kolor Neretwy lśniącej w słońcu tysiącem odcieni, wzgórze o ciekawych kształtach, pola usiane kwiatami. Pamiętała wspaniały Blagaj, do którego zabrał ich kiedyś ojciec, by w szesnastowiecznej tekji, starym domu derwiszy przycupniętym nad rwącą rzeką Buną, poczuli oddech historii. Ach, jakże smakowały im wtedy pstrągi dopiero co wyłowione z krystalicznie czystej wody wypływającej spod wysokiego kamiennego klifu!

A Počitelj? Z tej miejscowości to dopiero roztaczał się widok! Gdy swego czasu wdrapali się na wysokie wzgórze, do którego dawni architekci „przykleili” kamienne budynki, meczety i twierdzę, zaparło im dech w piersiach. Neretwa wiła się w oddali niczym

zielonkawa wstęga, a oni wchłaniali atmosferę miasteczka pamiętającego czasy legendarnego władcy Stjepana Tvrtka I.

Teraz za oknem migały mroczne kształty domów, oszpeconych, ostemplowanych śladami po kulach. Podziurawione jak sito samochody leżały porzucone w rowach. I tylko deszcz przestał siąpić, jakby szkoda mu było czasu na splukiwanie z ziemi ludzkich grzechów.

– Jasmina, o co właściwie chodzi z twoim ojcem? Dlaczego tak się upierałaś, żeby zostać? – kierowca po dłuższym milczeniu odezwał się w końcu do swojej pasażerki.

Starał się patrzeć na drogę, która była nierówna i pełna dziur, ale co pewien czas zerkał też na dziewczynę. Pomyślał, że jej delikatna uroda zupełnie nie pasuje do wojennej scenerii.

– Bo jestem tutaj ze względu na niego. Muszę wykupić tatę z rąk Serbów. Złapali go na Trebeviciu podczas akcji i podobno przetrzymują go w waszych okolicach.

– W Mostarze? Szczerze wątpię – pokręcił głową.

– Dlaczego? Mówiono mi, że niedaleko stąd, w górach, jest obóz...

– Hm...? – uniósł brwi z niedowierzaniem.

– Uważasz, że to niemożliwe? – Jasmina pobladła.

– Z tego, co mi wiadomo, kiedyś faktycznie tak było, ale teraz nie ma tu żadnych jeńców. Gdzieś ich wywieźli.

– Och, nie! Przecież Tarik mówił...

– Ja zresztą nie wiem, może on ma lepsze informacje – Luka zaczął się wycofywać. Zrobiło mu się żal dziewczyny. Pomyślał jednak, że gdy się smuci, jest jeszcze piękniejsza. Przypominała mu jego szkolną miłość... Ona też była taka eteryczna, jakby nie dotykała ziemi. Lubił takie kobiety. – Kurwa, nie! – niespodziewanie zaklął.

Przejeżdżali właśnie koło chorwackiej barykady. Luka miał nadzieję, że się przemkną, lecz uzbrojony człowiek o posturze niedźwiedzia machnął ręką, by się zatrzymali. Kierowca musiał nacisnąć hamulec.

– Dokąd to o tej porze? – spytał wielkolud. – Papiery proszę.

– Jadę z kuzynką do jej chorej matki. Odwiozę ją i zaraz wracam – mężczyzna podał żołnierzowi dokumenty. Jego głos wydawał się spokojny, ale dziewczyna wyczuła w nim wibracje świadczące o stresie.

– A dokąd dokładnie?

– Pod Stolac.

– Uuu, tam niewesoło. Stanowczo odradzam.

– Słyszałem, jednak dziewczynie strasznie zależy. Wiesz, jak to jest, gdy kobita się uprze...

Luka próbował rozładować atmosferę, jednak Jasmina dostrzegła, jak mocno zacisnął dłonie na kierownicy. Wiedziała, że jest gotów, by w każdej chwili nadepnąć na pedał gazu. Mężczyzna w mundurze też musiał najwyraźniej coś wyczuć, bo nagle ton jego głosu stał się jeszcze bardziej oschły.

– Przeszliśmy na ty? Nie przypominam sobie – zmroził kierowcę wzrokiem. – Bagażnik! Otworzyć proszę.

– Eee... Trochę się spieszymy... – Blade knykcie Luki świeciły w ciemności.

– Dobra, dobra, dalej! – żołnierz wyraźnie się zirytował. Bezwiednie dotknął dłonią

karabinu.

Towarzysz Jasminy, ponaglony tym gestem, niespiesznie wysiadł z auta. Rozejrzał się wokół, by na wszelki wypadek zaplanować drogę ucieczki. Nie wyglądało to dobrze. Wąską szosę zastawiono do połowy zaporą z grubych żerdzi i starych opon oplecionych zardzewiałym kolczastym drutem. Sprawę dodatkowo utrudniał fakt, że z jednej strony drogi było urwisko, a w dole rwąca rzeka, zaś po drugiej stronie piętrzyły się skały, które w ciemnościach przypominały warowny zamek.

Za zaporą Chorwat dostrzegł sylwetki jeszcze dwóch uzbrojonych po zęby żołnierzy. Chwilowo zajęci byli rozmową i nie zwracali na nich uwagi, ale gdy tylko otworzy bagażnik... „Nie mamy szans” – dudniło mu w głowie.

Poczuł, że na czole pulsuje mu żyła, która uwydatniała się zawsze w sytuacjach skrajnego napięcia. Miał tylko nadzieję, że żołnierz, który stanął z boku auta, tego nie zauważył. Drżącą ręką włożył kluczyk w dziurkę tylnej klapy i...

– Niedobrze mi! – drzwi od strony Jasminy otworzyły się nagle z impetem. Dziewczyna wyskoczyła niemal wprost pod nogi żołnierza. Złapała się za brzuch i zgięła w pół, jakby miała zwymiotować wprost na jego buty. – Źle się czuję – jęknęła.

Wyglądała jak swój własny cień, bardzo przekonująco.

– *Jebote!* Tylko nie tutaj! – mężczyzna z karabinem odskoczył gwałtownie na bok. Jego mina wyrażała skrajne obrzydzenie. – Całą noc będzie mi tu cuchnąć.

– Już ją zabieram! – Luka podbiegł do swojej pasażerki i złapał ją w pół.

– Dobra, spadajcie stąd. Tylko prędko! – żołnierz dał się nabrać na aktorską sztuczkę.

Odszedł od samochodu i przestawił zaporę.

– Już starczy. Pozwolił nam jechać – szepnął Luka do dziewczyny, która nadal ciężko oddychała.

Próbował posadzić ją na fotelu, lecz ku jego zaskoczeniu zaczęła się opierać.

– Niedobrze mi, zrozum – jej usta wykrzywiły się, jakby naprawdę było jej słabo.

– No, zjeżdżać mi stąd! Nie słyszeliście? – rosły żołnierz zrobił się czerwony na twarzy.

Znów wymownym gestem oparł dłoń na karabinie, a jego współtowarzysze przerwali rozmowę i spojrzeli czujnie w stronę pary przy aucie.

– Już nas nie ma, sekundę – Luka siłą usadził Jasminę w golfie, a sam wskoczył na miejsce kierowcy. Odpalił motor i nacisnął na pedał gazu.

– *U pičku materinu!* Byłem pewien, że już po nas – zawołał do dziewczyny, gdy odjechali na bezpieczną odległość. – Jesteś po prostu genialna! – Sam bym tego lepiej nie wymyślił. Widziałas, jaką ten facet miał minę? – śmiał się głośno. – Jakbyś mu chciała wrzucić zdechłego szczura za kołnierz.

Jasminie jednak nie udzielił się jego dobry nastrój. Siedziała skulona na fotelu i ciężko oddychała. Jej twarz była blada jak płótno.

– Hej, co z tobą? – Luka zerknął na nią z ukosa.

– Nic, nic, po prostu trochę źle się czuję. Jakbyś mógł, to się na chwilę zatrzymaj – odparła cicho.

– Dobra, odjadę jeszcze kawałek i stanę. Faktycznie, warto by sprawdzić, czy Tarik nie zemdłał, gdy usłyszał nad sobą głos tego draba. A ty... Mówili mi, że z ciebie niezła aktorka, ale nie miałem pojęcia, że aż taka! – w jego głosie brzmiał szczery podziw.

Jasmina jednak nawet się nie uśmiechnęła. Odwróciła głowę i wzięła głęboki wdech. Mogli przed chwilą wszyscy troje zginąć, i to z rąk Chorwata. Tylko dlatego, że ratowali przyjaciela, którego wychowano w innej wierze. Zastanawiała się, czy ten świat ma jeszcze jakiś sens...

Jedno było pewne, nudności, które ją dopadły, nie były udawane ani przypadkowe, lecz powtarzały się regularnie od wielu tygodni. Poza tym zaokrągliły jej się kształty i nabrzmiały piersi... Nie mówiąc już o braku comiesięcznych kobiecych dolegliwości. W końcu nadszedł czas, by sama przed sobą przyznała, co to znaczy.

Instynktownie położyła rękę na brzuchu i nagle poczuła pod nią jakby muśnięcie. Opatrzność znalazła sposób, by zachować piękne uczucie, jakim obdarzył ją Dragan. Ona jednak nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

Ciemną nocą, na wąskiej drodze prowadzącej przez Hercegowinę w stronę Adriatyku czuła się samotna jak nigdy dotąd. Tak bardzo chciała, by jej ukochany był teraz przy niej, by otoczył ją opieką. Potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, dla siebie i małej istoty, której serce biło pod jej sercem. Obawiała się, że w tych mrocznych czasach nie będzie umiała sama jej ochronić. Przymknęła sobie jednak, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by zachować ten niespodziewany dar, który otrzymała od losu. Bo choć moment nie był najlepszy, to o większym nie mogła nawet marzyć.

[16] Gospa, czyli Panna – tzw. Widzącym w Medjugorie miała przedstawiać się jako Błogosławiona Dziewica Maryja.

ROZDZIAŁ 6

Sarajewo

Na resztkach szyb w oknach kamienic mróz malował wymyślne wzory, które nie cieszyły już nawet dzieci. Mieszkańcom miasta odciętego od świata, pozbawionego prądu, bieżącej wody i stałego zaopatrzenia, dzień zlewał się z nocą. Kładli się spać w ubraniach, które nosili za dnia, a poranki zdawały im się zbyt zimne, by zdecydować się na zmianę garderoby. Wyziębieni nie tylko od zewnątrz, ale też od środka ze względu na brak pożywienia oraz ciągły stres, do prowizorycznych piecyków wrzucali pozostałości mebli, tapet zerwanych ze ścian, a nawet woluminy z domowych księgozbiorów. Tylko szaf nie przeznaczali na opał, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy mogą im być potrzebne na ostatnią drogę. Z braku trumien właśnie w nich chowano często zmarłych.

Mała Merjem, siostra Harisa, przez dwa tygodnie nie mogła przeboleć, że matka, by choć o stopień podnieść temperaturę w pokoju, spaliła w piecyku cenne dla niej partytury ukochanego Ravela. Dziewczynka próbowała uchronić ostatni zeszyt z utworem *Bolero* i przez kilka dni chowała go pod poduszką, ale kaszel babci Azry budził w niej tak silne wyrzuty sumienia, że w końcu sama wręczyła go matce.

– Nie mogę słuchać, jak babcia się męczy – powiedziała smutno. – Może pobiegnę do apteki po syrop?

– Oj, kochana, gdyby syrop mógł tu cokolwiek zdziałać... Obawiam się, że będziemy musieli zabrać babcię do szpitala – rzekła matka cicho.

– Nawet o tym nie myśl! – zakrzyknęła staruszka leżąca na łóżku pod ścianą.

Jak na swoje lata miała dobry słuch, choć inne zmysły zaczęły ją zawodzić. Z żalem stwierdziła, że w ostatnim czasie litery w książce zrobiły się mniejsze, w schodach prowadzących do domu jakby urosły stopnie, a jej dłoń nie chciała słuchać poleceń, zwłaszcza gdy trzymała w niej łyżkę z gorącą zupą... Jeszcze do niedawna rządziła całą rodziną, a teraz w sprawie jej własnego zdrowia nie pytano jej nawet o zdanie. Miała wrażenie, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy dystans, który został jej do pokonania na tym świecie, drastycznie się skurczył. Miała jednak do wykonania jeszcze kilka zadań i postanowiła znaleźć w sobie siły, by im podołać.

– Przecież wie mama, że... – odezwała się cicho synowa.

– Wiem, wiem, muszę jednak wydać jedną wnuczkę za męża, drugiej znaleźć kandydata na męża, a trzecią przygotować do koncertu. No i wnukowi powinnam uszyć nowe spodnie do munduru... Dopiero jak to wszystko zrobię, będziesz mogła mnie oddać do tej trupiarni – rzekła twardo babcia.

– Do jakiej trupiarni? Haris mówił, że w szpitalu uniwersyteckim jest lekarz, który potrafi uzdrowić każdego i ma złote ręce.

– To niech je lepiej zachowa dla żony. Mnie on niepotrzebny, na pieśczoły jestem już za stara, a na kaszel wystarczą mi ziółka. – Ostatnie słowo babcia powiedziała na wdechu, bo zaraz znów dopadł ją tak ostry atak, że rodzina miała wrażenie, iż kobieta zaraz wypluje płuca.

– No, właśnie słyszę – synowa pokręciła głową z politowaniem.

Wnuczka zaś pobiegła w kąt pokoju, który został przerobiony na niewielką kuchenkę, i nalała do kubka kleistej mikstury.

– Napij się, babuniu, soku z jeżówki, to ci ulży – odezwała się dwunastolatka ze współczuciem.

– Oj, tylko ty mnie w tym domu rozumiesz – Azra poklepała ją po policzku, gdy skończyła już kasłać. – Mam nadzieję, że jutro wrócą mi siły i trochę razem poćwiczmy, bo twój wielki dzień szybko się zbliża.

– A skąd wiesz, babciu, że on będzie wielki? Może wyjdę na scenę i zaczną mi się trząść kolana...

– Trzęsawki to ty lepiej zostaw mnie – zaśmiała się starsza pani. – A twoje nogi niech sobie nawet tańczą kankana, byle tylko palce robiły, co trzeba. Jestem pewna, że świetnie sobie poradzisz!

– Chciałabym, żeby już było po wszystkim. Lubię koncertować, ale tym razem się boję. Tak bardzo nie chcę zawieźć Jasminy i Dragana... – jęknęła dziewczynka.

– Ale przecież... – babcia sposepniała i spojrzała na małą dziwnym wzrokiem.

– No, wiem... Ich tam nie będzie, jednak to ich teatr... Będzie mi się zdawało, że patrzą na mnie zza sceny... – uśmiechnęła się smutno dziewczynka.

– Masz rację, nasi przyjaciele zawsze są z nami, nawet jeśli któryś z nich zerka na nas już tylko zza światów.

– Ale Dragan... On nie odszedł... Wiesz o tym, prawda? – Merjem wbiła wzrok w twarz starowinki.

– Na pewno gdzieś jest – odparła wymijająco – i... Może nawet się z nim niedługo spotkam? Jeśli tylko... trafię w ręce właściwego anioła. Bo on na pewno w nie trafił. Nie był muzułmaninem, ale miał dobre serce, więc pewnie siedzi teraz sobie jak pasza w otoczeniu siedemdziesięciu dwóch dziewic^[17].

– Przecież ci mówię, babciu, że on żyje. Nie chcesz mi wierzyć, lecz ja miałam sen. Ja i Dragan siedzieliśmy na miękkiej trawie i graliśmy w szachy... – na chwilę się zamyśliła, a na jej dziecięcym czole pojawiła się zmarszczka, lecz po chwili zaczęła mówić dalej: – Świeciło słońce, było bardzo ciepło, nie tak jak teraz. I rozbrzmiewała wokół muzyka! Cichutka, miła. Tylko nie mogłam rozpoznać, co to za utwór. Najpierw myślałam, że to Brahms, lecz potem zabrzmiało więcej instrumentów... Pięknie rozwinęła się muzyczna ścieżka i już nie byłam pewna... Wiem, że Dragan lubi różnych kompozytorów.

– Chyba... lubił, słoneczko – skorygowała ją łagodnie babcia.

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz! – zdenerwowała się dziewczynka. – Lubi. Skończyliśmy grać w szachy, a on dał mi trzy całusy i powiedział, że teraz musi lecieć, ale jeszcze się zobaczymy. Obiecał, że kiedyś przyjdzie na mój koncert... w Paryżu – powiedziała

z zapalem. – A Dragan nigdy mnie nie zawiódł. Muszę powiedzieć Harisowi, żeby przekazał dobrą wiadomość Jasminie.

– Jaką? Że udało ci się we śnie wygrać z Draganem w szachy? – zakpiła matka.

– Że on żyje i że... jest w Polsce! – oburzyła się mała.

– A skąd taki pomysł? – zdziwiła się kobieta.

– Bo ta muzyka... Po przebudzeniu nie mogłam sobie przypomnieć, co to było, ale teraz nagle mnie olśniło! – na okrągłej buzi pojawiły się dwa dołeczki. – Przecież to był koncert Chopina!

– I dlatego myślisz, że Dragan pojechał do Polski? – zaśmiała się mama.

– Oczywiście! To był znak.

– Hm, kto wie, może i jest tak, jak mówisz... – odezwała się cichym głosem babcia. – W końcu nikt nie znalazł jego ciała. Ale Jasminie nie ma co w głowie mieszać, już się bidulka i tak dość nacierpiała.

– Ależ, babciu! Ona musi wiedzieć, że ma na kogo czekać.

Dziewczynka powiedziała to z taką wiarą, że i w sercu babci zaczął tlić się płomyk nadziei. Od początku z całych sił kibicowała dwojgu młodym ludziom wychowanym w odmiennym wierze, choć miała wątpliwości, czy wojna to dobry czas na miłość.

W kolejnych dniach w domu Hadżićiów dużo się działo. By zapomnieć o głodzie i bratobójczych walkach, rodzina starała się koncentrować na dobrych rzeczach. Merjem, nie zważając na huk pocisków rozchodzący się gniewnie po całym mieście, ćwiczyła codziennie do występu w Teatrze Kameralnym 55, który miał się odbyć w ramach akcji charytatywnej zbierania datków dla domu samotnej matki. Mieszkały w nim kobiety wraz z dziećmi osieroconymi przez ojców, którzy zginęli od kul snajperów, bomb moździerzowych lub podczas bitwy na wzgórzach otaczających Sarajewo. Jednym z takich dzieci była bliska koleżanka Merjem, która przeżyła prawdziwą traumę.

Gdy pewnego poranka do mieszkania Adny wpadło czterech uzbrojonych Serbów w poszukiwaniu jej ojca, ośmiolatka schowała się w szafie. Jej czternastoletnia siostra Lamija nie miała tyle sprytu, a może nie była tak szybka. O północy zbudził ją ból brzucha wywołany tym, że z dziewczynki zaczęła przemieniać się w kobietę, więc przestraszona pognęła do matki i już do rana leżała u jej boku. Nie miała pojęcia, że tego dnia to zazwyczaj tak bezpieczne miejsce stanie się sceną tragedii.

Serbowie już od progu wydawali się wściekli, a gdy okazało się, że nie zastali w domu muzułmańskiego lekarza, który według ich wiedzy organizował przerzuty rannych przez lotnisko, postanowili zemścić się za niepowodzenie na kobietach.

Skulona w rogu szafy Adna, wtulona w płaszcz pachnący matką, słyszała ich pełne nienawiści głosy i szydercze śmiechy. Zaproponowali pani domu paczkę ryżu za wydanie kryjówki męża. A gdy kobieta odmówiła tonem, w którym lęk mieszał się z pogardą, życiodajne ziarna niczym grona gniewu posypały się na drewnianą podłogę. Ten dźwięk był jak sygnał, jak bezlitosne werble, które wybijają rytm, nawołując do ataku.

Jeden z żołnierzy powalił matkę silnym pchnięciem na łóżko, w którego kącie kuliła się Lamija. Gdy sprawnym szarpnięciem rozdarł kobiecie koszulę i zanurzył głowę między jej obfite piersi, tylko jęknęła. Gdy jednak drugi wyciągnął włochate ręce po jej córkę, znalazła w sobie resztki siły, by się przeciwstawić. Pierwszego z napastników kopnęła

w krocze, drugiemu wbiła w twarz paznokcie, zostawiając na niej krwawe szramy.

Mężczyzna syknął z niedowierzaniem, lecz już po chwili z furią odparł atak. Wymierzył kobiecie cios tak mocny, że jej głowa odbiła się od ściany jak piłka. Drugi z napastników natarł na nią niczym byk i jednym szarpnięciem zdarł z niej resztki koszuli. Pozostali, rozochoceni zapachem strachu półżywej ofiary, skoczyli za nim.

Adna słyszała szcęk sprzączek metalowych pasków i przeraźliwe krzyki matki i siostry. Próbowwała zatkać sobie uszy, nie chciała niczego widzieć, pragnęła stać się jedną z sukienek zwisających w szafie, a jednak... dziurka od klucza paliła jej oko.

Po wielu godzinach, gdy zwyrodnialcy dawno odeszli, ojciec znalazł ją na wpół żywą z przerażenia pod stertą ubrań. Matka i siostra, obie w stanie apatii, skulone na łóżku, przygarnęły ją do siebie jak pisklę. A potem nienawiść wydała na świat nienawiść.

Mężczyzna popędził na swój szpitalny oddział i zgarnął z sali operacyjnej chirurgiczne narzędzia. Uważał zawsze, że urodził się po to, by zwracać ludziom życie, teraz jednak w wyobraźni widział, jak jego wrogom wychodzą z orbit oczy. Hakiem przygwoździ ich ciała do ściany, lancetem wykona szybkie cięcie. Jest to winien żonie i córce, jego najdroższej Lamiji.

Straszliwy gniew zalewał mu oczy i kazał zapomnieć o ostrożności. Gdy lekarz wbiegł na most, by przedostać się na serbską stronę miasta, dosięgła go snajperska kula, wystrzelona zapewne przez innego męża i ojca. I tak mała Adna, jej siostra i matka zostały na świecie same z przekonaniem, że dla mężczyzn zemsta ważniejsza jest od życia.

Merjem mocno przeżyła tragedię, która spotkała jej młodszą koleżankę, miała jednak swój sposób na ucieczkę od mroków wojny. Była nią muzyka. Oddawała się jej całą sobą, zatracala w niej, sama się nią stawiała. Potrafiła pod wpływem dźwięków szybować na takich wysokościach, że do jej uszu nie dolatywały ani odgłosy wystrzałów, ani huk pękających murów.

O jej talencie przekonali się goście wirtuozowskiego koncertu, który w połowie grudnia dziewczynka dała na deskach swojego ulubionego teatru. Gdy wdzięcznie dygnęła, dziękując za uwagę, publiczność poderwała się z miejsc i długo nie pozwoliła jej zejść ze sceny. Słuchacze pragnęli jeszcze choć przez chwilę przebywać wraz z nią w innym, lepszym świecie.

– Udało się, udało! Goście bili brawo, zebraliśmy dużo datków – dziewczynka z zapałem zdawała relację z koncertu babci Azrze, która ze względu na swoją chorobę nie mogła wziąć w nim udziału.

– To świetnie, brawo! Te pieniądze bardzo się przydadzą rodzinie doktora Huseina – kobieta posłała jej uśmiech.

– Doktora Huseina? Jak to? Przecież miały być dla mojej Adny – zdziwiła się dziewczynka.

– No, właśnie... Widzisz, jaki ten świat mały. Okazało się, że to doktor Husein był ojcem twojej koleżanki – oznajmił smutno Haris. – Miałem zabrać do niego babcię, ale on nie będzie już mógł pomóc ani nam, ani swojej rodzinie.

– Ojej! On był tatą Adny? – Merjem zakryła bladą dłonią usta. – I co teraz będzie z naszą babcią? – zmartwiła się.

– No właśnie, co? – zawtórowała jej Meliha.

– Dla babci znajdziemy innego doktora, gorzej z listem... – skrzywił się chłopak.

– Z tym do Jasminy? – domyśliła się Merjem.

– Owszem, doktor Husein obiecał dostarczyć go do Mostaru swoimi kanałami, a tak...

– Ech, przecież te informacje o Draganie były wyssane z palca, małej wszystko się tylko przyśniło... – wtrąciła się w rozmowę matka, która do tej pory krzątała się koło kuchenki i wyglądała, jakby była zajęta własnymi sprawami.

– No niby tak, ale... – Haris urwał jej w połowie zdania.

– Ale co? Powiedz! – Merjem wbiła w niego spojrzenie bystrych oczu. Wyczuła, że brat ma jakąś ważną informację. Umiała świetnie czytać z jego twarzy.

– To może jeszcze nic nie znaczyć...

– No powiesz w końcu? – teraz i matka zaczynała tracić cierpliwość.

– Bo widzicie... To trochę dziwna sprawa... Gdy ostatni raz widziałem się z doktorem, wspominał mi o pewnym żołnierzu, który przynosił mu różne rzeczy znalezione w mieście. Wierzył, że lekarz pomoże mu je dostarczyć właścicielom, bo ma szerokie kontakty.

– To takie dziwne? – wtrąciła Šaćira.

– Poczekaj. Tu chodzi o to, co ten żołnierz ostatnio znalazł... To jest coś, co może bardzo, ale to bardzo zainteresować Jasminę. Zeszyt z wierszami!

– A co, ona tak lubi poezję? – spytała babcia.

– Taką na pewno, bo ten kajet należał do Dragana.

– Ach! To twój przyjaciel pisał wiersze? Czułam, że miał duszę romantyka – ucieszyła się babcia.

– A gdzie ten człowiek znalazł jego zeszyt? – dopytywała Meliha.

– No właśnie, gdzie? – kilka par oczu wpatrywało się w Harisa z napięciem.

– No i to jest najdziwniejsze, bo... przy wyjściu z tunelu. Już po tamtej stronie!

– Naprawdę? – Merjem aż podskoczyła na krześle. – To może znaczyć, że...

– No właśnie – pokiwał głową Haris.

– Wiedziałam! – dziewczynka klasnęła w dłonie.

– A kto wam mówił, że nadzieja umiera ostatnia? – matka, która dołączyła do kręgu osób zgromadzonych wokół łóżka, wypięła pierś jak po order.

– Babcia! – zawołała Merjem, a jej rodzeństwo wybuchło głośnym śmiechem.

– Tylko jak my teraz przekazemy te dobre wieści Jasminie? – zamyśliła się seniorka rodu.

Ona zawsze wybiegała myślą w przyszłość. Poczwała, że wstępują w nią nowe siły, miała kolejny cel – przypilnować, by Jasmina i Dragan odnaleźli się choćby na krańcu świata. A trudne zadania zawsze stawiała ją na nogi lepiej niż najdroższe lekarstwa.

[17] Muzułmanie wierzą, że na dusze wiernych islamistów czekają po śmierci siedemdziesiąt dwie dziewice, które stają się ich żonami.

ROZDZIAŁ 7

Dubrownik

Jasmina od zawsze kochała morze. Adriatyk kojarzył jej się z koroną chmur nad srebrzystymi murami starego Dubrownika i z błyskiem kostki Stradunu, wyslizganej stopami niezliczonej rzeszy turystów. Z szemraniem Wielkiej Fontanny Onufrego i z delikatnymi dźwiękami muzyki Mozarta sączącej się przez okna Pałacu Sponza. A także z nieco surowym obliczem ciotki Draženki, członkini zakonu Marijne Sestre Čudotvorne Medaljice^[18], która pracowała w dubrownickim szpitalu i mieszkała wraz z innymi zakonnicami w niewielkiej willi przy ulicy Cavtatskiej.

W tym właśnie domu wychowała swojego chrześniaka, ojca Jasminy, jako jedno z osieroconych dzieci, nad którymi zakonnice roztoczyły opiekę, a potem przyjmowała na wakacje jego dzieci – Jasminę i Marka.

Ciotka zawsze nosiła szary habit, a na twarzy wyraz niezadowolenia i zaciętości. Niechętnie się odzywała, jednak gdy już to robiła, jej słowa na długo zapadały w pamięć, umiała bowiem dopiec nimi do żywego. Choć głosiła teorię, że nasz los zależy od woli Boga, a jej wzorem była święta Katarzyna Labouré^[19], która po stracie matki w wieku dziesięciu lat oddała się pod opiekę Matce Boskiej, to nie było w niej pokory. Nieraz próbowała wpływać na postępowanie i życiowe wybory innych ludzi.

Jej ofiarą padła też Jasmina, bo ciotce nie spodobała się teatralna pasja dziewczyny. Twierdziła z całą stanowczością, że kobieta – zamiast wdzięczyć się na scenie, jak to nazywała, i wypinać pośladki – powinna zajmować się czymś przydatnym dla ludzkości. Niestrudzenie więc przekonywała swojego chrześniaka, by posłał córkę na medycynę, a jeśli zawilości przyrodniczych przedmiotów i łacińska deklinacja okazałyby się dla niej za trudne, by kształcił ją na przedszkolankę.

Drażence nie przypadło też do gustu imię dziewczyny. Nie mogła pojąć, jak to się stało, że rodzice nazwali ją Jasmina, choć oboje byli Chorwatami. Jej zdziwienie wynikało stąd, że imię to, niewątpliwie piękne i wywodzące się od nazwy pachnącego kwiatu, było pochodzenia perskiego i dawano je w Bośni głównie muzułmankom. Do ciotki zupełnie nie przemawiały argumenty, że to imię nosiła prababcia dziewczyny (ze strony jej matki), która – o zgrozo! – miała w połowie muzułmańskie korzenie, ale która zasłynęła godną podziwu odwagą.

Gdy była bardzo młodą dziewczyną, w hercegowińskiej miejscowości, w której mieszkała, pewnej nocy rozpętała się wielka burza. W stary dąb uderzył piorun. Przerażliwy skowyt psa i gdakanie kur wyrwały ją ze snu. Wyskoczyła z łóżka

i spostrzegła, że cały dom spowity jest dymem. Ogień strawił już część przybudówki i zbliżał się pod drzwi sypialni jej sześcioletnich braci bliźniaków i trzyletniej siostry.

Pech chciał, że rodziców nie było w domu, bo tę noc spędzali na wsi u chorej matki, więc siedemnastolatka mogła liczyć tylko na siebie. Niewiele myśląc, rzuciła się do ratowania rodzeństwa oraz żywego inwentarza. Krztusząc się i potykając, wyniosła dzieci na dwór, a potem wraz z czarno-białym kotem, przerażonym kundlem i gromadką kokoszek odstawiła do sąsiadki, której dom stał na wzgórzu, w pewnym oddaleniu. Następnie pognęła z powrotem, by powiadomić mieszkańców miasteczka o wybuchu pożaru. Wielu z nich nadal spało, mimo że ogień zaciskał już pierścień wokół ich domów.

Jasmina zdołała obudzić kilkoro sąsiadów, lecz drzwi, do których należało zastukać, było jeszcze bardzo wiele. Wiedziała, że brakuje jej czasu i musi znaleźć inny sposób, by wszcząć alarm. Spojrzała w stronę meczetu ozdobionego wysokim minaretem i pożałowała, że nie jest muezinem, którego głos potrafi przedzierać się nawet przez odgłosy burzy. I wtedy przypomniał jej się stary dzwon umieszczony na wieży kościoła, niedaleko jej domu.

Gdy jednak się pod nim znalazła, ogarnęło ją przerażenie, dół budowli otoczyły już bowiem ogniste płomienie, a powietrze drgało od żaru. Mimo to prababcia Jasminy rzuciła się przed siebie, wbiegła na wpół spalone drewniane schody i nie dała się z nich zepchnąć ani ognistym jęzorom, ani podmuchom wiatru. W końcu dwiema rękami chwyciła za sznur i wprawiła w ruch ciężki dzwon, a jego donośny głos podniósł mieszkańców miasta na równe nogi.

O mały włos nie przypłaciła swego czynu życiem. Tamta noc pozostawiła na zawsze pamiątkę na jej rękach i nogach w postaci tatuaży poparzeń, a jednak w pewnym sensie jej pomogła. Przed pamiętnym zdarzeniem dziewczyna miała nie lada dylemat, czyją wiarę wybrać: ojca muzułmanina czy matki katoliczki. Tej nocy zaś wybór sam się dokonał. To wieża katolickiego kościoła pomogła jej uratować mieszkańców miasteczka, więc Jasmina uznała to za wskazówkę od losu i raz na zawsze zwróciła się w stronę chrześcijaństwa.

Wiele lat później jej wnuczka, Ana Jovanović, także uwierzyła w znaki. Gdy po przedwczesnym urodzeniu wątłej i słabowitej córeczki przyśniła jej się bohaterska babcia, przekonała męża, by nadali dziecku jej imię. Bo choć w żyłach przodkini nie płynęła czysta chorwacka krew, to jednak kobieta miała charakter godny podziwu – nigdy się nie poddawała. Dla matki zaś najważniejsze było to, by malutka Jasmina tak jak i jej prababka umiała walczyć o życie.

Ciotka Draženka знаła na pamięć tę opowieść, a mimo to twierdziła, że tylko imię Maria po Najświętszej Panience mogłoby dziewczynce pomóc obmyć duszę z grzechu. Bo czyż nie jest nim posiadanie domieszki krwi poturczeńców? Według niej grzech był to wielki.

Jasmina, która spędziła u ciotki niejedne wakacje, dobrze знаła jej dziwaczne przekonania, jednak tej nocy, gdy uciekała z Bośni objętej szaleństwem wojny i zmierzała nocną porą w stronę Dubrownika z muzułmaninem ukrytym w bagażniku, liczyła na to, że w Drażence odezwie się wrażliwa struna ludzkiej natury. W końcu taką też posiadała. Bo mimo że krewna nie należała do sympatycznych osób i miała bardzo jasno

sprecyzowane poglądy na sprawy związane z wiarą, przez całe życie pomagała innym ludziom, czy to w szpitalu jako pielęgniarka, czy to w domu zakonnicy jako opiekunka osieroconych dzieci. Jasmina uznała więc, że w ciężkich chwilach ma prawo liczyć na jej przychylność. Zresztą oprócz ciotki nie posiadała za granicą innych krewnych.

Po kilku godzinach jazdy starym golfem, przygodach, które mogły się skończyć tragicznie dla całej trójki, Tarik, Jasmina i Luka przekroczyli w końcu granicę z Chorwacją i dziewczyna poczuła przypływ nowej energii. Tak, oddalała się od rodzinnego domu, od matki i Gocy pozostawionych samym sobie w oblężonym mieście, od ojca uwięzionego Bóg wie gdzie, od brata pałającego pragnieniem zemsty na wszystkich wokół i od najpiękniejszej pod słońcem miłości. Jednak teraz zyskała nowy cel w życiu. Miała zostać matką.

Z samochodowego radia sączyła się cichutko piosenka Jacquesa Brela, która idealnie pasowała do jej nastroju.

*Nie opuszczaj mnie,
każda moja łza
szepcze, że co złe
się zapomnieć da.
Zapomnijmy ten
utracony czas,
co oddalał nas,
co zabijał nas
i pytania złe
i natrętne tak –
Jak? – Dlaczego? – Jak?
Zapomnijmy je.
Nie opuszczaj mnie.
Nie opuszczaj mnie.
Nie opuszczaj mnie.*

*Ja deszczowym dniem
Ci przyniosę z ziem,
gdzie nie pada deszcz
perł deszczu sznur,
jeśli umrę, z chmur
spłynie do Twych rąk
światła złoty krąg
i to będę ja...[\[20\]](#)*

Jasmina też miała swój złoty krąg i chciała go chronić za wszelką cenę, nawet jeśli Drażence miałyby się nie spodobać, że oczekuje dziecka w tak niepewnych czasach. Niechże ciotka mówi, co chce, tylko niech jej pomoże, pozwoli przyłożyć głowę do poduszki, by choć na chwilę mogła zapomnieć o rzeczywistości.

Jednak gdy o czwartej nad ranem zapukała nieśmiało do drzwi domu sióstr zakonnych na ulicy Cavtatskiej, odpowiedziała jej głucha cisza. „Czyżby siostry spały tak mocno?” – zdziwiła się. Spojrzała niepewnie na Lukę opartego o samochód.

– I co teraz? – westchnęła.

– Mówiłaś, że ta meta jest pewna... – skrzywił się mężczyzna. – Jeśli chodzi o mnie, to mogę zdrzemnąć się choćby w samochodzie, ale spójrz na niego – wskazał na Tarika, który z zamkniętymi oczami i bardzo bladą twarzą siedział na miejscu dla pasażera.

– Ech, gdybym tylko wiedziała, gdzie ta moja ciotka się podziała... – rzekła Jasmina.

– A kiedy ostatni raz miałaś z nią kontakt?

– Sama nie wiem. Chyba w dziewięćdziesiątym pierwszym w lecie.

– Hm... Przez ten czas mogło się wiele zmienić. Tu też nie było wesoło. JNA^[21] waliła w nich przez siedem miesięcy z gór, z morza i z powietrza. Serbowie mieli nadzieję, że uda im się przyłączyć ten teren do Czarnogóry albo przynajmniej stworzyć separatystyczną Republikę Dubrownicką. Widać zresztą, jakie tu było piekło – Luka wskazał ręką dziury po pociskach, którymi upstrzone były ściany willi wyłaniających się z mroku. – Nie ma co, niczego mądrego teraz nie wymyślimy. Prześpijmy się w aucie, a rano popytamy sąsiadów o twoją ciotkę.

Mocno zapadnięte siedzenia starego golfa nie były wymarzoną podróżą, jednak wszyscy troje szybko zapadli w sen. Tarik co chwila mruczał pod nosem niezrozumiałe słowa i machał rękoma, jakby odganiał niewidzialnego wroga. Luka przeplatał głośne chrapanie z czymś na kształt bezdechu, a Jasmina... Ona podróżowała statkiem.

Wody Adriatyku w jej śnie nie były spokojne. Gniewne fale z coraz większą furją obmywały pokład, wykonując dzikie salta. Kudłate chmury przesłaniały księżyc, który nawet nie próbował oświetlać morskiej drogi.

Jasmina jedną ręką kurczowo uczepliła się liny, a drugą starała się chronić swój brzuch i poczęte w nim życie. Długie mokre włosy smagały ją po twarzy i przesłaniały oczy, powoli traciła nadzieję, że uda jej się przetrwać. Zwłaszcza że wiatr pchał ich żaglówkę na wyspę otoczoną ostrymi skałami.

Wprawny żeglarz, stojący za sterami, jakimś cudem przybił jednak do brzegu i pociągnął dziewczynę w stronę kamiennego kościoła, jedyne budynku na tym skrawku ziemi.

Świątynia była niepozorna, jakby zapomniana, jednak przez jej witrażowe okna sączyło się światło i muzyka. W dźwiękach organów, a może w szeleście wiatru ciężarna rozpoznała melodię *Ave Maria*. Czyżby sternik przywiózł ją na wyspę z konkretnym zamiarem? Pewnie kieszeń jego lnianej marynarki skrywała dwie obrączki... Jeśli jednak miał to być ten dzień, najważniejszy w życiu, to dlaczego skradali się niczym szpiedzy?

Wnętrze kościoła rozświetlały jedynie świece. Przy niskim stoliku na miękkim dywanie siedzieli mężczyźni. Dopiero po chwili Jasmina zorientowała się, że rozpoznaje ich twarze.

Jeden z nich wyróżniał się okazałym, nagim brzuchem, a do jego twarzy przyklejony był dobrotliwy uśmiech. Drugi miał zamysłone oczy i koronę cierniową, zaś z jego rąk i nóg sączyła się na dywan cienka stróżka krwi. Trzeci, z surową miną, długą brodą i wielkim turbanem na głowie, przesuwiał paciorki na swoim sznurze, mamrocząc pod nosem: „Allahu akbar!”^[22]. Nad ich głowami, pod sklepieniem kościoła krążyli aniołowie –

niemi strażnicy z wielkimi skrzydłami jak u nietoperzy.

„Gdzie ja jestem? Co tu się dzieje?” – nie mogła pojąć dziewczyna. Chciała już wypowiedzieć na głos te pytania, ale chłopak, z którym tu przybyła, położył palec na ustach na znak, by była cicho.

– No i widzicie, mówiłem wam, żeby nie dawać ludziom broni do zabawy – odezwał się najpogodniejszy i zarazem najtęższy z biesiadników. – Wiedziałem, że nie są jeszcze wystarczająco dojrzały.

– Byłem pewien, że użyją jej tylko po to, by polować – westchnął mężczyzna w cierniowej koronie.

– No i polują, na siebie nawzajem! – prychnął trzeci.

– Panowie, nadszedł chyba czas, by jasno sobie powiedzieć, że schrzaniliśmy... – pulchny rozłożył ręce.

– No to zagrajmy jeszcze jedną partyjkę i kończmy – uśmiechnął się ponuro mężczyzna w turbanie. – Kto przegra, gasi światło – jego głos zabrzmiał szyderczo.

Zamaszystym ruchem wyrzucił z plastikowego kubeczka na stół kości. Puk, puk, trach, trach! Potoczyły się po drewnianym blacie. Puk, puk, trach, trach!

Jasmina zamarła. Złowrogie dźwięki były tak przejmujące, że w końcu... otworzyła oczy.

Po drugiej stronie lekko zaparowanej szyby ujrzała zgięty palec.

W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest i co się dzieje. Poczuła, jak bardzo zdrętwiały jej kończyny. Mrówki spacerowały po obu jej stopach i ręce. Nieprzyjemne uczucie.

Rozejrzała się wokół. Na przednich siedzeniach auta spali w najlepsze jej towarzysze. Tarik ze zmarszczonym czołem i policzkiem przyklejonym do szyby wyglądał, jakby bardzo nie chciał, by ktoś mu przeszkadzał, zaś Luka z głową opartą na zagłówku siedzenia i otwartymi ustami głośno wypuszczał z ust powietrze. Nogi w mocno przetartych skarpetach oparł na desce rozdzielczej.

Dziewczyna w obawie, że stukanie palca może obudzić jej współpasażerów, otworzyła drzwi i wysiadła z auta, by uciszyć nieznanego, który przerwał jej sen.

– Tu nie wolno parkować – odezwał się mężczyzna w średnim wieku.

Miał niezbyt miły, zachrypnięty głos, wąskie usta i małe świdrujące oczka, które zazwyczaj charakteryzują wścibskich ludzi.

– Mieszka pan w okolicy? – Jasmina stanęła w taki sposób, by nie mógł przypatrywać się przez szybę Tarikowi, którego delikatnie orientalne rysy mogły zdradzać jego pochodzenie.

– A co, chce pani wpaść do mnie na kawę? – nieznajomy zmienił nagle ton i posłał jej uśmiech godny podrywacza.

Miała alergię na takie zachowania.

– Myślałam, że może wie pan, co się stało z zakonniami, które tu mieszkały? – wskazała ręką na dom ciotki. Budynek, dobrze widoczny w świetle poranka, wydawał się zupełnie opustoszały.

– A, siostrzyczki?! Zwinęły się jakiś czas temu – odparł.

– Co to znaczy „zwinęły”?

– Z tego, co wiem, jedną papież wezwał do Rzymu... Szczęściara! A druga...? Z tej to dopiero było niezłe ziółko! Pokłóciła się ze wszystkimi. Z ordynatorem w szpitalu i z naszym proboszczem...

– O, to musiała być moja ciotka! – przerwała mu dziewczyna.

– Naprawdę? Pani krewna? – zainteresował się.

– Siostra Drażenka – uśmiechnęła się krzywo.

– No, właśnie o niej mówię! – przytaknął mężczyzna. – *Drażenka*^[23] to ona za bardzo nie była. Wiem coś o tym, bo przychodziła kiedyś do mojego ojca, gdy go zmoгло zapalenie płuc. Staruszek okropnie marudził, ale ona okazała się gorszym czortem od niego.

– A wie pan może, gdzie mogę ją teraz znaleźć?

– Na szczęście już nie tutaj. Wybrała jedyną słuszną drogę... – zrobił porozumiewawczą minę.

– Zmarła...? – Jasmina zrobiła wielkie oczy.

– Skądże! Zamknęła się w klasztorze. Pojechała na którąś z wysp, ale dokąd dokładnie, to nie wiem.

– Uf, a już się przestraszyłam.

– Czyli jednak ją pani trochę lubi? – uśmiechnął się wyrozumiale.

– Powiedzmy, że mam do niej sprawę...

– A co, szukacie schronienia? – mężczyzna obrzucił samochód uważnym spojrzeniem. Jego wzrok przykuła bośniacka rejestracja.

– E, nie... Tak po prostu chciałam... – Jasmina wyraźnie się zmieszala. Nie zamierzała wciągać obcego w swoje sprawy. W tych czasach należało być ostrożnym.

– Jasne! – powiedział z przekąsem. – Gdybyś jednak doszła do wniosku, że przyda ci się pomoc, to mieszkam tam, za rogiem – wskazał ładny budynek pokryty czerwoną dachówką. – Sam, więc rozumiesz...

– Dziękuję. Nie miałabym się jak odwdzięczyć – spojrzała na niego czujnie. Nie skomentowała faktu, że nagle zaczął się do niej zwracać na ty.

– Naprawdę? – posłał jej przeciągłe spojrzenie szarych oczu. – Taka ślicznotka jak ty...? Zawsze znajdzie się jakiś sposób.

Odgarnął dłonią kosmyk włosów z jej policzka. Gwałtownie się odsunęła. Znała dobrze ten lubieżny wzrok i tę stalową barwę tęczywek...

– Proszę mnie nie dotykać – wzdrygnęła się.

– A co ty taka wrażliwa? – przysunął się jeszcze bliżej, tak że prawie przygwoździł ją do auta.

– Co jest, Jasminko? – nagle z wnętrza samochodu wychynął Luka.

– Nic, nic. Okazało się, że mojej ciotki tu nie ma. Ale wiem już, gdzie możemy się o nią dowiedzieć, więc jedźmy! – odpowiedziała szybko i, nie żegnając się nawet z nieznanym, schowała się do samochodu.

Wspomnienia kotłowały się w jej głowie. Czuła, że dziobią jej pamięć jak sępy. Mężczyzna... Stalowy kolor oczu, lubieżny wyraz twarzy i te jego dłonie, wszędzie jego dłonie... Czy to się miało nigdy nie skończyć? Wpadła w panikę, a przecież ten człowiek na ulicy tylko z nią rozmawiał.

Na dodatek znów nie mogła liczyć na bezpieczne lokum. By chronić kruszynę, którą

w sobie nosiła, była gotowa przesuwać granice poza horyzont, jednak nie kosztem honoru. Dlatego, choć nie było to dla niej łatwe, musiała znowu ruszyć w drogę.

[18] Siostry Maryjne Cudownego Medalika.

[19] Katarzyna Labouré miała widzenie Matki Boskiej i na tej podstawie stworzyła wzór medalika, który stał się później symbolem zakonu.

[20] Fragment tekstu piosenki *Nie opuszczaj mnie* Jacques'a Brela, tłumaczenie Wojciech Młynarski.

[21] JNA – Jugosłowiańska Armia Ludowa. Na terenach wokół Dubrownika rekrutowała się głównie z Czarnogórców.

[22] Bóg jest wielki! – sentencja arabska.

[23] Imię Draženka pochodzi od słowa *draga*, które po chorwacku oznacza „miła”, „droga”.

ROZDZIAŁ 8

Warszawa, 31 grudnia 1993

Katarzyna siedziała sama w mieszkaniu za Żelazną Bramą i bez zainteresowania śledziła obrazy migające w telewizorze. Edyta Wojtczak, miła prezenterka, twierdziła, że już za trzy godziny zacznie się wspaniały nowy rok i wszystkie smutki, jeśli widzowie w ogóle jakiegokolwiek mają, zostaną za nimi daleko.

– Tak, jasne, hokus, pokus i będę szczęśliwa! – prychnęła kobieta okutana grubym szlafrokiem.

Już nawet nie pamiętała, co to jest radość. Ostatni raz czuła się dobrze, gdy mama doniosła jej, że w ich rodzinnych okolicach w końcu utworzono Park Narodowy Gór Stołowych, czyli bodaj we wrześniu. Potem było już tylko z górki. W pracy coraz więcej zadań, koleżanki dziwnie zawistne, mąż coraz rzadziej w domu, a wieści o synu jak nie było, tak nie ma.

Ten sylwester też miał wyglądać zupełnie inaczej. Edward obiecał, że zabierze ją na koncert gwiazd operetki do Kongresowej, a potem pójdą na potańcówkę do jednego w warszawskich klubów, których właściciele prześcigali się, by zapewnić gościom rozrywkę na najwyższym, oczywiście zachodnim poziomie. Szampan miał się lać strumieniami, a oświetlony stroboskopem parkiet zachęcać do tańców do upadłego. Stoły zaś miały się uginać od dań tak wymyślnych, że trudno by było je spamiętać. Przynajmniej tak zapewniała ulotka reklamowa.

Katarzyna wypatrzyła już nawet elegancką suknię w centrum handlowym Promenada, w kolorze butelkowej zieleni, z seksownym rozcięciem do uda i nawet podjęła decyzję, by ją kupić, gdy na tydzień przed sylwestrem jej mąż oznajmił, że zmieniły mu się plany.

– Wybacz, Kasiu, ale nie dam rady. Nie potrafię płasać, gdy wiem, że nie wyrabiam się z pracą. Lillehammer już tuż, tuż, a ja mam jeszcze kupę spraw do domknięcia – tłumaczył.

– I będziesz je domykał właśnie w Nowy Rok? – trudno jej było w to uwierzyć.

– No co zrobić? Przecież olimpiada zimowa jest raz na cztery lata, a ta będzie moją pierwszą w Polsce. Nie mogę zawieść, wiesz o tym. Ale jak wrócę z igrzysk, to wszystko ci wynagrodzę – ucałował szarmancko jej dłonie.

– A nad czym musisz pracować akurat w sylwestra? Będziesz ostrzył płozy w sankach? – Katarzyna nie dawała za wygraną.

– Oj, Kasiu, zrozum... Mam taką możliwość... Zupełnie wyjątkową... – na chwilę zawiesił głos, jakby się zastanawiał, jak jej to najlepiej sprzedać. – Chcę zrobić

ekskluzywny materiał o jednej z naszych olimpijek, o tym, jak spędza sylwestra przed najważniejszym startem w życiu.

– Tak? A kto to taki?

– Łyżwiarka, Ania Rechnio^[24] – uśmiechnął się na wspomnienie jej długich nóg. – Bardzo zdolna, ma duże szanse na medal – dodał pospiesznie.

– Hm... To ta ładna blondynka, której zdjęcie widziałam na twoim biurku? – najeżyła się Kasia.

– Eh, gdzież tam ona ładna? Nos ma duży.

– I właśnie dla tego jej nosa chcesz mnie zostawić samą? – popatrzyła na męża chmurnie.

– Kasieńko, wynagrodzę ci to, obiecuję – uśmiechnął się do niej najpiękniej jak potrafił.

– Ale wiesz przecież, że chwilowo muszę skupić się na pracy. Takie materiały, jak ten, są naprawdę w cenie. Teraz ludziom nie wystarczy już tylko przyglądanie się, jak sportowiec wygrywa, nawet w pocie czoła, oni chcą czegoś więcej, chcą zajrzeć do jego sypialni, do lodówki, dowiedzieć się, jaką pastą myje zęby...

– Ile razy się wypróżnia... – weszła mu w słowo.

– No, nie przesadzajmy, mówimy przecież o pięknej kobiecie... – skrzywił się z dezaprobatą.

– Więc jednak pięknej?

– Powiedzmy... ujmującej – odruchowo przeczesał palcami grzywkę. – I my to wszystko musimy widzom pokazać, musimy się wyróżnić, bo jak nie, to Jedyńka zdmuchnie nas jednym ruchem.

– To pewnie już niedługo zostaniesz paparazzim? – pokiwała głową z politowaniem.

– No też coś! Przecież ja to wszystko pokażę subtelnie, z prawdziwą klasą – oburzył się.

– Nie znasz mnie?

– Coraz częściej się nad tym zastanawiam – Kasia uśmiechnęła się kwaśno.

Teraz gdy siedziała sama, a odgłosy fajerwerków dochodzące z za okna przypominały jej o tym, że trwa właśnie czas zabawy, dopadła ją prawdziwa chandra. Nadchodził kolejny rok, a ona miała wrażenie, że w jej życiu brakuje stabilizacji.

Mężczyzna jeszcze do niedawna wydawał się jej opoką, na której można się wesprzeć w każdej chwili. Teraz zaczął wymykać jej się z rąk. I nie chodziło tylko o to, że całkiem oszalał na punkcie pracy. Czują, jak się od siebie oddalają. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz zatrzymał dłużej wzrok na jej ciele, kiedy z wyrazem pożądania przejechał palcami po jej skórze... Czy on widział w niej jeszcze kobietę? Czy może była już tylko osobą, która płaci połowę czynszu za wspólny dach nad głową?

A przecież kiedyś bywało namiętnie. Edward potrafił nawet po długim dniu pracy wpaść do domu z butelką szampana oraz kawiozem zdobytym od kolegi z Rosji i porwać ją do wanny. Niewielkiej, ciasnej, ale co tam! Sączyli bąbelki z długich kieliszków, jedli ikrę palcami, a jej resztki lądowały na jej piersiach. Zlizywał je z takim zapałem i jednocześnie z taką czułością, że już po kilku ruchach sprawnego języka czuła, że odpływa. Kochali się długo najpierw w wodnej pianie, a potem Edward sadzał ją na pralce Amica (najnowszym krzyku polskiej technologii) i wspólnie wdrapywali się na szczyt rozkoszy.

Podróże służbowe męża, których na ogół nie lubiła, czasem też potrafiły wpływać

ożywczo na ich związek. Pamiętała, jak pewnego razu wrócił do domu z imprezy sportowej w Armenii. Był ranek. Ona, jeszcze w półśnie, stanęła w drzwiach mieszkania w kusej jedwabnej koszulce. On złapał ją za rękę i pociągnął do pokoju. Rozpostarł na podłodze miękki dywan, który przywiózł dla niej z dalekiego bazaru... Gdy w nią wchodził, czuła pod pośladkami każdy miękki włoszek niecodziennego prezentu.

A teraz...? Nie pragnęła wiele. Wiedziała, że po tylu latach związku nie może liczyć na podobną erotyczną inwencję. Sama też przygasła, ciągle bolała ją głowa, zupełnie jak w tych dowcipach o żonach: „Mężu, dlaczego przeszedłeś od razu do rzeczy?” – pyta kobieta. – „Pożałowałeś mi nawet malutkiej gry wstępnej?” „Ależ spieszyłem się, żeby zdążyć, zanim znów złapie cię migrena, kochanie”.

Ha, ha, to nie było śmieszne...

A przecież mogliby jeszcze zaszaleć, chociażby na parkiecie w tego sylwestra. Zatańczyliby ogniste tango z różą w zębach... Czy jednak mogła na coś takiego liczyć, gdy Edward za kochankę wziął sobie pracę, a może... nie tylko pracę?

Niedawno mieli rocznicę ślubu. Siedzieli przy stole w mieszkaniu, bo nie mieli czasu ani siły, by gdzieś się wybrać. Katarzyna zrobiła na szybko makaron – penne z pesto i krewetkami, żeby było choć trochę odświętnie, ustawiła na blacie świece, włożyła ładną sukienkę i szpilki.

– Pamiętasz, jak poprosiłeś mnie o rękę? – zebrało jej się na wspomnienia.

– Pamiętam, że twoja babcia źle się poczuła.

– Przecież to było na zaręczynach, nie wtedy – oburzyła się.

– A to nie była ta sama impreza? – popatrzył na nią z roztargnieniem.

– Oj, Edward!

– Ładne te róże, prawda? – uciekł wzrokiem. – Chciałem ci kupić czerwone, ale przekupka pod Halą Mirowską namówiła mnie na te żółte. Mają takie dorodne płatki.

– Ładne – westchnęła.

On zawsze wolał mówić o konkretach. Żył, mocno osadzony w teraźniejszości. To, co zdarzyło się kiedyś, nie miało dla niego znaczenia, a ona... Ona składała się z przeszłości, coraz bardziej. I ciągle była sama.

Przybrana córka przebąkiwała coś o wyjeździe za granicę na staż do centrali firmy, w której odnosiła sukcesy. A syn...? Tak bardzo pragnęła przejechać dłonią po jego zwichrzonej czuprynie... Tylko gdzie on był?

Niewiedza na temat losu Dragana i obrazy powalonego na kolana Sarajewa, którymi atakowały Katarzynę polskie media, doprowadzały ją do obłędu, odbierały jej chęć, by podnieść się rano z łóżka. Chciała znów być matką, choćby miano nazywać ją troskliwą kwoką. Chciała mieć się kim zajmować.

A może... Pomyślała o Monice... Wszystko było przecież kwestią umowy, całe życie to jeden wielki teatr...

Wstała z kanapy i złapała za telefon.

– Cześć, Aniu, co robicie? Bawicie się, czy tak jak ja moczycie nogi w misce z wodą? – zagadnęła przyjaciółkę. – Co mówisz? Monika źle się czuje? Ma bóle brzucha? O, matko! Już do was pędzę, musimy ją zawieźć do szpitala. Przecież dziecko nie może urodzić się przedwcześnie! – zawołała z przejęciem.

Wnuk, nie wnuk, czy to było ważne, gdy tak bardzo pragnęła się o kogoś troszczyć?

[24] Anna Rechnio – najlepsza polska łyżwiarka figurowa (solistka) w historii, dwukrotna olimpijka (Lillehammer 1994 i Nagano 1998).

ROZDZIAŁ 9

Dubrownik, styczeń 1994

Gdyby Jasmina i Tarik mieli jakieś inne wyjście, z pewnością nie szukaliby ciotki Drażenki po adriatyckich wyspach. Żadne z nich nie posiadało jednak w Chorwacji innych krewnych, a oboje bardzo potrzebowali schronienia, w którym mogliby odpocząć i wylizać rany.

Młody Bośniak nadal nie wrócił do pełni sił po torturach, jakim został poddany we własnym domu, a dziewczyna potrzebowała chwili spokoju, by oswoić się z faktem, że niedługo zostanie matką. Choć nadal trudno było jej w to uwierzyć, powoli zaczynała wczuwać się w swój odmienny stan. Coraz częściej kładła ręce na brzuchu i czule przemawiała do ukrytej w nim maleńkiej istoty.

Nie wiedziała dokładnie, w którym miesiącu się urodzi, jednak z jej wyliczeń wynikało, że powinno się to stać w połowie kwietnia. Dlatego chciała jak najszybciej odnaleźć ciotkę. Miała nadzieję, że Drażenka, która znała się na medycynie, przypilnuje, by dziecko przyszło na świat zdrowe i w dobrej kondycji. Wierzyła też, że ciotka pomoże Tarikowi zdobyć jakąś posesję. Chłopak, choć w Mostarze działał głównie jako dziennikarz, znał się nie tylko na muzyce i sztuce żywego słowa. Studiował przed wojną weterynarię, poza tym miał niezwykle dar rozumienia potrzeb zwierząt, zupełnie jakby znał ich mowę. Miał też doświadczenie w pracy przy zbiorze winogron, a ich plantacji było nad Adriatykiem bardzo wiele, więc dziewczyna żywiła nadzieję, że jakoś sobie poradzą.

Najpierw jednak musieli odnaleźć ciotkę, a okazało się to o wiele trudniejsze, niż się spodziewała. W kancelarii dubrownickiej parafii, do której udali się z Luką i z Tarikiem zaraz po rozstaniu z dziwnym sąsiadem zakonnim, nie udało się niczego ustalić. Gruby proboszcz nabrał wody w usta i udawał, że z siostrą Drażenką niewiele miał wspólnego. Jasmina doszła do wniosku, że cioteczka musiała mu nieźle zależeć za skórę, skoro tak bardzo nie chce o niej pamiętać.

Ordynator w szpitalu był bardziej rozmowny, jednak i on niewiele wniósł do sprawy. Wąsaty jegomość z nienaturalnie bladą twarzą i rozbieganymi oczami dobrze pasował do ponurych wnętrzu starego budynku, pełnego długich korytarzy, na których odgłosy wiatru mieszały się z szuraniem kapci pacjentów o kamienną podłogę. Po dziesięciu minutach rozmowy Jasminie udało się wyciągnąć z doktora tylko tyle, że jej ciotka została zwolniona z placówki w trybie nagłym, a potem ślad po niej zaginął. Mężczyzna nie miał pojęcia, dokąd siostra Drażenka się udała i niespecjalnie go to interesowało.

Dziewczyna opuściła gabinet lekarza ze spuszczoną głową. Wydawało jej się, że musi

porzucić myśl o odnalezieniu ciotki lub też wrócić do fircyka, którego spotkała na Cavtatskiej, bo jako jedyny cokolwiek o niej wiedział. Już miała udać się na parking, na którym czekali na nią Tarik i Luka, gdy podeszła do niej pielęgniarka. Podobnie jak jej szef, w którego gabinecie wcześniej się krzątała, wyglądała, jakby nie spała od trzech dni, a jej myśli błądziły gdzieś między snem a jawą. „Dziwni ludzie tu pracują” – wzdrygnęła się dziewczyna.

– Masz na imię Jasmina, prawda? – zagadnęła ją kobieta w pielęgniarskim czepku.

– Czy my się znamy? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. Były w podobnym wieku.

– Wiedziałam cię kiedyś u siostry Drażenki. Dawno temu... Ale nieważne. Naprawdę zależy ci, żeby ją odszukać?

– Bardzo. Wiesz może, dokąd pojechała?

– Będiesz miała dziecko, prawda? – spytała, obrzucając baczny spojrzeniem talię Jasminy.

– Skąd wiesz? – dziewczyna była w szoku. Owszem, jej brzuch już był zaokrąglony, ale nie na tyle, by ktoś oprócz niej mógł to dostrzec pod luźnym płaszczem.

– Hm, mam taką dziwną przypadłość... Wyczuwam ciężarne na odległość. Zresztą obie z Drażenką jesteśmy trochę inne. Co do niej, to chyba się zorientowałaś...?

– Od dawna nie mam z nią kontaktu – Jasmina zrobiła niepewną minę. Nie bardzo wiedziała, co dokładnie kobieta ma na myśli.

– O imieniu chyba ci mówiła...? – po twarzy pielęgniarki przebiegł dziwny grymas, jakby cień.

– O moim?

– No przecież! – złapała ją za rękę i pociągnęła w boczny korytarz.

To miejsce było jeszcze bardziej mroczne niż główny hall. Gdzieniedzie wiatr podwiewał długie firanki.

– Aha! Chodzi ci pewnie o to, że nie jest katolickie? Wiem, ciotce zawsze to przeszkadzało, ona jest bardzo bogobojna – Jasmina wzruszyła ramionami.

– Tak myślisz? – pielęgniarka świdrowała ją wzrokiem. W swoim białym uniformie na tle falujących firan przypominała surowego anioła. – No cóż, w takim razie... – przez chwilę zdawało się, że bije się z własnymi myślami – muszę ci chyba powiedzieć, gdzie jej szukać, choć pewnie nie będzie zadowolona.

– Jak to? – Jasmina zamrugowała powiekami.

– Bo wiesz... Ona uciekła, żeby w samotności odbyć pokutę.

– Pokutę? Za co?

– Może nie powinnam ci mówić... Lepiej by było, żeby sama... ale niech tam, jesteś jej krewną – rozejrzała się, jakby chciała się upewnić, że nikt ich nie słyszy. – Drażenka... zabiła pacjenta. To znaczy... Prawie go zabiła.

– Co takiego?!

– To był starszy człowiek... Zrobiła mu lewatywę zamiast zastrzyku, a on był po operacji. I to na jelito! Naprawdę niewiele brakowało... – wyszeptała.

Jasmina stała jak zamurowana.

– Ale dlaczego? Pomyliło jej się coś? Była zmęczona? – wydukała w końcu.

– Zmęczona na pewno, ludźmi... A resztę musi ci już sama powiedzieć.

– Tylko gdzie ją znajdzie? – wbiła wzrok w bladą twarz pielęgniarki.

– Jest na Hvarze w klasztorze benedyktynek. Wyrabia koronkę z agawy. Potrzeba do niej wiele cierpliwości.

– Więc to jest jej pokuta – wyszeptała Jasmina.

– No właśnie. Teraz wiesz już wszystko, więc szczęśliwej drogi! – pielęgniarka uścisnęła jej dłoń. Zrobiła już dwa kroki, gdy nagle się odwróciła. – I uważaj na dziecko, bo ono... jest w strefie cienia.

– O czym ty mówisz? – na twarzy dziewczyny odmalowało się przerażenie.

– Nic, nic, po prostu na nie uważaj – powiedziała.

Jej drewniaki zastukały na kamiennej podłodze. Po chwili Jasmina słyszała już tylko łopotanie wiatru przedzierającego się przez firany. Gdy otrząsnęła się z wrażenia, jakie zrobiła na niej rozmowa z wychudzoną nieznajomą o intensywnie błękitnych oczach, pobiegła za nią korytarzem. Zaglądała do sal wypełnionych starymi metalowymi łózkami, na których leżeli bardzo bladzi pacjenci, do pokoiów straszących regałami pełnymi flakonów z dziwnymi miksturami, w końcu wybiegła przed budynek. Dopiero teraz przy wejściu do szpitala zauważyła wypłowiałą tabliczkę: „Oddział psychiatryczny”. Wzdrygnęła się. Pielęgniarki nigdzie nie było. Jakby się rozplynęła...

Jasmina i Tarik pożegnali się z Luką, który musiał wracać do Mostaru, i w ulewnym deszczu podążyli w stronę dubrownickiego portu, by znaleźć transport na Hvar. Dziewczyna lubiła statki. Pływała nimi wzdłuż wybrzeża w dawnych czasach, gdy czasem ciotka, by pozbyć się z domu jej i brata, dawała im pieniądze na bilet na rejs po okolicznych wyspach.

Najczęściej płynęła wtedy z Markiem na najbliższą wysepkę Lokrum, otoczoną seledynową wodą, bo przyjemność sprawiały im przechadzki po twierdzy Fort Royal wybudowanej przez Francuzów, lubili też poszukiwać śladów Maksymiliana Habsburga, cesarza Meksyku, który miał tu kiedyś swój pałacyk wzniesiony na ruinach klasztoru. Ciekawił ich ten związek sacrum i profanum, ale jeszcze bardziej fascynowały pozostałości dawnego ogrodu, w którym rosły okazałe kaktusy. Uwielbiali też kąpiele w Martwym Morzu, głębokim, słonym jezioru, tajemniczo połączonym pod ziemią z Adriatykiem.

Czasem jednak udawali się na Lopud, by podziwiać zatoczki archipelagu Elafickiego, poszarpane falami przybrzeżne skały i malownicze kamienne kościółki. A gdy już dotarli na miejsce, pili zimną lemoniadę w jednej z knajpek na nabrzeżu, a potem robili sobie spacer na drugą stronę wyspy, na cudowną, piaszczystą plażę.

Marko usiłował namówić Jasmine, by wybrali się kiedyś na zwiedzanie wraku statku handlowego, który od siedemnastego wieku leżał w głębinach niedaleko wyspy. Jednak ponieważ ona nie była miłośniczką wdychania powietrza z butli i kąpieli na dwudziestu trzech metrach pod powierzchnią wody, na którą na dodatek potrzebne były specjalne zezwolenia, nigdy tego nie zrobili.

Jasmina pamiętała dobrze to błogie poczucie wolności, gdy wszystko było na wyciągnięcie ręki i tylko od ich nastroju zależało, czy będą danego dnia zwiedzać okolice,

snorklować z rurką, czy leżeć cały dzień do góry brzuchem na plaży. Pamiętała też przyjemne poczucie bliskości z bratem, który był dobrym kompanem nie tylko do zabawy, ale i do poważnych rozmów. Jak to się stało, że z ich więzi zostało tak niewiele, że teraz tak rzadko o nim myślała, a gdy już to robiła, stawała jej przed oczami twarz czerwona od zbyt dużej ilości śliwownicy i zaciśnięte pięści skierowane w stronę wroga, który jeszcze do niedawna zdawał się przyjacielem?

Marko był daleko, a ona mogła liczyć jedynie na Tarika, z którym nie łączyło jej nic oprócz wspólnych wojennych losów. Na szczęście zdążyła już polubić tego chłopaka. Traktowała go trochę jak młodszego brata, a on ją jak siostrę, której nigdy nie miał. Obojgu odpowiadał ten układ. Niedawno okazało się nawet, że łączy ich więcej, niż mogliby się spodziewać.

– Obiecuję ci, że gdy tylko dotrzemy na Hvar, rozejrzę się za pracą – snuł plany chłopak. – Zarobię pieniądze, a potem pomyślimy, dokąd jechać. Gdybym tylko mógł się jakoś dowiedzieć, gdzie mieszka moja dziewczyna... Wiem tylko, że jest w Polsce...

– W Polsce? – Jasmina nie wierzyła własnym uszom. – A czy ty wiesz, że mój Dragan był pół-Polakim i że jego matka mieszka w Warszawie? Czyż to nie niezwykle, że nas oboje coś łączy z tym krajem?

– To prawda, dobraliśmy się jak w korcu maku. Katoliczka i muzułmanin, w tych czasach trudno o gorszy związek – zaśmiał się Tarik. – Moja Hasiba wyjechała tuż przed wojną na stypendium na uniwersytet do Wrocławia, jednak nie była pewna, czy zostanie tam, czy wybierze inne miasto. Miała mi przysłać adres, jednak gdy zaczęły się walki, urwał nam się kontakt. Wiesz, jak to było...

– Owszem. Dragan też nie mógł się skontaktować ze swoją matką i z... – urwała nagle, bo wspomnienie tego, że w Polsce mieszka jego była dziewczyna i syn, było dla niej zbyt bolesne. – Ja będę musiała wrócić do Bośni, bo muszę odszukać ojca, ale ty możesz jechać do swojej Hasiby – dodała po chwili.

– Nie zostawię cię samej, przynajmniej nie teraz. Będiesz miała dziecko. A o ojcu zapomnij...

– Dlaczego? – wbiła w chłopaka badawcze spojrzenie.

– Jasminko... – uciekł w bok wzrokiem.

– Powiedz mi, błagam – złapała go za rękę. Czowała, że nie mówi jej wszystkiego.

– To nie są sprawdzone informacje, naprawdę – kręcił głową. – Ktoś mówił... choć nie ma na to żadnych dowodów, że Serbowie wywieźli grupę chorwackich jeńców pod Blagaj, do lasu, i tam... Ale przecież nie ma pewności, czy był wśród nich twój ojciec.

– Dlaczego więc chciałeś, żebym spotkała się z serbskim łącznikiem w Mostarze? – łamał jej się głos. – I mówiłeś, że on mi pomoże w wykupieniu taty...?

– Bo nie byłem pewien, miałem nadzieję... Nadal ją mam.

– Ja też. I dlatego muszę tam wrócić – rzekła twardo.

Nie chciała przyjąć do wiadomości, że jej ojciec mógł stracić życie. Wizja jego ciała leżącego gdzieś w głębokim rowie, bezimiennego, przykrytego innymi ciałami, była zbyt straszna, by mogła dopuścić ją do swojej wyobraźni.

– A twoje dziecko...? Czy ono nie jest ważniejsze? Nie chcesz mu zapewnić spokojnego życia?

Milczała. Niczego bardziej nie pragnęła. Dziecko było jedynym, co pozostało jej po Draganie, ale ojciec... Nie miała pojęcia, kiedy i jak uda jej się wrócić do Bośni, wiedziała jednak, że pewnego dnia to zrobi. Póki co jednak musiała dostać się na Hvar.

Brodaty kapitan w średnim wieku zgodził się zabrać ją i Tarika na pokład swojej łajby za niewielką opłatą. Gdyby zażądał więcej, utknęliby w Dubrowniku. Jasmina żałowała tylko, że musieli wyruszyć w burzę. Kapitan twierdził, że ma za zadanie dostarczyć towar o określonej porze i nie zamierza czekać na poprawę pogody.

– Nie w takich warunkach się pływało! – zakrzyknął.

Niewielki, mocno podrdzewiały statek wyglądał nocną porą jak widmo. Nadmiernie wysoki, ze względu na słabe zanurzenie, ze swoją wielką gardzielą – pustym pokładem dla samochodów – przypominał prom. Z drugiej strony ławki na górnym pokładzie, metalowe, źle przytwierdzone do podłoża, przywodziły na myśl statek wycieczkowy. Mógł być więc tworem szalonego konstruktora, wynalazkiem, który znalazł dla siebie właściwe otoczenie – sztormowy Adriatyk.

Już w pierwszej sekundzie Jasmina pożałowała, że zgodziła się wejść na pokład w taką pogodę. Trzymała się kurczowo ławki, która przy każdej większej fali próbowała ją z siebie zrzucić niczym narowisty koń. Spojrzała z ukosa na Tarika. Był blady jak kreda, łąpał otwartymi ustami powietrze. Wydawał z siebie krótkie, wysokie dźwięki, jakby dopadł go atak paniki. Widać było, że dawno spożyty posiłek podchodził mu do gardła.

Jasmina nie wiedziała, jak mu pomóc. Sama też próbowała uniknąć torsji. „Spokojnie, licz do dziesięciu” – mówiła do siebie. „W ostatnim czasie miałaś mdłości, to prawda, ale nigdy nie doświadczyłaś choroby morskiej. To twój brat czuł się zawsze fatalnie na statkach, nie ty. Oddychaj więc, spokojnie oddychaj”.

Nagle jednak czerń nieba przeciął piorun. Rozległ się huk. Łajba zadrzała, położyła się niemal na jedną burtę, potem wstała i gwałtownie przechyliła się na drugą. Zgasło światło. Jasmina i Tarik rzucili się na drewniany pokład i rękami zakryli głowy. Zadziałał bezwarunkowy odruch, wyuczony w czasie wielu miesięcy życia w bombardowanych miastach. Głośny świst oznaczał dla nich jedno, śmierć nadchodzącą z nieba w postaci pocisku. I choć po chwili łódź wróciła do pionu, oni, wytrenowani, że czasem lepiej udawać martwych, nadal leżeli przyklejeni do pokładu statku i nie śmieli drgnąć.

– Co z wami? – tubalny głos jednego z marynarzy zabrzmiał tuż nad nimi.

Automatycznie przywarli do podłoża jeszcze mocniej. Byli pewni, że już po nich. Słyszeli o tym, co dzieje się w Zagrzebiu, gdy bośniaccy uchodźcy rzucają się na ziemię, słysząc jakiś głośny dźwięk. Chorwacka milicja ma ich jak na dłoni. Wyłapuje bez trudu, a potem odsyła do domu, bo nikt nie lubi u siebie obcych. Nikt nie chce kłopotów, odmienności, wiary, która nie przystaje do ich własnej, obyczajów, które mogłyby namieszać w głowach. Kiedyś różnorodność zdawała się bogactwem, teraz jest przekleństwem. Lepiej więc poszczuć takich psami, zepchnąć do morza, zbudować przed nimi mury. Są złem, którego trzeba się wystrzegać jak gangreny!

Oni też byli uchodźcami na tym statku. Zakradli się na niego pod pozorem zwykłej wycieczki na piękną wyspę, zełgali, sprzeniewierzyli się prawdzie, a teraz wszystko się wydało. Byli pewni, że za chwilę pochwyci ich twarda ręka i rzeczywiście... Marynarz pociągnął Jasminę do góry, by stanęła na nogi. Tarik, widząc, co się dzieje, też się

podniósł.

– Chodźcie za mną – wymamrotał barczysty mężczyzna.

Poszli jak na ścięcie. W dół, po metalowych schodkach. Na chwiejnych nogach, bo cały czas rzucało statkiem po falach, jakby bogowie grali nim w ping-ponga. Jasmina i Tarik w wąskim korytarzu obijali się o ściany, jednak nie miało to już dla nich żadnego znaczenia, i tak wiedzieli, że to koniec.

– Właźcie do środka! – zakrzyknął marynarz i otworzył przed nimi metalowe drzwi sporej kajuty. – Ta krypa pływa po morzu od dwudziestu lat i na pewno jeszcze trochę tu porządzi. Jeśli chce wam się rzygać, to połóżcie się na boku, powinno pomóc – dodał z uśmiechem na twarzy i wskazał im podłużne siedziska obciążone jasnym skajem.

– Jak to? – Jasmina nic nie rozumiała. Przeprowadził ich tu, żeby poczuli się lepiej?

– No przecież widzę, że wyglądacie, jak z krzyża zdjęci, ale spokojnie, nasz kapitan naprawdę wie, co robi.

– Dzięki, od razu mi lepiej. Przynajmniej zginę na leżąco – zakpił sobie Tarik i rzucił się na jedną z kanap.

Jasmina zrobiła po chwili to samo. Cały czas waliło jej serce. Nie potrafiła tylko odkryć, czy dlatego, że za burtą nadal kłębiło się jak we wrzącym garncu i w każdej chwili statek znów mógł wykonać hołubca, czy z powodu strachu, który przed chwilą tak mocno ścisnął ją za gardło.

– Już dobrze, małeństwo – objęła rękoma swój brzuch. – Przetrywamy, obiecuję.

Wzięła głęboki wdech i poczuła w sobie siłę.

Zdawało jej się, że ustał wiatr i morze nagle się uspokoiło. Stary statek, oświetlany nikłym światłem księżyca, przemknął bez przeszkód wzdłuż Mljetu, a potem Korčuli, by w końcu zawinąć do portu na Hvarze. Jasmina miała nadzieję, że szczęśliwego.

ROZDZIAŁ 10

Hvar

Światło i zapachy... Jasmina zawsze była wrażliwa na jedno i drugie. I właśnie one przywitały ją na Hvarze. Nieśmiałe słońce zaczęło wynurzać się z za linii horyzontu. Wschód zawsze był piękniejszy niż zachód, bo przynosił nadzieję na zmianę, powoływał dzień do życia, lecz Jasmina, która nosiła w sobie sporo cienia, rzadko miała okazję go oglądać.

Teraz jednak znalazła się na najbardziej słonecznej wyspie Adriatyku, wśród białych kamienic, na placu, po którym dostojnie przechadzały się gołębie, gdzie świat wydawał się spokojny, zupełnie inny niż ten, w którym do niedawna żyła. Łagodny klimat nawet w zimie, pejzaże nasycone polami lawendy i oliwnych gai, zatoki z krystalicznie czystą wodą, miasteczka, w których antyczna przeszłość łączy się ze współczesnością... To mogło być jej nowe miejsce na ziemi, cicha oaza dla niej i dla dziecka.

Wiedziała, że Hvar może się poszczycić najstarszym teatrem narodowym w Europie i wieloma zabytkami, romantyczną atmosferą przesiąkniętą starożytną historią i kulturą, tak bliską jej sercu, a jednak... Ciągle odczuwała żal za czymś utraconym. Szła przez plac Svetog Stjepana pod rękę z chłopakiem, ale nie tym właściwym, z bratnią duszą, ale nie tą jedyną, rozedrgana wewnętrznie, atakowana zewsząd bodźcami i nie mogła się w tym pięknym miejscu odnaleźć. Bo czas nie chciał stać się lekiem na jej tęsknotę za smakiem rahat lokum, za szumem skrzydeł gołębi wlatujących nad Fontanną Sebilj, za młodością pełną bez troski, bośniackich zapachów i kolorów. Wciąż dźwięczało w niej wielkie pytanie: „Dlaczego? Dlaczego politycy zdecydowali o jej losie?”. Dobrze wiedziała, że nie ma na nie odpowiedzi, a jednak nie potrafiła przestać go zadawać.

– Jasminko, dlaczego płaczesz? – Tarik bardziej się domyślił jej łez, niż je widział.

– Nie płaczę. Tylko mnie boli spokój, który tu panuje.

– Ja też zapomniałem, że można tak żyć... – ścisnął ją za rękę.

Bardzo chciał, by znów nauczyła się uśmiechać.

Ciotka Draženka miała na twarzy całą mapę zmarszczek. Można z niej było wyczytać barwną przeszłość, ale też bogate życie wewnętrzne jej właścicielki. W czarnym habicie siostr benedyktynek, których hasłem były słowa: „Módl się i pracuj”, przygarbiona, z laską w ręku, wyglądała jak staruszka. Z przygaszonym wzrokiem i zniechęceniem

wymalowanym na twarzy w niczym nie przypominała dawnej kobiety, która potrafiła rozstawiać wszystkich po kątach.

Jej ponury wizerunek kontrastował z przyklasztornym ogrodem, do którego siostra przełożona wprowadziła Jasiinę, by mogła porozmawiać z ciotką. Miejsce to było pełne porannego światła i śródziemnomorskiej roślinności, bujnej nawet w zimie, bo temperatury nie spadały tu nigdy poniżej ośmiu stopni. Widać było, że w lecie w tym ogrodzie muszą kwitnąć róże, bo ich krzaczki rosły na wielu klombach. Jasmina wyobraziła sobie czerwone i herbaciane pąki i ich zapach unoszący się łagodnie aż do okien wysokiego budynku klasztoru sv. Ivana Krstitelja i Antuna Opata. „Pięknie tutaj” – pomyślała. Gdy jednak spostrzegła przygarbioną postać ciotki, przebiegło jej przez głowę, że przybyła za późno. I ta myśl była jak smagnięcie zimnego wiatru, zapowiadającego niepogodę.

Dziewczyna szybko się z niej otrząsnęła i podbiegła do kobiety siedzącej na ławce z szeroko otwartymi ramionami.

– Jasmina...? – Draženka zrobiła wielkie oczy.

Trudno było stwierdzić, czy cieszy się na widok krewnej, czy też raczej dostrzega w niej kłopot przyobleczony w zniszczony płaszcz ozdobiony żółtym szalikiem. Czy jej wizyta zdaje jej się miłym snem, czy koszmarem?

– Ciociu, nareszcie! – Jasmina ucałowała ją w oba policzki i przysiadła koło niej na ławce, nie przestając jej obejmować. Siostra przełożona dyskretnie się oddaliła. – Muszę przyznać, że nie było łatwo cię znaleźć.

– A po co mnie szukałaś? – zakonnica szybko wyplątała się z objęć.

– Bo... Przecież ciocia wie, u nas trwa wojna i ja... – zaczęła nieśmiało.

– Ech, każdy ma jakieś kłopoty... – staruszka machnęła ręką. – A co tam u twoich rodziców, wszystko dobrze? – Draženka spytała w taki sposób, jakby zapomniała, co dzieje się w Bośni.

– W Sarajewie jest niewesoło... Mama siedzi na ogół w piwnicy, Marko biega z karabinem albo pije, a tata... Złapali go Serbowie i gdzieś wywieźli. Próbowałam go odszukać, ale...

– Wywieźli...? – kobieta pokiwała głową, jakby nie bardzo dotarły do niej słowa Jasminy. – Ciemność jest wszędzie i... zło. Oni nie boją się Boga. Nie wiedzą, że gwoździe przenikają przez ciało, a potem przez drewno krzyża, że krew spływa z korony... Oni tego nie czują... – w szarych oczach ciotki pojawił się cień szaleństwa. – A dzień sądu się zbliża! – podniosła do góry palec.

– Ciociu, o czym ty mówisz? – Jasmina przyglądała jej się z niedowierzaniem.

– Ten człowiek... On był mudzachedinem... Miał krew na rękach... I wiedziałam, że przeleje ją znowu. Bo ja to wszystko widzę... – zwiesiła głowę. – Nie mogłam do tego dopuścić. Rozumiesz?

– Ale do czego?

– Widzę to... Od dawna. Chciałam tylko tak jak siostra Labouré... Ona widziała Matkę Boską. Ale ja... Ja widzę w ludziach zło, tak jak w tamtym. To moje przekleństwo.

– Więc ciocia specjalnie... tę lewatywę zamiast zastrzyku...? – Jasmina nie mogła w to uwierzyć.

– Myślisz, że łatwo jest mieć taki wybór? Albo pozwolisz, żeby ten człowiek pastwił się nad innymi, robił straszne rzeczy, albo ty musisz... – pokręciła głową – wydzierać dużo koronek... tyle koronek – oczy siostry Drażenki znów nabrały dziwnego wyrazu. Stanowczo nie przypomniwała dawnej siebie.

– A ta koronka to jakaś specjalna? – Jasmina próbowała zmienić temat.

– Jedyna w swoim rodzaju! Tylko my taką wyrabiamy, specjalnymi nićmi ze świeżych liści agawy – zakonnica się ożywiła. – Piękna, misterna, delikatna jak pajęczyna. Ponoć piękniejszą robią tylko na Teneryfie. Może tamte kobiety też mają na sumieniu wiele grzechów... – zamyśliła się nagle.

– Ciociu, a gdybym i ja się nauczyła ją wyrabiać? Mogłabym tu z tobą zostać...? – Jasmina dotknęła jej dłoni pokrytej starczymi plamkami. – To znaczy... Gdzieś koło klasztoru, bo ja nie chcę do zakonu, nie mogę... I jest jeszcze ktoś ze mną. Przyjechałam z kolegą, on bardzo mi pomógł w Mostarze. To muzułmanin, ale...

– Mudzahedin?! Przywiozłaś go tu, gdzie się ukryłam? Jak mogłaś?! Nie wiedziałaś, że on ma krew na rękach? Wszystkich nas pozabija! – siostra Drażenka zaczęła krzyczeć. Cała się trzęsła. – Jak mogłaś, głupia dziewucho?! – złapała swoją laskę i zaczęła okładać nią Jasminę na oślep. – To wszystko przez twoje imię. Zawsze mówiłam, że ono przyniesie ci zgubę. I mnie też przyniesie.

– Ale, ciociu, to porządny chłopak – Jasmina zasłoniła głowę rękoma. Skuliła się i próbowała coś tłumaczyć, lecz ciotka wyglądała, jakby opętał ją diabeł.

– Przepraszam, bardzo panią przepraszam – znalazła się przy nich nagle siostra przełożona. – Powinnam była panią uprzedzić – wysapała. Widać było, że biegła. – Już dobrze, Drażenko, już dobrze. Jesteś tutaj bezpieczna. Nie musisz się na nikogo złościć – objęła starowinkę ramieniem i odebrała jej laskę.

Pod wpływem ciepłych słów zakonnicy starsza pani nagle się uspokoiła.

– Co się dzieje, co jest z moją ciotką? – Jasmina wbiła w kobietę wystraszone spojrzenie ciemnych oczu.

– Siostra Drażenka miewa czasem takie napady. Wie pani na pewno, że przebywała na oddziale dla chorych psychicznie...

– Tak, pracowała tam przecież.

– Najpierw pracowała, potem się leczyła. Bardzo przeżyła bombardowanie Dubrownika. To właśnie wtedy zaczęła chorować – oznajmiła zakonnica, nie przestawiając głąaskać dłoni rozdygotanej starszej pani. – Mówili nam, że wszystko z nią już dobrze, ale widzi pani...

– To może ja przyjdę jutro? – Jasmina poczuła się, jakby dostała obuchem w głowę.

– Lepiej za tydzień albo za dwa... Minie trochę czasu, to i Drażenka się uspokoi – siostra przełożona uśmiechnęła się do niej łagodnie.

– Za dwa – powtórzyła po niej jak echo Jasmina.

Była w szoku. Nie tak wyobrażała sobie spotkanie z ciotką. Nie taką ją pamiętała. Ukłoniła się grzecznie obu paniom i, nic już nie mówiąc, ruszyła ścieżką wyłożoną drobnym białym żwirkiem w stronę wyjścia. Kamyczki miarowo trzeszczały pod jej stopami, a ona szła, nie oglądając się za siebie, jakby miała nigdy tu już nie wrócić...

ROZDZIAŁ 11

Sarajewo, początek lutego 1994

Merjem siedziała na skórzanym pufie i przyglądała się czarnym, nieco koślawym literom zapisanym na stronie niewielkiego kajetu, który trzymała w dłoniach. Miała poczucie, jakby stała się posiadaczką skarbu, z którym jednak niedługo będzie musiała się rozstać.

– Przeczytaj mi coś jeszcze – poprosiła babcia Azra.

Starsza pani nadal najwięcej czasu spędzała w łóżku, jednak gdy czuła się lepiej, tak jak teraz, to chętnie krzątała się po domu, bo lubiła, żeby wokół niej panował ład i porządek.

Tego dnia sił dodał jej fakt, że Harisowi udało się odzyskać zeszyt Dragana. Wnuk dzień wcześniej odebrał go od znajomego pielęgniarza, który pracował swego czasu wraz ze zmarłym doktorem Huseinem w szpitalu akademickim. Lekarz dał mu wtedy zadanie, by znalazł kogoś, kto wybiera się do Mostaru, i przesłał zbiór wierszy Jasminie, ale ponieważ pielęgniarz nikogo takiego nie znalazł, zeszyt cały czas leżał zamknięty w jego szufladzie ze strzykawkami. Z ochotą oddał go Harisowi, gdy usłyszał, że to dla niego cenna pamiątka po przyjacielu, a sam pozbył się kłopotu.

– Dobrze, posłuchaj tego! – dziewczynka przystąpiła do czytania. Jej dziecięcy głos brzmiał dźwięcznie, lecz jednocześnie jak na jej wiek nad wyraz dojrzałe:

Podstęp

Zamykam krajobraz

Okaleczonego miasta

Powiekami

Spływa mi do wewnątrz

Cienką stróżką

Jeszcze nie wie,

Że stąd nie ma

Uciezki

– Hm... – westchnęła Azra.

– Za krótki? Nie podoba ci się? – zmartwiła się wnuczka.

– Wręcz przeciwnie, bardzo mnie wzruszył – babcia otarła wierzchem dłoni łezkę. Ostatnio stała się sentymentalna, za co sama siebie ganiła. – A coś o miłości? Poszukaj – poleciła wnuczce.

– No, nie wiem, może ten, bo nosi tytuł *Małżeńska gra...*

– To poproszę – uśmiechnęła się starsza pani.

Strząsam z siebie popiół snu

Nakrywasz do stołu

Kładziesz na talerzach

Wszystkie nasze codzienne sprawy

Rozdajesz poranne pocałunki

Mogłoby się zdawać,

Że jest dobrze

– Nie rozumiem – powiedziała Merjem, gdy już skończyła recytację. – O co właściwie chodzi w tym wierszu?

– Jakby ci to wyjaśnić... Ludzie są często fałszywi, nawet ci najbliżsi noszą na twarzach maski, grają przed sobą nawzajem role.

– Dlaczego, babciu?

– Bo tak jest im łatwiej. Zamiast rozmawiać ze sobą szczerze, szczególnie o problemach, wolą chować głowę w piasek. Jak będziesz starsza, to pewnie sama to zauważysz.

– Czyli że wszyscy są trochę aktorami? Nawet ty, babciu? – Merjem z niedowierzaniem popatrzyła w szczerze oczy o miodowej barwie, otoczone siateczką zmarszczek.

– Czy ja wiem...? – zamyśliła się staruszka. – Pewnie też trochę, bo przecież zdarzało mi się wyprowadzić w pole twojego dziadka – uśmiechnęła się do wspomnień.

Stanął jej przed oczami niewysoki, z lekka przygarbiony mężczyzna, który nie rozstawał się nigdy ze swoim tespihem^[25]. Czy to w kawiarni, czy w domu, czy w sklepiku z pamiątkami na Bašćaršiji, który prowadził wraz ze swoim bratem, czy dyskutując o polityce, czy też zwyczajnie o pogodzie, jego palce przesuwają porcelanowe paciorki zawieszane na sznurze. Czasem jej mąż robił to bezwiednie, niekoniecznie odmawiając szahadę^[26] czy wypowiadając imiona Boga, zawsze jednak to go uspokajało i jednocześnie podkreślało jego przynależność do islamu.

– Naprawdę umiałaś dziadkiem zakręcić? Opowiedz mi o tym! – ucieszyła się dziewczynka, która o zmarłym przed jej narodzinami mężczyźnie wiedziała tyle tylko, że był prawym, ale jednocześnie surowym w obejściu człowiekiem.

– O, to nie było nic wielkiego, ale czasem mu troszkę zmyślałam – babcia zachichotała jak nastolatka. – Na przykład kiedyś... On wybrał się do meczetu, a ja miałam iść do swojej siostry, by wspólnie z nią zrobić pitę z serem i szpinakiem. Obiecałam mu, że dostanie kawałek, bo musisz wiedzieć, że twój dziadek był wielkim łasuchem. Jednak nie udało mi się niczego upichcić.

– A to dlaczego?

– Bo tak pięknie grali...! – westchnęła. – Czajkowskiego grali, *Serenadę na smyczki*. I ta muzyka mnie zwabiła. Splątała mi nogi i... Zamiast pójść do siostry, zajrzałam do domu kultury, skąd dolatywały te cudowne dźwięki. Weszłam tam tylko na chwileczkę, tylko na kilka taktów, ale... Wiesz, jak to jest, prawda? – babcia zrobiła niewinną minę.

– Oj, wiem, babciu, wiem. Rozumiem, że dziadek musiał się obejść smakiem – zaśmiała

się Merjem.

– Do tego nie mogłam dopuścić – rzekła babcia. – Nie chciałam, żeby mój mąż wiedział, gdzie byłam. On nie za bardzo pochwalał moje pasje. Uważał, że szkoda na nie czasu, bo miejsce muzułmanki jest przy mężu i dzieciach, a i tak wirtuozem nie zostanę.

– O, nieładnie! – dziewczynka pokręciła głową.

– To był dobry człowiek, tylko bardzo zasadniczy i na dodatek... głuchy jak pień – babcia wzniosła do nieba oczy. – Ale to tak między nami.

– Och, ja to mam szczęście! – zaszcebiotała Merjem.

– Tak...? – zdziwiła się Azra.

– Że się w niego nie wdałam.

– Ale lubisz szpinak zupełnie tak samo, jak dziadek.

– Oj, to prawda i też muszę się ciągle obchodzić smakiem – dziewczynka zrobiła smutną minę.

– Poczekaj, skarbie. Twoje siostry wrócą niedługo z bazaru i na pewno coś przyniosą...

Może trochę ryżu albo mąki...

– Pewnie znowu zielony groszek. Zrobimy prawdziwą ucztę! – westchnęło dziecko.

– Wiem, kochanie, jednak obiecuję, że gdy tylko skończy się wojna... – kobieta przytuliła wnuczkę do siebie.

– Ale kiedy to będzie, babciu?

– Kto wie, może już niedługo, bo tak dziwnie łamie mnie w kościach, jakby miało się coś wydarzyć – starała się ją pocieszyć.

– Oj, babciu, to przecież ja cię tak mocno ściskam – dziewczynka objęła ją długimi rękami jeszcze mocniej. – Z miłości!

– No, dobrze, jednak puść mnie, łobuziaku, żebym mogła dokończyć ci swoją historię – Azra delikatnie wyplątała się z czułych objęć Merjem i posadziła ją koło siebie na kanapie.

– Jak się chyba domyślasz, musiałam coś zrobić, żeby dziadek się nie zorientował, że nie byłam u siostry. Więc wracając z koncertu, kupiłam kawalek pity w piekarni koło naszego domu. I myślałam, że sprawa załatwiona. Wieczorem serwuję mu to danie, a tu nagle... – Azra zawiesiła głos dramatycznie – wpada do nas sąsiad piekarz. I już od progu krzyczy, że przyniósł nam pyszne kiflice^[27] w prezencie za... przypalone ciasto.

– Jak to? – Merjem zrobiła wielkie oczy.

– Bo widzisz, taka byłam oszołomiona tym koncertem, że nawet nie spostrzegłam, że tego dnia pita mu nie wyszła.

– No tak, zawinił Czajkowski! – zażartowała dziewczynka.

– Masz rację, kochanie. No i sąsiad, bo był zbyt ambitny.

– Ale dziadek pewnie miał pretensje do ciebie...? – Mała spojrzała na babcię z powagą.

– Jasne, bo przecież nieładnie jest kłamać. Wybaczył mi dopiero wtedy, gdy obiecałam, że odtąd zawsze będę najpierw zajmować się strawą dla rodziny, a dopiero potem tą dla ducha.

– I co, dotrzymałaś słowa?

– Oj, starałam się bardzo, tylko... Jakby to powiedzieć? Nie zawsze wychodziło – zakpiła z siebie babcia.

– Wiedziałam, że jesteśmy do siebie podobne... – Pokój wypełnił się perlistym śmiechem

Merjem.

Przez krótki moment te dwie drobne istoty wyglądały jak beztroskie małe dziewczynki, które nie wiedzą, że wokół nich rozgorzało piekło. Żarty były im bardzo potrzebne, by choć na chwilę zapomnieć o tym, co działo się za oknem.

A niestety ten dzień miał się okazać jednym z najtragiczniejszych w czasie wojny w Bośni i Hercegowinie.

– Gdzie dziewczyny? – Haris wpadł do rodzinnego domu, jakby się paliło.

Wiedział, że rodzice są o tej porze w pracy, ale zaniepokoiła go nieobecność Melihy i Šaćiry.

– Niedługo wrócą. Poszły na targ, kupić coś na obiad – odpowiedziała spokojnie Merjem.

– Na Markale? – chłopak zbladł, jakby nagle odpłynęła mu cała krew z twarzy.

– Tak, a coś się stało? – zaniepokoiła się babcia Azra.

– Tam dzisiaj nie można, ktoś mi mówił... – Haris złapał się za głowę. – Może to tylko plotki, ale... – odwrócił się na pięcie i wybiegł z domu.

Wiedział, że ludzie w mieście ciągle wróżą, że coś się niedługo wydarzy, że może celem będzie miejski park albo Fontanna Sebilj na Bašćaršiji, a może teatr... Tyle razy wróg wybierał już miejsca, gdzie gromadzili się ludzie, gdzie jednym pociskiem można było zrobić krwawą jatkę. Jak zapowiedź burzy krążyły po Sarajewie takie plotki.

Haris uważał, że większość z nich należy puścić mimo uszu, a jednak tego dnia sam odczuwał dziwny niepokój. Słyszał, jak jego dowódcy szeptali między sobą, że dość już czekania, aż NATO samo się ruszy, że międzynarodowe siły trzeba zmusić do działania, by w końcu wykurzyli Serbów z ich kryjówek.

Do tego pewien dobrze obeznany w polityce kompan dał mu znać, że dziś lepiej się trzymać z dala od centrum... To nie była całkiem jasna informacja, jednak w połączeniu z dziwnym mrowieniem w ręce sprawiła, że nogi niosły Harisa w stronę targowiska Markale dużo szybciej niż zwykle. Ślizgał się po śniegu i potykał o wszechobecne na ulicy zwały piasku, serce waliło mu jak młotem, choć starał się zająć czymś myśli.

Niedługo Šaćira weźmie ślub z Emirem, staną przed imamem, a ona będzie wyglądała jak anioł, wyobrażał sobie. Potem może się uda wyprawić dziewczyny z miasta. Dla niektórych wyjazd to porażka, przyznanie się do klęski, zaakceptowanie tego, że ich ukochane Sarajewo zostało obrócone w popiół i już się z niego nie podniesie, ale Haris tak do tego nie podchodził. Była Bośnia, za którą walczył, i rodzina – ponad wszystko. Mężczyźni musieli stawić czoła złu, ale kobiet nie należało w to mieszać.

Wiedział, że jego przyjaciel Emir nie będzie szczęśliwy, że na jakiś czas straci z oczu młodą żonę, jednak co mógł na to poradzić. Oni sami nie będą mogli towarzyszyć jego siostrom, bo są żołnierzami i nie dostaliby paszportów, zresztą nie mógłby opuścić rodziców i babci. Jednak kiedyś przyjdzie czas, że dołączą do Šaćiry, Melihy i Merjem, gdy te na dobre urządzią się w Wiedniu. Teraz ważne jest, by udało się je wsadzić do konwoju, tak jak obiecał mu to Nikola, młodszy brat Dragana. Umiał on ponoć załatwić transport, bo zorganizował go już dla swojej matki. Teraz pani Djordjević wygrzewa się w słońcu w pięknym Rose, patrzy na modry Adriatyk i opowiada bajki wnukowi, który zamieszkał tam już wcześniej. Haris wierzył, że jego siostry też będą miały przyszłość...

Wezmą ze sobą zeszyt z wierszami Dragana i prześlą go Jasminie. Odnajdą ją gdzieś

w Europie, snuł plany. Już widział radosne ogniki w oczach przyjaciółki, gdy się dowie, że jej chłopak zapewne się uratował. Ręcznie spisany tomik wierszy będzie dla niej dowodem, że powinna go szukać, że nie może się poddawać. Dragan jest, skurczybyk, w czepku urodzony! Haris uśmiechnął się do siebie. Przetrwac taki skok... To tylko on potrafi. Ale jak się znalazł w Tunelu Nadziei? I gdzie się teraz podziewa? Pytań było bez liku. Bośniak wierzył jednak, że kiedyś będzie mu dane spotkać się z Draganem i usłyszy jego niezwykłą historię. Bo że taka była, nie miał wątpliwości, taka sama, jak jego najlepszy przyjaciel.

Haris od niedawna zaczął jeszcze lepiej rozumieć uczucie, jakie łączyło Jasmine i Dragana. Był nawet w stanie uwierzyć, że istnieje coś takiego jak porozumienie dusz czy telepatia. Może to wojna sprawiła, że opadła z niego skorupa, pod którą się chronił, by nie dać się zranić kobietom, niechętnie spoglądającym na jego masywną sylwetkę i wrodzoną nieśmiałość. A może – zamiast zahartować się w boju, pod wpływem nieszczęść, których był świadkiem – stał się bardziej wrażliwy... Tak czy inaczej, był przekonany, że niektóre kobiety potrafią czytać w myślach, a już na pewno umie to robić pewna młoda dama, w której obecności jego puls zaczynał dramatycznie przyspieszać.

Już pierwszego dnia, gdy się poznali w szpitalu przy łóżku Jasmine, Ajna spytała, czy chciałby się napić wody. Zastanawiał się, jak odgadła, że był spragniony, bo chyba nie po czerwonym kolorze policzków...? Innym zaś razem spojrzała na niego z taką troską, jakby widziała lodowatą wodę w okopach, w której brodził poprzedniej nocy, i szron, który sprawiał, że pękały podeszwy i sztywniały sznurówki.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała nagle i wyciągnęła z worka, który trzymała pod szpitalnym łóżkiem, grube, wełniane skarpety. Nie chciał ich przyjąć, jednak się uparła i zagroziła, że się obrazi, jeśli ich nie weźmie.

A potem stało się coś dziwnego. Nocą, gdy kładł się spać, pod powiekami zamiast płonących domów i rdzy na swoim karabinie widział jej błękitne, niewinne oczy i uśmiech delikatny, dziewczęcy. O poranku też nie przestawał o niej myśleć. Jednak gdy nadszedł dzień, w którym Ajna miała wyjść ze szpitala i zamieniła bandaż na hidżab^[28], jej lekko okrągła twarz zajaśniała takim blaskiem, że pomyślał, iż nie ma czego szukać przy takiej dziewczynie. Już miał się pożegnać, lecz zatrzymała go wzrokiem i spytała śpiewnym głosem, czy będzie chciał się z nią jeszcze spotkać?

Dziś właśnie planował zabrać ją na bilard do sportowego kompleksu Skenderija, który działał mimo wojennych warunków, tak jak i jedyna dyskoteka w hotelu „Beograd”^[29]. Chciał zacząć od sportowej rozgrywki, w której był całkiem niezły. Marzył, że kiedyś przedstawi Ajnę rodzicom jako swoją narzeczoną.

Haris snuł takie rozważania, przemykając koło Teatru Kameralnego 55, w którym Jasmina i Dragan całkiem niedawno święcili tryumfy na scenie, i skręcił w ulicę prowadzącą w stronę miejskiego targowiska. Zrobił jeszcze kilka pośpiesznych kroków i nagle stanął w miejscu, bo zadrgało powietrze. Te niemal niewyczuwalne wibracje były jak zwiastun końca świata.

– Šaćira, Meliha! – Haris zamarł, słysząc rozedrgane dźwięki.

W pierwszym dniu wojny jedna z sióstr odeszła na jego rękach, później druga niemal nie zginęła w płonącym pociągu, myśl, że kolejne kobiety z jego rodziny zostały wystawione

na śmiertelne niebezpieczeństwo, ścięła go z nóg. Nie zdołał nawet zrobić kroku, bo nagle zapanowała kompletna cisza i ciemność... Zemdlał. Niebyt, w który się pogrążył, trwał zaledwie kilka chwil, jednak gdy się ocknął, krajobraz wokół niego zdążył się zmienić.

W cieniu kamienic niczym zjawy przemykali w stronę targowiska dobrze ubrani ludzie z mikrofonami w rękach lub kamerami na ramionach. Skąd się tu nagle wzięli? Tego Haris nie mógł zrozumieć. „Czy tak długo byłem nieprzytomny, czy może oni byli tu już wcześniej?” – ta ostatnia myśl wydała mu się niedorzeczna.

Z głową wciśniętą między ramiona popędził za nimi, niesiony najgorszymi przeczuciami. W swoim żołnierskim życiu widział już różne sceny, które mroziły krew w żyłach i o które codziennie toczył boje z pamięcią. Ale na to, co zastał na gruzach targowiska, nie był przygotowany.

Minobacačka bomba^[30] uderzyła precyzyjnie w sam środek zatłoczonego bazaru, na którym jedni ludzie wystawiali swój towar na sprzedaż, inni próbowali pozyskać coś na obiad, a jeszcze inni przechadzali się bez pieniędzy lub rzeczy na wymianę między straganami w nadziei, że w cudowny sposób coś im z nich skapnie. Jeszcze przed chwilą było to miejsce, w którym wirowały barwne płaszcze, szale i czapki, podniesione głosy przekupek mieszały się z paplaniną dzieci zadowolonych, że choć na chwilę opuściły wraz z matkami nudne domowe kryjówki.

Teraz jednak ziemia zabarwiła się czerwienią. Ludzkie strzępy i fragmenty ubrań przemieszane z deskami straganów i skapującą z nich warzywną melasą leżały wszędzie, gdzie okiem sięgnąć. Kończyny oderwane od korpusów, wnętrzości wylewające się z trzewi... Nawet Bruegel, twórca *Tryumfu śmierci*, nie wymyśliłby obrazu tak przejmującego. Jęki rannych i płacz tych, co stracili bliskich, falowały w mroźnym powietrzu. Zdawało się, że te pełne bóleści wołania unoszą się nad miastem na skrzydłach sarajewskich gołębi zadziwionych czynem, jakiego dopuścił się człowiek^[31].

Haris stanął jak wryty, chciał biec, pomagać rannym, ale znów nie potrafił się ruszyć. Zdawało mu się, że to wszystko jest okrutnym snem, który zaraz się skończy.

– Jesteś cały? – ktoś do niego podbiegł i zaczął oglądać jego czoło.

Dopiero teraz zauważył, że z twarzy kapią mu krople krwi. Musiał rozciąć skórę, gdy, mdlejąc, upadł na chodnik.

– Nic mi nie jest, ale... Moje siostry... Szukajcie ich – bąknął do wąsatego mężczyzny z opaską z czerwonym krzyżem.

– To rusz się, człowieku, pomóż! – krzyknął tamten i pognął w stronę rannej kobiety, która tuliła do piersi niemowlę zanoszące się płaczem.

Jego głos podziałał na Harisa otrzeźwiająco. Przerażony chłopak rozejrzał się wokół i na miękkich nogach ruszył przed siebie na poszukiwanie swoich bliskich. Zaglądał w twarze poharatanych odłamkami bomby osób, których w ruinach targowiska była niezliczona liczba. Kobiety, dzieci, starcy...

W pewnym momencie dostrzegł strzępy zielonego płaszcza wystające spod sterty buraków. Taki sam miała Šaćira... Serce podeszło mu do gardła. Rozrzucił rękoma rozłupane warzywa, barwiąc sobie ich sokiem palce na krwawy kolor. Prędejj, prędejj!

Kobieta leżała twarzą do ziemi. Nie ruszała się. Haris klęczał przy niej, ale nie był w stanie zrobić ruchu, by ją odwrócić i zajrzeć jej w oczy.

– To ktoś bliski? – Usłyszał nagle nad swoją głową pytanie wypowiedziane po angielsku.

Podniósł oczy i zobaczył, że jakiś mężczyzna z włosami jasnymi jak len, odziany w kamizelkę kuloodporną, podsuwa mu pod nos mikrofon. Wzrok Harisa przykuło czerwone światełko na kamerze wycelowanej prosto w jego twarz niczym karabin. Trzymał ją w dłoniach drugi dziennikarz, nieco starszy od blondyna.

– Słucham... Co takiego? – Bośniak spojrział na mężczyzn niewidzącym wzrokiem. – Czego tu chcecie? *Jebem vam majku!* Jak wam nie wstyd? Zamiast krążyć wśród trupów jak sępy, znajdźcie winnych – trudno mu było opanować gniew. – Wywlecście z nory tych kundli, dzieciobójców... Niech powiedzą, dlaczego to zrobili? Dlaczego...?! – Haris ukrył twarz w dłoniach.

– Masz to? – jasnowłosy dziennikarz rzucił w stronę kolegi z kamerą.

– Mam – przytaknął starszy, ale po jego minie widać było, że jest poruszony.

Miał ochotę uklęknąć koło Harisa i objąć go ramieniem. Nie było jednak na to czasu, bo kolega pociągnął go w stronę młodego mężczyzny, który własnymi rękoma starał się zatamować krew sączącą się z wielkiej rany na szyi starszej kobiety. Musiał to sfilmować, wiedział, po co tu przyjechał. Doświadczenie podpowiadało mu, że nie wolno współczuć. Każdy toczył swoją własną wojnę. On sam wcześniej był w Afganistanie i w Zatoce Perskiej, buntował się, chciał zmieniać świat, cierpiał... Przyplacił to skrajną bezsennością i załamaniem nerwowym. Nauczył się, że jeśli chce dostawać kolejne nagrody za swoje wstrząsające reportaże, to musi odrzucić emocje. Ma po prostu filmować i dawać świadectwo. Tylko tyle i aż tyle.

Haris też pamiętał, po co przyszedł na targ. Był żołnierzem i był bratem, miał do wykonania zadanie, musiał uratować siostry. Drżącymi rękoma uniósł więc delikatnie dziewczynę w zielonym płaszczu i odwrócił ją na wznak. Patrzyła na niego chabrowymi oczami pełnymi zdziwienia, jakby w chwili śmierci chciała osiąść wszystkie tajemnice świata, lecz zabrakło jej czasu. Na jej piersiach krew namalowała wielki emblemat. „Sarajewska róża!” – wzdrygnął się Haris. Widział wiele podobnych rysunków na betonie wyrwanym przez moździerzowe pociski, ale nigdy na czyimś ubraniu.

Dziewczyna była bardzo młoda, miała nie więcej niż osiemnaście lat i całe życie przed sobą. Jej policzki wydawały się nadal zaróżowione od mroźnego powietrza. Lekko rozchylone miękkie usta czekały na pocałunek, na miłość, na chwilę zabarwione młodzieńczym szaleństwem. Jednak ktoś wydał rozkaz, ktoś inny załadował pocisk...

Haris ułożył Bośniaczkę delikatnie na śniegu i zamknął jej oczy. Nie mógł jej pomóc. Zbierała już kwiaty na zupełnie innej łące. Wielka fala żalu zalewała jego serce, wstał jednak i poszedł szukać dalej. Ten zielony płaszcz nie należał do Šaćiry.

Miał coraz mniej nadziei, gdy błądził między szczątkami zrujnowanego targowiska, przypominającego przedproże piekła. Jednak gdy po trzech godzinach nadal nie odnalazł siostr, nie wiedział, czy cieszyć się, czy płakać. Noga za nogą powlókł się do mieszkania rodziców, by choć chwilę odpocząć, zanim znów przystąpi do poszukiwań, tym razem w miejskich szpitalach.

– Braciszku, jesteś, w końcu! Tak się o ciebie martwiłyśmy! – mała Merjem czekała na niego już na progu. Miała wypieki na twarzy i rozognione oczy pełne niepokoju.

Słyszała zapewne, co się wydarzyło na targu Markale. Huczało już o tym całe miasto.

Ale jak miał jej powiedzieć, że nie zdołał odnaleźć sióstr? Jak miał jej wyznaczyć, że zawiódł?

– Słoneczko, wybaczone... Nie potrafiłem... – przytulił dziewczynkę do siebie z całej siły, jakby w ciepłe tej małej istoty szukał pocieszenia.

– Czego nie potrafiłeś, Haris? – uniosła do góry głowę i spojrzała na niego wielkimi oczami pełnymi ufności.

– Nie znalazłem ich... – powiedział cicho.

– Kogo? – zdziwiła się.

– Šaćiry i Melihy.

– Przecież one... od dawna są w domu.

– Wróciły? Jak to możliwe? – Haris spojrzał na siostrę z niedowierzaniem. Pomyślał, że zielen jej tęczy ma najpiękniejszą barwę na świecie. Jeszcze nigdy w jednej chwili nie poczuł się tak lekki, jakby zrzucił z pleców stalową zbroję ważącą tonę.

– Chodź do środka, to same ci powiedzą – Merjem pociągnęła brata za rękę.

Pomyślał, że nie tylko jej oczy, ale i jej głos jest najpiękniejszy na ziemi. Kochał tę małą istotę, kochał dwie pozostałe siostry. Za swoją rodzinę był w stanie oddać życie.

Šaćira i Meliha siedziały przy dużym stole i przyglądały się koronce, z której miały zamiar uszyć nakrycie głowy dla panny młodej. Materiał był delikatny i zarazem ozdobny, przywodził na myśl dostatnie życie, tak upragnione i tak nierealne...

Dziewczyny w pierwszej chwili nie mogły zrozumieć, dlaczego ich brat porwał je jedna po drugiej w ramiona i zaczął ścisnąć jak oszalały. Jednak gdy opowiedział im, co dokładnie wydarzyło się na targu, same nie potrafiły się uspokoić. Miały wrażenie, że los przywrócił je zza światów i podarował im drugie życie.

– O, matko! A miałyśmy iść na Markale dokładnie w południe – przekrzykiwały się jedna przez drugą.

– Byłyśmy już prawie w centrum, gdy spotkałyśmy mamę Jasminy, panią Jovanović, a ona dźwigała strasznie ciężkie kanistry z wodą – opowiadała Meliha.

– No i postanowiłyśmy jej pomóc, a dopiero potem zdobyć coś na obiad – dorzuciła Šaćira.

– Tylko że Gordana, wiesz, ta kuzynka Jasminy, która mieszka u Jovanovićów, zatrzymała nas na kawę. A potem, gdy dowiedziała się, że Šaćira wychodzi niedługo za mąż, spytała, czy nasza siostra ma już suknię. No bo przecież wiadomo, jak ciężko dziś coś ładnego zdobyć...

– Więc ja jej na to, że póki co nie mam, ale babcia obiecała mi coś uszyć – Šaćira posłała uśmiech Azrze, która przysłuchiwała się rozmowie wnuków ze swojego łóżka. – I już miałyśmy iść...

– ... gdy pani Jovanović zakrzyknęła, żebyśmy jeszcze chwilę poczekały, bo ona ma coś specjalnego, co może się Šaćirze przydać – referowała z przejęciem Meliha. – I wyciągnęła spod łóżka stary kufer. A my oczywiście chcieliśmy zobaczyć, co w nim jest...

– O, Allachu, dzięki ci za ciekawskość kobiet! – Haris wznosił oczy do nieba. – Gdybyście poszły wtedy na targ...

– Czy to był kufer ze skarbami? – Merjem zaświeciły się oczy.

– Chyba można tak powiedzieć, bo były w nim stroje Jasminy z jej dawnych przedstawień – odpowiedziała Šaćira.

– No i wiesz... – ciągnęła Meliha. – Gdy zaczęłyśmy oglądać te sukienki, draperie i koronki, to trochę się zeszło. Wiedziałyśmy, że babcia i Merjem czekają głodne w domu, ale nadarzyła się taka okazja... No bo gdzie Šaćira znajdzie coś lepszego?

– A Jasmina się nie obrazi, że wzięłyście jej skarby? – spytała dziewczynka.

– Ech, przecież tylko pożyczyłyśmy – uśmiechnęła się do niej najstarsza z sióstr. – No i mamy sposób, żeby się jej odwdziżyć...

– Tak? A jaki? – spytała ze swojego łóżka babcia Azra.

– Jeśli dostaniemy się do konwoju, to weźmiemy ze sobą zeszyt z wierszami Dragana i może uda nam się jakoś go Jasminie przesłać – odpowiedziała dziewczyna. – A chyba nic jej bardziej nie ucieszy, prawda?

– To fakt. Ja też o tym myślałem, ale po tym, co stało się dziś na Markale, nie jestem pewien, czy... Czy będą jeszcze jakieś konwoje. – Haris popatrzył na siostry smutno.

– Dlaczego? – zdziwiła się babcia Azra.

– Po takim barbarzyństwie społeczność międzynarodowa może nas ostatecznie skreślić...

– Co ty mówisz? Chyba raczej dopiero teraz otworzy oczy. Ludzie w końcu rozumieją, co tu się dzieje – rzekła twardo babcia. – Nie mogą przecież czekać z założonymi rękoma, aż taka masakra się powtórzy. Czy nie dość już ofiar? – trzęsła się ze złości.

– Masz rację, babciu. Jednak to, co dziś widziałem... – nie potrafił dokończyć.

Od południa kołatała mu w głowie straszna myśl. Szpitalne karetki, zagraniczni dziennikarze zjawili się na targu tak szybko... Tuż po tym, jak nastąpił wybuch. Zupełnie jakby ktoś wszystko z góry przewidział, zaplanował, by zmusić świat do ostatecznej reakcji. A jednak to podejrzenie zdawało mu się bluźnierstwem. Codziennie chwycił za karabin, celował do niedawnych braci, bawił się w ciuciubabkę ze śmiercią, nie śmiał więc wątpić w tych, którzy wydają rozkazy. Nie miał też na swoje podejrzenia dowodów, absolutnie żadnych.

Chciał jak najszybciej otrząsnąć się z szoku. Nie należał do tych, którzy, doświadczwszy cierpienia, pozwalają się obezwładnić i uważają, że świat zawiódł ich na całej linii. On z tragicznego zdarzenia wyciągnął zupełnie inną lekcję. Pojął, jak cenna jest każda chwila, którą dane mu jest przeżyć z najbliższymi, i jaką siłę może dać mu miłość. Jutra mogło nie być, więc szkoda było tracić czasu. Šaćira miała niebawem wyjść za mąż, może więc i on powinien poprosić kogoś o rękę...?

[25] Tespih, inaczej tesbih, subha lub misbah – muzułmański sznur modlitewny służący do wysławiania Stwórcy.

[26] Szahada – muzułmańskie wyznanie wiary.

[27] Kiflice – rodzaj rogalików popularnych w Bośni.

[28] Hidżab – chusta zakrywająca włosy, uszy i szyję muzułmanek. Pozostawia odkrytą twarz.

[29] O działalności tych dwóch placówek wspomina Barbara Demick w swoim reportażu pt. *W oblężeniu. Życie pod ostrzałem na sarajewskiej ulicy* (Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014).

[30] Pocisk moździerzowy (po serbsku, chorwacku i bośniacku).

[31] Masakra na targu Markale miała miejsce 5 lutego, niemal w samo południe, w czasie, w którym ruch na targowisku był największy. Zginęło wtedy sześćdziesiąt osiem osób, a rannych zostało ponad sto. Sprawa odpowiedzialności za tę

masakrę budzi kontrowersje. Dla Muzułmanów sprawa jest oczywista – wiadomo, kto był najeźdźcą i kto ostrzeliwał pociskami miasto. Serbowie mówią jednak o spisku i o boszniackiej prowokacji, która miała na celu przymuszenie NATO do nalotów lotniczych na serbskie pozycje. UNPROFOR twierdził, że trudno jest ponad wszelką wątpliwość ustalić, z czyjej lokalizacji został wystrzelony pocisk. Jednocześnie Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii za winnego masakry na Markale (i wielu innych zbrodni) uznał serbskiego generała Stanislava Galicia.

ROZDZIAŁ 12

Sarajewo, koniec lutego 1994

Ta niedziela miała być dla Harisa niezwykła. Włożył nowe spodnie uszyte przez babcię Azrę, białą koszulę wyciągniętą z zakamarków szafy i ogolił się bardziej starannie niż zwykle. Pierścionek zdobył już jakiś czas temu i prawie się z nim nie rozstawał. Nosił go w wewnętrznej kieszeni wojskowej kurtki, zamknięty w błękitnym pudełeczku wyłożonym białym atłasem. Miał wrażenie, że ta mała rzecz jest najbardziej delikatną i misterną złotniczą robotą, jaką w życiu widział.

Pierścionek z szafirowym oczkiem, które mieniło się błękitem jak oczy jego ukochanej, kupił za dwa kartony papierosów od znajomego pochodzącego z jednej z najstarszych złotniczych rodzin w mieście. Najpierw dziad, potem ojciec Mustafy, a w końcu jego brat prowadzili z sukcesem wytworny sklep na Baščaršji, w którym zaopatrywali się notable, gwiazdy muzyki, a także licznie odwiedzający bazar zagraniczni turyści.

Gdy w Sarajewie rozpoczęły się walki, właściciel sklepu wołał jednak ratować życie aniżeli biznes i postanowił opuścić miasto. Nadarzyła się ku temu okazja, bo jego żonie, z pochodzenia Czeszce, zaproponowano miejsce w samolocie wysłanym po rodaków przez prezydenta Havla. Dano jej jeden wieczór na spakowanie, zamknięcie domu i pożegnanie się z najbliższymi.

Mustafa dobrze pamiętał przerażenie w oczach bratowej. Przyszło jej zostawić za sobą dotychczasowe życie i w dwóch walizkach zamknąć cały dobytek. Hana stała bezradna przed otwartą szafą, wyjmowała z niej swoje sukienki, a po chwili odwieszała je z powrotem, by w podróжной torbie starannie ułożyć ubranka dzieci. Potem z kolei kaftaniki i śpioszki lądowały na podłodze, a do bagażu trafiały srebrne sztuce, pamiątka po matce i rodzinne zdjęcia. Kobieta zachowywała się tak, jakby miała tu nigdy nie wrócić.

Brat Mustafy miał jeszcze większy dylemat. Z jednej strony czuł, że jego obowiązkiem jest obrona miasta, w którym się urodził nie tylko on, ale i jego przodkowie, z drugiej nie wyobrażał sobie, że mógłby puścić żonę samą w drogę z dwiema malutkimi córeczkami i synkiem jeszcze przy piersi. Nie wiedział też, co zrobić ze złotem, majątkiem gromadzonym przez pokolenia. W żaden sposób nie mógł go zabrać ze sobą, lecz sklep też nie był właściwym miejscem, by go w nim zostawić. Ostatecznie mężczyzna uciekł się do starych, sprawdzonych sposobów i zakopał rodzinny skarb w ogrodzie pod gruszą. Swoją sekret powierzył Mustafie, a on... przy szklance śliwownicy zdradził go Harisowi.

Młody żołnierz nie dopytywał jednak, czy pierścionek, który kupił dla swojej Ajny,

pochodzi ze skrzyni ukrytej pod ziemią, czy z innych złotniczych zapasów, bo czasem lepiej nie znać prawdy i zachować spokój ducha. Upewnił się tylko, że niebieskie pudełeczko jest na miejscu, w kieszeni kurtki, i ruszył z domu rodziców do ukochanej.

Ajna mieszkała w kamienicy niedaleko stadionu Zetra, więc chłopak miał do przejścia szmat drogi, jednak zaprawa, jaką otrzymał podczas działań wojskowych, pozytywnie wpłynęła na jego kondycję. Haris śmiał się nawet, że wojna wyszła mu na zdrowie, niewiele jadł, dużo się ruszał, dzięki czemu zrzucił sporo kilogramów. Był to jednak śmiech przez łzy, bo dieta uboga w witaminy, a właściwie ciągłe niedojadanie oraz nieustający stres sprawiły, że zaczęły rzednąć mu włosy, a i stan uzębienia pozostawiał wiele do życzenia.

Haris miał nadzieję, że gdy klęknie przed Ajną, by prosić ją o rękę, jego niedoskonała fizjonomia nie będzie miała dla niej znaczenia. Wierzył, że dobrali się jak w korcu maku, a ich porozumienie duchowe jest czymś wyjątkowym. Przemierzał ulice miasta miarowym krokiem, starając się unikać otwartych przestrzeni. To nie był dzień na umieranie, to był dzień na miłość.

Jednak już w centrum miasta zaczął mieć co do tego pewne wątpliwości. Najpierw gdzieś niedaleko, na równoległej ulicy, rozległ się huk pocisku moździerzowego, a potem ludzie z okolicznych domów wylegli na balkony. „Chowajcie się!” – chciał krzyknąć, lecz oni zachowywali się, jakby byli widzami w teatrze albo zasiedli przed telewizorem.

Zdezorientowany Haris wszedł do klatki jednego z wysokich domów i wbiegł na ostatnie piętro. Wyjrząwszy przez okno na schodach, szybko zrozumiał, że dzieje się coś złego. W okolicy Zetry kręciło się więcej opancerzonych samochodów niż zazwyczaj, przemieszczały się nerwowo jak pionki na szachownicy, jakby przed czymś uciekały. Nagle jeden z nich stanął w płomieniach, a kolejne dwa zostały ostrzelane. Czyżby Serbowie dobrali się do skóry siłom międzynarodowym? Haris odczuwał dziwną satysfakcję.

Jednocześnie włos jeżył mu się na głowie, bo pociski trafiały blisko miejsca, w którym mieszkała Ajna. Musiał się jak najszybciej do niej dostać, sprawdzić, czy nic jej nie zagraża. Zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie, i wypadł przed budynek. Postawił kołnierz kurtki, jakby mogło go to ochronić przed niebezpieczeństwem, i popędził zacięciem stroną ulicy przed siebie.

Normalnie o tej porze dnia dziewczyna byłaby w pracy, ale od dwóch dni chorowała na anginę. Matka przekonała ją, że sprawy w obronie cywilnej, gdzie młoda Bośniaczka zajmowała się rozdzielaniem pomocy humanitarnej, nie uciekną, a jej organizm osłabiony wcześniejszym pobytem w szpitalu, a teraz infekcją, musi się wzmocnić. Ajnie jednak nie było łatwo usiedzieć na miejscu i słuchać odgłosów dochodzących zza okna.

Co prawda i w pracy nie zawsze lubiła przebywać. O ile główne zajęcie dawało jej satysfakcję, o tyle tworzenie różnego rodzaju spisów ludności przyprawiało ją o ból głowy. I to nawet nie dlatego, że nigdy nie lubiła cyfr i statystyki, lecz z powodu koleżanki zza biurka. Jelena, niezdrowo chuda trzydziestolatka, której oboje rodzice byli Serbami, miała obsesję na punkcie takich list. Twierdziła, że muzułmańska władza zleciła sporządzanie ich po to, by wyłapać Serbów, których rodziny uciekły z miasta, a oni nadal mieszkali po boszniackiej stronie. Takich zdrajców należało znaleźć i przykładowo ukarać.

– Słyszałaś o Tomiciu? – spytała niedawno Ajnę.

– Nie, a kto to taki?

– Jeden z tych, co to ich żona i brat czmychnęli do Serbii. Mówiłam ci, że będziemy go miały na sumieniu, jeśli zaznaczymy to na naszej liście. Już po niego przyszli.

– Kiedy? Co ty mówisz?

– Wczoraj o świcie. Wiem o tym, bo go znałam. Mówię ci, przychodzą po nich wszystkich, a potem... zakopują trupy w piachu.

– Ale wymyślasz! – Ajna zmroziła ją wzrokiem. – Muzułmanie nie robią takich rzeczy. Nie jesteśmy barbarzyńcami. To nie my strzelamy z ukrycia do dzieci – oburzyła się.

Rozmowy z Jeleną zawsze podnosiły jej ciśnienie. Uważała, że od ciągłego strachu kobiecie pomieszało się w głowie. Współczuła jej, bo znała jej historię.

Młoda bośniacka Serbka wychowywała się bez rodziców i opiekowała młodszą siostrą, cichą, zamkniętą w sobie dziewczyną, która od wybuchu wojny nie ruszała się z domu, nawet po wodę. Jelena zaś pragnęła stąd uciec. Nie mogła znieść narastającej nienawiści sąsiadów, którzy jeszcze do niedawna traktowali ją jak swoją.

Teraz, gdy wracała z pracy i szła przez podwórko, z okna na piętrze leciały na nią pomyje, w dosłownym i przenośnym sensie. Nieraz odlepiała z włosów i z ubrania obierki od kartofli lub resztki kiszzonej kapusty. Dziwiła się, że sąsiadce nie szkoda tak ich marnować. Sama często nie miała co jeść, bo na widok amerykańskich konserw, które rozdelała jako pomoc w pracy, skręcało ją w żołądku. Zamiast jeść, wołała wymieniać je na bazarze na papierosy, które paliła nałogowo, choć przed wojną ani razu nawet się nie zaciągnęła. Najgorsze były jednak obelgi.

– Czetnikuszo^[32], czego jeszcze tu szukasz? Zwiewaj do swoich, ty zdiro – wołała gromkim głosem sąsiadka. – Wszystkich was trzeba wyrznać w pień. *Jebem ti majku!*

Jelena zakładała wtedy kaptur kurtki na głowę i jak najszybciej przemykała na schody, by schować się za własnymi drzwiami. Piekły ją do żywego słowa sąsiadki, której nigdy nie odmówiła pomocy. Ile to razy ukrywała ją w szafie przed mężem, gdy wpadał do jej mieszkania rozjuszony jak byk i zalany niemal w trupa. Zapewne szybciej wypatrzyłby wtedy białe myszki niż własną żonę, ale to jej miał ochotę przyłożyć. Ile razy pożyczała jej mąkę i jajka, gdy nie miała ich za co kupić, a wymagający partner oczekiwał obiadu? To wszystko poszło teraz w niepamięć tylko dlatego, że Jelena, zamiast do meczetu, zaglądała czasem do cerkwi. I to raczej rzadko.

Dziewczyna pragnęła wyjechać, wystarała się nawet o wizę dla siebie i Ksenji. Zwierzyła się siostrze ze swoich zamiarów, opowiadała jej, że już niedługo oddychać będą wolnością, jednak ona nie chciała nawet słyszeć o tych planach. Nie mogła sobie wyobrazić, że opuści miasto. Jakże by mogła się na to porwać, skoro zejście do piwnicy w czasie bombardowania było dla niej niczym wyprawa na Marsa? Poza tym tutaj miała chłopaka i nie chciała się z nim rozstać. Dziwna to była miłość, ale jednak była.

Jelena nie potrafiła zrozumieć, jak to się stało, że jej kolega z obrony cywilnej, którego przyprowadziła kiedyś do domu, by wypić z nim kawę i trochę się pośmiać, wybrał jej siostrę. Taką cichą, szarą myszkę, która bała się nawet oddychać? Która zawsze twierdziła, że nie ma co wychodzić z domu, bo miłość sama do niej przyjdzie? No i przyszła.

A Jelena? Chłopak pewnie uznał, że poradzi sobie sama. Tylko że ona nie chciała sama sobie radzić. Miała nadzieję, że mężczyzna przynajmniej dla Ksenji stanie się podporą i zabierze ją do siebie, a ona będzie mogła wyjechać. Ale gdzie tam! Wpadał wieczorem do nich pogadać, pograć w karty i już go nie było. Czasem przyniósł papierosy i tyle. Więc gdy tylko zaczęła pakować walizki, siostra się zbuntowała. Zamknęła się w sobie, nie chciała jeść, nie odzywała się ani słowem. Była coraz bledsza, coraz chudsza, snuła się jak cień po mieszkaniu. Lekarz stwierdził, że to objawy depresji. Jelena nie mogła jej zostawić, nie potrafiła. Odwiesiła rzeczy do szafy i znów odpalała papierosa od papierosa. Bo miłość, nawet ta siostrzana, często żąda ofiar.

Ajna dobrze o tym wszystkim wiedziała i nie chciała podzielić losu Jeleny. Siedziała na łóżku z podkulonymi nogami, ubrana w długą sukienkę, przykryta ciepłym kocem aż po brodę i czekała na Harisa. Cieszyła się, że niedługo go zobaczy, a jednocześnie obawiała się tego spotkania, bo nie chciała zostać zakładniczką własnego uczucia. Nie mogła dla niego narażać życia rodziców i małego brata. Szczególnie nie jego. Był taki delikatny i wszystko mocno przeżywał. Rozchorował się, gdy została ranna, nie mógł znieść, że jest w szpitalu, kochany przedszkolak. Przez ciągły strach zaczął się moczyć w nocy, budził się zapłakany, krzyczał. Obrazy za oknem nie były dla niego!

Ajna kochała malca i pragnęła dla niego normalnego dzieciństwa, nawet kosztem własnego szczęścia. A jej tata dostał właśnie propozycję, że ktoś wydobędzie ich z miasta, i czekał tylko na jej decyzję. Zawsze mówił, że rodzina musi trzymać się razem, więc albo wszyscy wyjadą, albo nikt się nie ruszy. Czy miała prawo być dla bliskich ciężarem?

Rozmyślała o tym, gdy nagle pod jej domem zatrzęsa się ziemia, jakby tuż obok nastąpił wybuch wulkanu. Ajna padła na łóżko, nasłuchując niczym czujna sarna. Złowroga cisza zawisła w powietrzu, ale nic się nie działo. Dziewczyna uspokoiła oddech, rozluźniła mięśnie i wstała. Jednym susem dopadła do okna.

Z szarej kamienicy stojącej naprzeciwko jej domu pocisk wyrwał kawałek parteru. Musiał wpaść w nią koszącym lotem lub uderzyć tuż przed budynkiem, nie mogła się zorientować. Trotuar pokrył się szkłem z rozbitych witryn sklepu obuwniczego jak śniegiem. Większe fragmenty tafli oświetlone promieniami słońca puszczały wesołe zajęczki. Pantofle, trampki, sandałki, buty z wąskim noskiem, na obcasach i te na koturnach wystrzeliło z pomieszczenia niczym kolorowe konfetti na sylwestra. Jednak nie był to radosny widok. Obuwie leżało rozrzucone wokół ludzi, którzy nie dawali znaku życia. Przyklejeni twarzami do ziemi, w dziwnych, nienaturalnych pozach wyglądali z oddalenia jak sklepowe manekiny. I tylko kałuże krwi zdradzały, że jeszcze przed chwilą należeli do żywych.

– Szybko, lećmy do sklepu! – do pokoju Ajny wpadła szesnastoletnia sąsiadka z mieszkania obok. – Wybierzemy sobie buty, jakie tylko chcemy! – wołała podekscytowana.

– Co ty opowiadasz? Przecież tam są martwi ludzie.

– Ech, frajerka z ciebie. Drugiej takiej okazji nie będzie. Ale jak nie chcesz, to nie idź. Będzie więcej dla mnie – prychnęła i już jej nie było.

Po chwili Ajna zobaczyła nastolatkę przez okno. Przeskakując przez martwych i rannych, znalazła się pod sklepem, a właściwie pod tym, co z niego zostało. Uklękła przy

stosie podartych, nadpalonych kartonowych pudełek i po kolei penetrowała ich zawartość. Z okolicznych domów wybiegli inni i pognali na osobliwe „zakupy”.

Koło jednej ze sterty butów leżało małe dziecko. Nie ruszało się. Ajna zamarła. Miało na sobie taki sam sweterek, jaki nosił jej brat. „Boże!” – zakryła ręką usta. Jej mama poszła z małym jakiś czas temu do swojej koleżanki, która mieszkała niedaleko, i jeszcze nie wróciła. Z twarzy dziewczyny odpłynęła cała krew. Wpatrywała się w jeden punkt na ulicy.

Z bramy obok wybiegła kobieta z rozwianymi włosami, coś krzyczała, jak w niemym kinie. Dziecko się poruszyło. Podniosło się najpierw na kolana, potem wstało. Kobieta porwała je na ręce, obsypywała pocałunkami, tuliła do siebie jak szalona.

Ajna nadal nieruchomo wpatrywała się w obraz za oknem. Wiedziała już, co powie Harisowi.

[32] Pejoratywne określenie osoby pochodzenia serbskiego, wywodzące się od słowa „czetnik”. Czetnicy – partyzanckie oddziały działające w Jugosławii w czasie II wojny światowej, walczące przeciw Narodowej Armii Wyzwolenia Jugosławii marszałka Tito. Zwolennicy dominacji Serbów w Jugosławii.

ROZDZIAŁ 13

Warszawa, marzec 1994

Edward wrócił z olimpiady w norweskim Lillehammer wyraźnie rozczarowany. Nie było się czym ekscytować. Jak zwykle najwięcej medali zgarnęła Rosja, a polskim najlepszym wynikiem było... piąte miejsce. Co więcej, dziennikarz postawił na niewłaściwego konia, bo choć dziesiątą lokatę Anny Rechnio na tle wcześniejszych olimpijskich zdobywczy jej koleżanek można było uznać za prawdziwy sukces, to jednak do podium łyżwiarce zabrakło wiele litrów wylanego na treningach potu. Materiał o jej prywatnym życiu, który przygotował Edward, nie wzbudził aż takiego entuzjazmu wśród widzów ani tym bardziej wśród szefostwa telewizyjnej stacji, jakiego się spodziewał, więc sylwestrowe poświęcenie poszło na marne.

Najgorsze było jednak to, że Katarzyna, którą ostatnio mocno zaniedbywał, znów popadła w stan odrętwienia przeplatane go z wybuchami rozpaczony spowodowanymi brakiem wieści o synu. Od dnia, w którym zobaczyła w telewizji ociekającą krwią relację z masakry na targu Markale, przestała przypominać dawną siebie. Nie pomogły nawet napływające z Bałkanów wieści o tym, że dwudziestego trzeciego lutego Chorwaci i Muzułmanie podpisali zawieszenie broni, a w połowie marca UNPROFOR po raz pierwszy zwrócił się do NATO z prośbą o dokonanie nalotów na serbskie siły, co dawało nadzieję na zakończenie wojny w Bośni.

Edward miał wrażenie, że do szklanki jego żony, która kiedyś zawsze wydawała się do połowy pełna, ktoś wsypał truciznę tęsknoty i bezradności. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego Kasia swój narastający jak lawina gniew zwróciła przeciwko niemu. Zapomniał, że gdy nie umiemy poradzić sobie z frustracją i żalem do świata, nawet najbliżsi stają się w naszych oczach wrogami. A często szczególnie oni.

Początkowo starał się wspierać Katarzynę, jednak, ponieważ sam przeżywał nie najlepszy okres i miał sporo stresów w pracy, łatwiej było mu unikać żony niż wystawiać się na jej ciosy. Zamiast słuchać kolejnych wymówek, pozwalać na to, by jego uszy świdrowały wysokie tony, wołał podejmować nowe wyzwania w pracy i... nie tylko.

A wszystko zaczęło się jakieś dwa tygodnie wcześniej...

Wracając z telewizji wieczorną porą, Edward skręcił trochę zbyt szybko w wąską uliczkę przyprószoną świeżym śniegiem. W ostatnich dniach na obrzeżach parku łażienkowskiego w kilku latarniach popsuły się żarówki i, choć zgłoszono to od razu odpowiednim służbom miejskim, nie zostały one jeszcze wymienione. Pewnie dlatego nie zauważył psa, który z ciemności wbiegł prosto pod koła jego samochodu.

– Kuźwa! – zaklął szpetnie i zahamował tak mocno, że prawie wbił się we własną kierownicę.

Niestety, było za późno. Usłyszał odgłos wgniatanej blachy i głośny skowyt.

– Niech to szlag! Skąd się tu wziął ten zwierzak?

Edward wysiadł z samochodu i stanął bezradnie na krawężniku. Pies leżał na asfalcie z półprzymkniętymi oczami i cicho skamlał. Przypominał trochę owczarka niemieckiego, ale raczej był kundlem, zresztą w tym świetle nie można było się rozeznąć w jego rasie. Edward Waleczny otworzył bagażnik i wyjął z niego stary koc, który zawsze woził na tak zwany wszelki wypadek. Gdy delikatnie unióśł zwierzę, zobaczył, że krwawi.

– Jeszcze tylko tego mi brakowało – westchnął.

Nie chciał jednak zostawić rannego psa na ulicy. Właściwie zawsze miał większy sentyment do zwierząt niż do ludzi, często wydawało mu się, że to właśnie one rozumieją go lepiej. Jako dziecko hodował białe myszki, a potem, w dorosłym życiu, przez chwilę miał kota, prawdziwego puchatego persa, którego zabrała jego pierwsza żona wraz z mieszkaniem na Żoliborzu.

Mariola odeszła od męża, porzucając również ich wspólną córkę Martę, gdy dziewczynka miała zaledwie kilka lat i potrzebowała jej najbardziej. Żona Edwarda była piękną kobietą o bujnych kształtach i wciąż rosnących wymaganiach, którym, jak się okazało, on nie był w stanie sprostać.

Poznali się w akademiku, w czasach kiedy to Waleczny dzielił skromny pokój z drugim studentem dziennikarstwa, a Mariola pomieszkiwała kątem u koleżanek z wydziału socjologii. Sama nie studiowała, bo, jak mówiła, nie miała do tego głowy, wolała zajmować się swoją urodą oraz marzeniami o bogactwie i dalekich podróżach. Mimo braku wyższego wykształcenia była osobą bystrą i świetnie radziła sobie w życiu. Szybko doszła do wniosku, że przyszły dziennikarz będzie dla niej odpowiednią partią i zastawiła sidła na szczupłego studenta, który do czasu jej poznania nie miał poważnych doświadczeń z kobietami, więc nie wiedział, czego się po nich spodziewać.

Edward patrzył w nią jak w obrazek. Ukończywszy studia, zabrał wybrankę wraz ze sfatygowaną walizką, w której zamknięty był cały jej dobytek, do wynajętej kawalerki. Świącie wierzył, że znalazł kobietę, z którą spędzi resztę życia.

Przez kolejnych kilka lat Mariola znakomicie odgrywała rolę pani redaktorowej i choć przestała liczyć na to, że kiedyś dziennikarska pensja męża przerodzi się w fortunę, wydawała się szczęśliwa. Brylowała na bankietach w telewizji i na przyjęciach organizowanych przez żony kolegów Edwarda, sama jednak nie miała ochoty w żaden sposób się rewanżować. Ponieważ on miał w telewizji mnóstwo zajęć, Mariola jeździła w pojedynkę na zagraniczne wojaże z biurem turystycznym Orbis lub Gromada.

Mimo to ich pożycie układało się w miarę poprawnie, na pewno nie gorzej niż większości polskich małżeństw, aż do pewnego dnia, w którym to redaktora Walecznego rozboleła głowa tak bardzo, że nie był w stanie dokończyć montowania materiału w telewizji.

I to właśnie migrena była winna temu, że zjawił się w domu dużo wcześniej, niż powinien. Gdy otwierał kluczem nowoczesny zamek Gerda z dwiema dodatkowymi wkładkami (lubił zawsze dobre zabezpieczenia), jego życie zdawało się uporządkowane i nic nie zapowiadało katastrofy. Jednak kiedy tylko wkroczył do małżeńskiej sypialni, by

odwiesić do szafy sztruksową marynarkę (takie nosił najchętniej), wszystko posypało się jak domek z kart.

Edward ujrzał zgrabną pupę swojej małżonki Marioli, jak w rytmicznych podrygach unosi się i opada bynajmniej nie w ramach ćwiczeń fitness. Najbardziej jednak zabolowało go to, że swoją galopadę skuteczniała na człowieku, który był mu wyjątkowo bliski.

Z Kazimierzem znali się od podstawówki i z niejednego sadu razem kradli jabłka. A teraz przyjaciel zasadził się na jego własność, co było wyraźną przesadą.

Ot, banalna historia, jakich wiele. Waleczny mocno ją przeżył. Rozwagał nawet, by ze względu na dobro małej córki wybaczyć żonie grzechy, ale ona zawiodła go ostatecznie i wybrała Kazimierza. Bo choć nie był on jeszcze królem życia, to założył hurtownię napojów gazowanych i zapowiadał się jako biznesmen dużo lepiej od Edwarda.

Teraz jednak dziennikarz miał zupełnie inne kłopoty.

– No, już cicho, pieseczku – przemawiał łagodnie do rannego zwierzęcia.

Udało mu się w końcu ułożyć go na kocu i wraz z nim umiejscowić na siedzeniu pasażera. Obawiał się, że krew ciekąca ze zranionej łapy ubrudzi mu samochód, ale nie miał wyjścia.

Na szczęście pobliska klinika weterynaryjna była pusta i czynna całą dobę. Waleczny ułożył zwierzę na metalowym blacie i oddał w ręce ładnej brunetki przyodzianej w fartuch w nieco infantylne kotki.

– To ja już lecę! – stwierdził zadowolony, że za chwilę będzie miał kłopot z głowy.

– Zaraz, zaraz, a dokąd to? Przecież ja potrzebuję pańskiej pomocy. Nie zostawi pan chyba tak swojego pupila – zachnęła się dziewczyna.

– Ale to nie jest mój pies, znalazłem go na ulicy. Ktoś go pewnie potrącił.

– Widzę przecież, że nie wrócił z ekskluzywnych wczasów, jednak to pan go do nas przywiózł i teraz to pan za niego odpowiada.

– Czyli nie miała baba kłopotu... – westchnął Edward.

Był zły. Zrozumiał, że będzie musiał zabrać zwierzę do domu, a Katarzyna zawsze była przeciwna trzymaniu psów w bloku. Nie, żeby miała coś przeciwko czworonogom, uważała jednak, że powinny mieć swobodę, a nie przesiadywać całe dni same, zamknięte w betonowej klatce. Trudno się było z nią nie zgodzić. No nic, może ten pies stanie się dobrym pretekstem, by rozważyć zakup segmentu z ogródkiem? Może wtedy poprawi się żonie humor?

Edward stanął przy stole, na którym leżało bezradne zwierzę, i pogłaskał je po kudłatym łbie. Zwłaszcza że w zatroskanych oczach dostrzegł coś, co go poruszyło. W oczach pani doktor, rzecz jasna...

Wcześniej nie zwracał specjalnej uwagi na kobiety, bo te ponętne w klasyczny sposób, kształtne, z dużym biustem, wydawały mu się z założenia puste, a on cenił w ludziach intelekt. Te zaś o szlachetnych rysach były w jego mniemaniu zbyt zimne i niedostępne. Jednak dziewczyna z kotkami wymalowanymi na fartuchu emanowała ciepłem. Raczej niewysoka, zgrabna, z nieco zadartym nosem i schodzącymi się mocno brwiami, nie była klasyczną pięknoscią. Miała jednak w sobie coś, co go poruszyło, biła z niej empatia, której Edward tak bardzo obecnie potrzebował.

– Proszę przyjść do mnie jutro z psem na kontrolę – powiedziała życzliwie, po tym, jak

zszyla zwierzęciu ranę.

Wsluchal sie w miły tembr jej głosu i już wiedział, że przyjdzie, nie tylko jutro... Choć pewnie lepiej byłoby, żeby się nigdy nie spotkali.

Katarzyna nie miała pojęcia, jak to się stało, że tak szybko pokochała brunatnego kundla. Psiak był sympatyczny, więc zupełnie niepotrzebnie zrobiła Edwardowi o niego awanturę. Początkowo nie mieściło jej się w głowie, że mąż nie zauważył całkiem sporego zwierzęcia, które wybiegło na ulicę, zranił je i na dodatek uszkodził karoserię samochodu. Poza tym złościła ją perspektywa, że będzie musiała niańczyć kulawego przybłędę, wtedy gdy Edward znów zachwycać się będzie salchowem, lutzem lub rittbergerem[33] na jakimś końcu świata. Nowy kudłaty domownik szybko jednak podbił jej serce i stał się wiernym kompanem.

A taki był jej bardzo teraz potrzebny. Bo co do wierności męża... Hm... Tej nie była pewna. Wydawało jej się, że podczas olimpiady coś musiało zajść między nim a młodą łyżwiarką, bo na biurku Edwarda wśród zdjęć z imprezy były prawie wyłącznie fotografie zgrabnej Ani, a na jednej z jego koszul Kasia wyczuła zapach kwiatowych perfum. W dodatku ostatnio był dziwnie roztargniony, chodził z głową w chmurach, co było do niego zupełnie niepodobne.

I pewnie gdyby nie fakt, że jej myśli zajmowały ważniejsze sprawy, drażyłaby tę kwestię bardziej intensywnie. Teraz jednak najważniejszy był jej syn. Katarzyna musiała wymyślić sposób, by sprawdzić, czy Dragan nie ucierpiał podczas masakry na Markale. Chciała też uzmysłwić swojej przyjaciółce Ani, że nawet jeśli się w końcu pojawi w Warszawie, nie zostanie ojcem jej wnuka. Bo choć Katarzyna nadal nie miała pomysłu, jak wywinąć się z intrygi, którą sama uknuła, i jak wyjaśnić Draganowi, że jego potomek istniał wyłącznie w jej głowie, nie zamierzała jednak wmawiać mu, że niedawno narodzone dziecko Moniki jest jego synkiem.

Owszem, często wyobrażała sobie, co by było, gdyby jej wizja rodziny założonej przez Dragana z miłą warszawianką nie okazała się mrzonką. Wspierała Monikę, gdy w sylwestrową noc dostała nagłych skurczów i potem, gdy spędziła ponad dwa miesiące na patologii ciąży, jednak w dniu, w którym mały Aleksander przyszedł na świat, poczuła... rozczarowanie. Trudno było nie zauważyć, że dziecko jest... mulatem. Ani Monika, ani Anna nie raczyły jej wcześniej wspomnieć, że francuski dyplomata, który go spłodził, ma skórę ciemną jak heban.

Co jej więc zostało? Musiała swoje pragnienie zaopiekowania się kimś przerzucić na... Belfra. Tak dała na imię swojemu psu, bo miał wyjątkowo bystre oczy, a czasem, gdy zbyt długo chodziła zła lub smutna, wyraźnie karciał ją wzrokiem. Spacerzy z pupilem wpływały na nią lepiej niż rozmowy z przyjaciółką, na którą chwilowo była obrażona. Oprócz tego wzmacniały kondycję i przypominały jej dawne, dobre czasy, kiedy to z Edwardem uprawiali nocną porą jogging po ulicach Warszawy.

Ech, pamiętała dobrze te biegi. Truchtali najpierw przez Ogród Saski oświetlony pięknie latarniami, potem puszczali się pędem na plac Teatralny, by poczuć artystyczny klimat,

aż w końcu schodzili nad Wisłę, by nad jej brzegiem złapać oddech, i wracali do domu. Endorfiny krążące w ich żyłach sprawiały, że wcale nie czuli się zmęczeni, wręcz przeciwnie, nabierali ochoty na łózkowe harce. Był tylko jeden moment, w którym ich zapal do sportu na świeżym powietrzu drastycznie zmałał – w kwietniu 1986 roku, kiedy nad Polskę dotarła radioaktywna chmura z nad Czarnobyla. Wtedy na jakiś czas wybrali z Edwardem wyłącznie trening w sypialni.

Teraz jednak Katarzyna nie zamierzała siedzieć w czterech ścianach, a dzięki spacerom z psem do głosu znów doszła jej niespokojna natura. Wpadła na pomysł, że musi się bardziej postarać, znaleźć kogoś, kto jeździ do Bośni, i ubłagać go, by przywiózł jej wieści od syna. A ponieważ ostatnio było głośno w mediach o Tadeuszu Mazowieckim i jego misji^[34] w byłej Jugosławii, to w pracy Kasia, zamiast zajmować się marketingowymi zadaniami niecierpiącymi zwłoki, wertowała gazety, by jak najwięcej się o nim dowiedzieć.

Przeczytała między innymi, że polityk, choć miał przydomek żółwia, był ciągle w ruchu. Zamiast zaszyć się w jakimś hotelu w Chorwacji i zapraszać pokrzywdzonych na rozmowy do siebie, przemierzał w opancerzonym samochodzie niebezpieczne rejony i spotykał się ze świadkami tam, gdzie rozgrywało się ich piekło. Katarzynę cieszyło to, że premier, choć – jak większość Polaków – był katolikiem, potrafił widzieć krzywdy po każdej ze stron barykady, niezależnie od tego, jakiej wiary byli cierpiący^[35]. Przerazała go polityka czystek etnicznych prowadzona przez Serbów, jako jeden z pierwszych apelował, by gwałty na terenie byłej Jugosławii uznać za zbrodnie wojenne, ale mierziło go też nacjonalistyczne nastawienie chorwackiego Kościoła i często nieludzkie traktowanie serbskich jeńców przez Muzułmanów.

Katarzyna, tak jak i Mazowiecki, sądziła, że w czasach okrutnej bratobójczej wojny winni zdarzają się nie tylko po jednej stronie. Czasem jednak łapała się na tym, iż fakt, że w żyłach jej syna płynie krew serbska, nie ułatwia jej obiektywnego spojrzenia na bałkańską gehennę. Jedno było pewne! Chciała jak najszybciej dotrzeć do Tadeusza Mazowieckiego, czuła, że tylko on jeden ją zrozumie i poda jej lek na chroniczną bezsenność. Choć nie miała pojęcia, jak nawiązać z nim kontakt, była pewna, że znajdzie sposób... Bo nie od dziś wiadomo, że kobieta, która kocha, potrafi przenosić góry.

^[33] Nazwy skoków w łyżwiarstwie figurowym.

^[34] Tadeusz Mazowiecki pełnił na terenach byłej Jugosławii misję specjalnego sprawozdawcy ds. praw człowieka, powołanego przez ONZ.

^[35] O misji Tadeusza Mazowieckiego można przeczytać np. w artykule Dawida Warszawskiego pt. *Niewygodny sprawozdawca ONZ. Co Tadeusz Mazowiecki robił w b. Jugosławii*, „Gazeta Wyborcza”, 29 października 2013.

ROZDZIAŁ 14

Hvar

Bez pieniędzy, z muzułmaninem u boku, w dziurawych butach i przetartym płaszczu Jasminie trudno było znaleźć nocleg w chorwackiej miejscowości białych willi, eleganckich hoteli oraz luksusowych jachtów. Przemknęło jej przez myśl, że gdyby żyła w innych czasach i w innym kraju, mogłaby przypominać świętą Maryję, która tułała się z kąta w kąt w poszukiwaniu dogodnego miejsca, by skryć się ze swoim towarzyszem i nienarodzonym jeszcze dzieckiem.

Gdy zbliżali się do wyspy, była pewna, że dociera do kresu tułaczki i że w końcu znajdzie swoją przystań u boku bliskiej osoby, kogoś z rodziny. Tyle miała ciotce do opowiedzenia... O strachu, który zapiera dech w piersi, o miłości, która go przywraca, o stracie, która pali bólem... I o nadziei, którą daje nowe życie. Bo choć Drażenka wcześniej nie była nigdy jej powiernicą, Jasmina bardzo pragnęła zwierzyć się komuś, kto jest jej krewnym. Tak jak większość Bośniaków ogromnie ceniła rodzinne więzi, więc źle znosiła rozłąkę z najbliższymi. Jednak spotkanie z ciotką całkowicie ją rozstroiło. Zakonnica okazała się bardziej obca niż niejeden nieznajomy.

Na szczęście dla Jasminy i Tarika znalazł się ktoś, kto wyciągnął do nich pomocną dłoń. Tą osobą był właściciel karczmy usytuowanej przy drodze wyjazdowej z Hvaru, w której Jasmina i Tarik zatrzymali się na skromny posiłek. Gdy mężczyzna dowiedział się, że dwoje młodych ludzi nie ma gdzie się podziać, zaproponował im nocleg w swoim domku letniskowym.

– Tam nie ma żadnych wygod, a do toalety trzeba chodzić do ogrodu, ale mogę wam oddać tę kwaterę za grosze, bo teraz nie sezon – powiedział. – Tyle tylko, że moja chałupka jest w Starim Gradzie, nie tutaj.

– Każde miejsce będzie dla nas dobre. Obawiam się jednak, że nawet z tymi groszami będzie u nas krucho – wyznał szczerze Tarik. – Chyba że moglibyśmy to jakoś odpracować? Ja na przykład mogę zrobić porządek w ogrodzie albo jeśli ma pan jakieś zwierzęta...

– Zwierząt nie mam, a pomoc potrzebna mi jest raczej tutaj, w kuchni. Ciągłe jest pełno garów do zmywania, więc jeśli to ci odpowiada... A przyszła mama... – mężczyzna uśmiechnął się życzliwie do ciężarnej. – Dla ciebie na razie nic nie mam. W lecie to co innego, mogłabyś stanąć za barem, bo moja córka musi się czasem dwoić i troić, żeby obsłużyć wszystkich gości, ale teraz... – ogarnął wzrokiem pusty lokal.

– Podejmę się każdej pracy! – zakrzyknął Tarik.

Choć nadal był słaby, wiedział, że ta propozycja jest jak prezent urodzinowy. Był gotów ciężko pracować w zamian za schronienie dla siebie i Jasminy. Obawiał się tylko, że mężczyzna poprosi ich zaraz o paszporty, a wtedy...

On jednak nie spytał o papiery, domyślając się chyba, z kim ma do czynienia. Zapisał im na kartce adres domku letniskowego i wskazał drogę do przystanku, z którego odjeżdżał autobus do Starego Gradu. Dał chłopakowi dwa dni na odpoczynek po podróży i wyznaczył godzinę, o której ma się u niego stawić.

Stari Grad, zwany niegdyś Faros, okazał się dużo bardziej kameralny niż główne miasto Hvaru i jeszcze intensywniej pachniał historią. Powstał w tym samym roku, w którym narodził się Arystoteles, a czas miniony zaklęty był w ciszy wąskich uliczek i małych placyków, przy których stały jasne jak śnieg domy i dostojne kościoły. Tę ciszę tylko w lecie mącił gwar turystów, którzy siadali przy stolikach z kieliszkami dalmatyńskiego wina w dłoniach i zajadali się znakomitymi rybami i owocami morza, przynoszonymi przez kelnerów niemal wprost z rybackich kutrów.

Wczasowicze rozparci w fotelach restauracji „Zvezda mora” albo „Kod Barba Luke” wsłuchiwali się w szemranie morza, przerywane niezwykłymi dźwiękami orkiestry dętej, która chętnie dawała koncerty na jednym z uroczych okolicznych placyków. Pohukiwania trąb i puzonów docierały pod kościół Świętego Jana, najcenniejszy zabytek miasta, przemykały wzdłuż ruin rzymskich domostw i wpadały przez szeroko otwarte okna do starej willi poety Petra Hektorovicia, jakby chciały zatańczyć z literami jego wierszy.

Tak było w gorących miesiącach roku, teraz jednak, w zimie, miejscowość, która przypominała drogocenny pierścień na palcu długiej wąskiej zatoki, otulona gajami oliwnymi i plantacjami winorośli, robiła wrażenie uśpionej i nieco zapomnianej. Jasminie i Tarikowi bardzo to odpowiadało. Szukali właśnie takiej przystani, w której będą mogli się wyciszyć i w końcu poczuć bezpiecznie.

Widok z ogrodu otaczającego domek letniskowy, który wynajął im karczmarz, zapierał dech w piersiach. Seledyn morza przeświecał między stuletnimi sosnami, które jak sędziwi strażnicy chroniły do niego dostępu. Nawet zimową porą Adriatyk uwięziony w wąskim przesmyku wcinającym się w ląd zdawał się łagodny i pogodzony ze swoim losem.

Młodzi Bośniacy cieszyli się, że dane im będzie spędzić czas w tak niezwykłym miejscu, jednak gdy weszli do swojej kwatery, która przypominała mocno zdezelowany domek kempingowy prawie tak stary, jak zabytki miasta, zrzędy im miny. Lepiło się tu od brudu, czuć było wilgocia i pleśnią, a nieliczne meble wyglądały, jakby się miały zaraz rozpaść. Najbardziej zmartwił ich jednak fakt, że w pomieszczeniu znajdowało się tylko jedno, do tego wąskie łóżko i panował nieprzyjemny chłód.

Nigdzie nie spostrzegli grzejnika lub innego urządzenia, którym można by ogrzać pomieszczenie. Nie było zresztą prądu, włącznik światła nie działał. Z działki obok dochodziły za to dźwięki chorwackich hitów nadawanych przez radio ustawione na cały regulator.

– No cóż, warunki niewiele lepsze niż w sarajewskich piwnicach – Jasmina próbowała bagatelizować sytuację, ale Tarik wyglądał na załamane.

Był bardzo zmęczony i liczył na to, że będzie mógł zagrzebać się pod kołdrą, a nie

zapowiadało się na to, że w najbliższym czasie do tego dojdzie.

– Muszę czym prędzej zdobyć adres mojej dziewczyny. Długo tu nie wytrzymamy – westchnął.

– Ale jak chcesz to zrobić?

– Może ma go jej przyjaciółka, która mieszka w Paryżu. Skontaktuję się z nią.

– Poczekaj. Zaraz tu posprzątamy, znajdziemy coś, żeby zrobić drugie posłanie i będzie dobrze – dziewczyna starała się go pocieszyć.

Sama też nie była zachwycona lokum, które otrzymali, jednak wiedziała, że jej rodacy w Sarajewie żyją w dużo gorszych warunkach, więc nie śmiała marudzić. Choć brzuch mocno już jej ciążył, od razu rzuciła się w wir pracy. Zaczęła wymiatać z kątów śmieci, otworzyła na oścież okna i wpuściła do środka świeże powietrze. Poczowała zapach morza. Z jednej strony podziałał na nią jak balsam, lecz z drugiej przywiał tęsknotę.

Uczucie to stało się jeszcze bardziej nieznośne, gdy do uszu dziewczyny doleciały zza płotu liryczne dźwięki utworu *Szal z jedwabiu* i niski głos wokalisty zespołu Haustor, tak bardzo podobny do głosu Dragana...

*Byłem w błędzie,
gdy położyłem Ci ręce na ramionach.*

*Długo je tam trzymałem
i wypowiadałem słowa.*

*Byłem w błędzie,
kiedy chciałem usłyszeć,*

po której jesteś stronie.

Gra ma swoje zasady,

Ty wiesz, że nie dasz rady sama.

*Pod tymi flagami,
które łopocą wszędzie wokół nas*

nie istnieje miejsce,

w którym mogłabyś stanąć,

wznieść wysoko ręce

i zaśpiewać naszą piosenkę,

i zaśpiewać naszą piosenkę.

Wbrew swej woli wmieszany

w starą znowę stron,

w starą znowę nadziei,

pewnego dnia

przez przypadek znalazłem drogę

pod tymi flagami,

co łopocą^[36].

Jasmina wsłuchiwała się w te słowa jak zaczarowana. Miała wrażenie, że wokalista stoi

pod jej oknem i śpiewa tylko dla niej. Pod powiekami widziała szczupłą twarz Dragana i jego ciemne jak otchłań oczy. Tęsknota bywała czasem nie do zniesienia.

W takich chwilach nie potrafiła sobie wybaczyć. Gdyby tylko tamtego dnia nie pozwoliła Draganowi odejść, gdyby zatrzymała go przy sobie siłą w mieszkaniu Harisa, gdyby nie była skupiona wyłącznie na własnym cierpieniu... Może teraz siedziałby przy niej na kamiennej plaży, przyłożyłby ucho do jej brzucha, i razem czekali na cud narodzin.

Czasem jedna chwila zmienia całe życie. A wystarczyłoby wyjść minutę później z domu albo w nim zostać, skręcić w inną ulicę albo przynajmniej przejść na drugą stronę, obudzić się na czas, zadzwonić... Wystarczyłoby...

Tarik nie chciał być dla swojej przyjaciółki ciężarem, dodawać jej zmartwień. Wiedział, że Jasmina, opuszczając wraz z nim Mostar, w którym chciała odnaleźć ojca, poświęciła się dla niego. A jednak nie potrafił udawać, że jest na Hvarze szczęśliwy, że szorowanie garów sprawia mu przyjemność, że zapach zgnilizny, którego nie dało się usunąć z drewnianej chatki, jest przyjemną wonią, że nie bolą go kości po nocach spędzanych na podłodze przykrytej tylko starym kocem...

Tęsknił za dawnym życiem, za swoim krzesłem i mikrofonem w mostarskim radiu, za smakiem czarnej jak smoła kawy, którą niespiesznie wypijał po audycji, za słodką bakławą przyrządzaną przez matkę, za śpiewnym głosem muezina, który wzywał wiernych na modlitwę z minaretu wznoszącego się niedaleko jego kamienicy, za chabrowo-zieloną barwą Neretwy, za głupimi dowcipami kolegów z wydziału weterynarii, a nawet za chrapaniem swojego ojca. Był wściekły na polityków, na wrogów, na przyjaciół i na samego siebie, że pozwolił się stłamsić, upodlić i wygnać z własnego domu.

Choć bardzo tego nie chciał, bywał zły też na Jasminę za to, że jak gołębicą oczekująca piskląt próbuje uwić sobie gniazdko na tej chorwackiej wyspie, że uczepiła się jej, jakby była ostatnim skrawkiem lądu na ziemi. Tylko dlatego, że był tu ktoś z jej rodziny. Nie rozumiał, dlaczego dziewczyna żywi wciąż nadzieję, że ciotka ją przygarnie. Jak mogła nie rozumieć, że to tylko mrzonki?!

Miał dosyć tego miejsca, w którym czuł się obco, choć przecież kiedyś także ten Hvar, podobnie jak i jego Mostar, należał do jednego kraju, do wielkiego *bratstva i jedinstva*^[37] sławionego przez marszałka Tito. Podobnie jak miliony innych Jugosłowian uważał, że został oszukany. To, co jeszcze wczoraj miało być wspaniałą, barwną, bo różnorodną wspólnotą, to, co miało ich łączyć pod jednym sztandarem, zamieniło się w pogorzeliśko. Interesy Miloševicia, Tuđmana, Izetbegovicia okazały się ważniejsze niż dobro narodu. A Europa? A Ameryka? Wszyscy patrzyli na Bałkany obojętnie, odwracali oczy, by nie widzieć, że krew płynie już nie strumykiem, a całą rzeką. Czy jako świadkowie nie ponosili części winy?

Tarik miał wrażenie, że przemienił się w karalucha. Musiał zejść do podziemia, chować się przed światem na zapleczu karczmy, przemykać ulicami ze spuszczoną głową, by nikt mu nie wytknął, że zabiera pracę tym, którym ona bardziej się należy. Że wdycha nie swoje powietrze.

Pragnął znaleźć dla siebie miejsce mniej obce, bo mniej własne, w którym nie będą oceniać go po ciemnych obwódkach oczu i modlitwie, którą szepcze pod nosem. Marzył o tym, by dołączyć do Hasiby, by pojechać do tego kraju w środkowej Europie, z którego pochodził Lech Wałęsa, człowiek, dla którego słowo „solidarność” miało głęboki sens.

Patrzył na morze i przypominały mu się oczy jego dziewczyny. One też potrafiły zmieniać barwę jak woda. Gdy się uśmiechała, były niemal chabrowe, jakby przeświecało przez nie słońce, a gdy się złościła, przybierały odcień ciemnej fali, stając się prawie szare. Tak dawno ich nie widział, a tak bardzo chciał w nie zajrzeć i zadać pytanie, czy ich właścicielka pamięta obietnicę, którą złożyli sobie, zanim wyjechała do Polski?

Stali wtedy na brzegu Neretwy, tak mocno splótłszy dłonie, jakby byli nie dwiema, a jedną istotą.

– Nigdy cię nie opuszczę – szepnął jej do ucha.

– Ani ja ciebie, nawet jak będę daleko – odpowiedziała.

– Wiem. Tylko dlatego pozwalam ci jechać – zaśmiał się. – Nawet gdyby świat miał się skończyć i tak cię odnajdę – przyrzekł.

– A ja i tak będę na ciebie czekać – uśmiechnęła się.

Tarik miał do spełnienia obietnicę, chciał więc jak najszybciej ruszyć w drogę. Kilka dni temu wysłał list do Sary, przyjaciółki Hasiby, która od jakiegoś czasu mieszkała w Paryżu.

Sara zaraz na początku wojny opuściła Mostar. Jako tancerka przemawiała do ludzi uniwersalnym językiem, a jako Żydówka była obywatelką świata, więc nie miała problemu z adaptacją w nowym miejscu. Dzięki pomocy diaspory żydowskiej szybko otrzymała posadę w szkole baletowej i małe mieszkanko na mansardzie na Montmartre, w najbardziej artystycznej dzielnicy świata. Choć póki co występy na scenie pozostawały tylko w sferze jej marzeń i tak mogła mówić o wielkim szczęściu, bo wielu Bośniaków tułało się po świecie bez znajomości języka, bez grosza przy duszy, z poczuciem, że nikt ich nie rozumie i nie chce się o nich zatroszczyć^[38]. Kultura, z którą się stykali poza granicami swojej ojczyzny, wydawała im się całkiem obca, w domach nie pozwalano im palić papierosów, głośno dyskutować, nie zdejmowano butów przed wejściem. Wielu z nich ogarniała tak wielka nostalgia za swoim krajem, że gotowi byli wrócić do miast, w których codziennie przelewano krew na ulicach. Znane okrucieństwo było bardziej oswojone niż obca obojętność.

Tarik nie znał jednak tych ludzi i ich historii. Wiedział tylko, że Sarze dobrze ułożyło się w życiu i miał nadzieję, że nie zapomniała o dawnych znajomych. Codziennie z utęsknieniem wypatrywał listonosza, który niczym gołąb pokoju przyniesie mu list z adresem jego dziewczyny. Chciał się stąd wyrwać jak najprędzej. Musiał tylko przekonać do podróży Jasminę, a spodziewał się, że to nie będzie łatwe, bo jak każda ciężarna kobieta pragnęła teraz spokoju i stabilizacji. Zapomniała, że zmiany przynoszą ożywczy powiew. Tarik dawał sobie jeszcze trochę czasu, by jej o tym przypomnieć. A jeśli się nie uda, cóż, będzie musiał sam ruszyć w drogę. Uważał, że trzeba dbać o szczęście innych, ale własne cenił najwyżej. Wojna nauczyła go egoizmu.

[36] *Ja sam bio pogrešan / Kad sam ti stavio ruku na rame / Tamo je držao dugo / I govorio riječi / Ja sam bio pogrešan / Kad sam tražio da mi kažeš / Koja si strana / Postoje pravila igre / Ti znaš da ne možeš sama / Ispod svih tih zastava / Što vijore svud oko nas / Ne postoji mjesto / Gdje mogla bi stati / Visoko dignuti ruke / I pjevati našu pjesmu / I pjevati našu pjesmu / Protiv volje umiješan / U staru zavjeru strana / U staru zavjeru nada / Ja sam jednoga dana / Slučajno našao put / Ispod svih tih zastava / Što vijore.* Słowa piosenki *Šal od svile* zagrzebskiej grupy Haustor z płyty *Bolero* wydanej przez Jugoton w 1985 roku, tłum. A. Walczak-Chojecka.

[37] Po serbsku „braterstwo i jedność”.

[38] Pisze o tym między innymi Barbara Demick w swoim reportażu pt. *W oblężeniu. Życie pod ostrzałem na sarajewskiej ulicy.*

ROZDZIAŁ 15

Hvar, początek kwietnia 1994

– A cóż to za miły chłopiec z tobą przyszedł, Jasmino? – Draženka uśmiechnęła się szeroko.

Była dziś w zupełnie innym nastroju niż podczas pierwszego spotkania z krewną w przyklasztornym ogrodzie. Na ławeczce pod wysoką palmą wyglądała niby tak samo, jak poprzednio, a jednak inaczej. Jej twarz oświetlona promieniami wiosennego słońca wydawała się bardziej gładka i łagodna, a plecy mniej zgarbione. Siostra przełożona zapewniła zresztą Jasmine, że zakonnica czuje się dużo lepiej, a jej dziwne zachowania odeszły w niepamięć.

– To mój przyjaciel Tarik, o którym ci ostatnio wspominałam. W Mostarze mieszkałam w domu jego rodziców, a potem udało nam się razem wyjechać z Bośni. Bo tam jest wojna... Pamiętasz, ciociu? – Jasmina spojrzała na nią niepewnie.

– No, co ty? Masz mnie za durną? Oczywiście, że wiem, co się u was dzieje. Telewizji wprawdzie nie oglądam, w naszym klasztorze są głównie książki, ale słucham czasem radia, gdy wyrabiam koronkę – oburzyła się. – Choć muszę ci się przyznać, że najbardziej lubię sobie puścić kasetę.

– Tak, a jaką? – zainteresował się Tarik.

– Ech, to takie stare nawyki... Może powinnam je zmienić, bo przecież on jest... Serbem – ściszyła głos – ale urodził się w Sarajewie... I tak pięknie śpiewa! – wyraźnie się ożywiła.

– Niech zgadnę, słucha siostra Zdravka Čolicia! – wtrącił Tarik. – Moja mama też go uwielbia. A ja puszczałem go czasem w radiu dla starszych słuchaczy.

– To ty jesteś radiowcem? – ucieszyła się Draženka. – Ach, jaka to musi być przyjemna praca. Mówisz, a ludzie cię słuchają... A wiesz, którą piosenkę najbardziej lubię? – I, nie czekając na odpowiedź, zaczęła nucić mocnym, jasnym głosem, którego się po niej nie spodziewali:

*Nie musisz mi zdradzać
swojej przeszłości, swojego imienia,
jeśli będzie Ci tak łatwiej.
Przytul mnie, przytul mnie...
Wezmę Cię w ramiona,
by chronić w środku zimy,*

ogrzeje Cię moje ciało.

Przytul mnie, przytul mnie...[\[39\]](#)

– Nic dziwnego, to jeden z największych hitów – powiedział Tarik, kiedy umilkła. – Ale ja wolę *Jesteś w mojej krwi*.

– Oj, tę też uwielbiam! Jest taka romantyczna, że aż krew zaczyna szybciej krążyć – Draženka objęła się ramionami i zakołysała, jakby usłyszała w głowie rzewną melodię.

Po tej krótkiej wymianie zdań stało się jasne, że Tarik i zakonnica znaleźli wspólny język. Przez kolejne dziesięć minut wymieniali się fragmentami piosenek ulubionych wokalistów, jakby brali udział w jakimś quizie. Chłopak zaczynał recytować tekst, a ciotka Draženka wyśpiewywała kolejne wersy. Potem ona rzucała jakiś tytuł, a on swoim nieco zachrypniętym głosem deklamował piosenkę. Wolał nie robić zakownicy konkurencji wokalnej, bo nigdy nie umiał dobrze śpiewać, mimo że kochał muzykę i zajmował się nią na co dzień w radiu.

Jasmina przyglądała się tej parze z uśmiechem. Miała ochotę pośpiewać razem z ciotką, lecz nie znała zbyt dobrze tekstów z repertuaru, w którym lubowała się zakonnica. Piosenki Josipy Lisac, Đorđe Balaševića, zespołów Novi Fosili czy Stijene – gwiazd lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych znanych w całej Jugosławii – rozbrzmiewały nieraz także w jej domu, ale ona wolała inną muzykę. Oprócz rodzimych sevdalinek lubiła piosenki z *Opery za trzy grosze* Bertolta Brechta, poruszające utwory Jacques’a Brela (na czele z *Nie opuszczaj mnie*) czy te wyśpiewywane przez Edith Piaf. Była nieco staromodna, ale w inny niż ciotka sposób, bardziej teatralny, co ze względu na jej wykształcenie łatwo można było zrozumieć.

Teraz jednak gotowa była zgodzić się z gustem muzycznym ciotki, bo pragnęła zaskarbić sobie jej przychylność. Wciąż liczyła na jej pomoc. Miała nadzieję, że krewna wstawi się za nią do sióstr zakonnych i te pomogą się jej urządzić na Hvarze. Nie wyobrażała sobie, by miała długo mieszkać w zatęchłym, zagrzybionym domku. Gdyby była sama, to co innego, lecz to nie jest odpowiednie miejsce dla dziecka. A brzuch ukrywany pod luźną sukienką był już naprawę duży, aż dziw, że Draženka jeszcze go nie zauważyła. A może po prostu nie chciała widzieć...

– Ciociu, muszę ci o czymś powiedzieć – przerwała zakownicy i przyjacielowi miłą zabawę. – Mieszkamy z Tarikiem w kiepskich warunkach, a ja niedługo...

– ... zostaniesz matką, przecież widzę. Ten chłopiec dobrze o ciebie zadba, tylko musisz się go trzymać – uśmiechnęła się do Tarika.

– To ty wiesz...? – Jasminie mocniej zabiło serce.

– Przecież mówiłam ci, że ja wszystko widzę. Pamiętaj tylko, żeby dać dziecku właściwe imię, nie takie jak twoje – Draženka stała się nagle poważna, a na jej twarzy pojawił się grymas, którego Jasmina nie lubiła.

– Ale o co właściwie chodzi? Wiem, że moje imię nie jest zbyt chor...

– Ono zostało zbrudzone, zdeptane przez... – („O, Boże! Skąd ciotka wie o Katiciu?” – zamarła Jasmina) – ... twoją prababcią. Wszyscy myślicie, że ona robiła wielkie rzeczy, że była bohaterką, a nikt się nie zastanawia, dlaczego tamtej pamiętnej nocy to właśnie Jasmina pierwsza odkryła ogień. Czy drzewo na pewno zajęło się od pioruna...?

– O czym ty mówisz, ciociu?

– Bo widzisz, ja wiem, jak było naprawdę i jeśli chcesz, to ci powiem. Dziewczyna miała pilnować rodzeństwa, ale chciała skorzystać z okazji. Rodzice wyjechali, więc postanowiła się zabawić, jak to młoda. Zwłaszcza że żony jej kochasia też miało nie być w domu...

– Żony? – Jasmina nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Tak. On był dużo od niej starszy, w dodatku uczył w jej szkole. Pan profesor! Taki mądry, dojrzały! Jasmina całkiem straciła dla niego głowę. A on, cóż? Lubił ładne dziewczynki. Nawkladał jej do głowy, że jest dla niego ważna, że się dla niej rozwiedzie... Mężczyźni chętnie opowiadają takie dyrdymały. – („Ciekawe, skąd ciocia to wszystko wie?” – Jasmina uśmiechnęła się w duchu) – Więc tamtej nocy twoja prababcia zakradła się pod jego dom... Mieszkał blisko. Ale gdy zajrzała przez okno sypialni, to jakby w nią piorun strzelił. Jej ukochany zabawiał się ze swoją panią. Z własną żoną! Wyobrażasz to sobie? – zakpiła. – Nie będę opisywać ci szczegółów, bo pobożnej osobie to nie przystoi, ale powiem ci tylko tyle, że kobieta była na górze i używała na mężu jak na koniu – ciotka wzniosła oczy do nieba.

– No to ładnie – zaśmiał się Tarik. – I to w tamtych czasach!

– Dziewczynę krew zalała. Zapewne nie na taką rozrywkę liczyła tej nocy, więc... postanowiła się zemścić. Urażona kobieta jest groźniejsza od diabła – zakonnica zaśmiała się szyderczo. – No, a potem... zaczęło się palić. Ogień buchnął ze straszną siłą i bardzo szybko się rozprzestrzenił... – ciotka Drażenka zawiesiła dramatycznie głos. – Płomienie były wszędzie, diabelskie płomienie zdrady i zemsty! – zamachała rękami. W jej oczach znów pojawił się błysk szaleństwa.

– Przecież to, że w miasteczku wybuchł pożar, nie znaczy jeszcze, że moja prababcia... – Jasmina pokręciła głową.

– Już ja tam swoje wiem – upierała się ciotka. – Kobieta, która kocha, potrafi znienawidzić w jednej chwili. W jednej chwili... Uwierz mi, wiem, co mówię – zapatrzyła się w dal. – Byłam kiedyś w miejscowości, z której pochodziła twoja prababcia, i miałam okazję zajrzeć do ksiąg kościelnych, a z nich można się naprawdę wiele dowiedzieć...

– No dobrze, nawet jeśli tak było, jak mówisz, ciociu, to jaki to ma związek ze mną i z moim imieniem? – nadal nie rozumiała.

– Ech, dziewczyno, rusz trochę głową – Drażenka przybrała swój dawny mentorski ton. – Z imieniem jest jak z kapeluszem, musi świetnie pasować. Inaczej tylko psuje wizerunek.

– To znaczy? – Tarika także wciągnęła ta rozmowa. Ciotka Drażenka była charakterna, a on lubił obcować z takimi osobami.

– Oj, dzieciaki! – załamała ręce. – Chyba wiecie, co w języku arabskim oznacza „jaśmin”? To przecież „dar od Boga”. A jakim darem była prababka Jasminy? Żadnym. A więc po pierwsze dostałaś imię po niewłaściwej osobie, złodziejce cudzych mężów, w dodatku zawistnej i mściwej – zwróciła się do dziewczyny. – Po drugie, twoim ojcem jest inny Bóg, katolicki, nie muzułmański. Czyli to imię nie może do ciebie pasować. A jeśli nie pasuje, to cię nie chroni, nie ma dobrej mocy – spojrzała surowo na dziewczynę, jakby posiadanie takiego, a nie innego imienia było jej winą.

„Hola, hola! Coś tu nie gra” – pomyślał Tarik. „Czy przypadkiem siostra Drażenka nie

miesza wiary katolickiej z pogańskimi wierzeniami w metafizyczne siły?”

Patrzył na leciwą kobietę odzianą w zakonny habit, a oczami wyobraźni widział ją wróżącą z fusów od kawy, jak to często czyniły *babe gatare*^[40] w Bośni. Nie zadał jednak swojego pytania głośno. Zakonnica miała dziwny dar sprawiający, że człowiek przyjmował za prawdziwe wszystko, co mówiła. Należała do tych pewnych siebie osób, którym trudno jest się przeciwstawić.

– Jednak trochę cię pocieszę – dodała. – Mówią, że dziewczyna o imieniu Jasmina jest wrażliwa i jednocześnie silna. To kobieta, która potrafi walczyć o swoje i nie pozwala nikomu niczego sobie narzucać. I ja widzę w tobie te cechy. Więc może niepotrzebnie się czepiam... – powiedziała z niecodzienną dla siebie łagodnością.

Jasmina spojrzała na nią zaskoczona. Ostatnio ciotka była naprawdę mocno rozchwiana... Dziewczyna, zachęcona jej życzliwością, uznała, że nadszedł właściwy moment, by poprosić ją o pomoc.

– Ciociu, właściwe imię jest na pewno ważne, ale ja potrzebuję teraz czegoś innego. Niedługo urodzi się moje dziecko, a tam, gdzie mieszkamy...

– Tak, tak, to nie jest dobre miejsce, ma złą energię. Też to czuję – ciotka weszła jej w słowo. – Dlatego powinniście stąd wyjechać. Lepiej, żeby dziecko urodziło się na stałym lądzie, nie na wyspie. To będzie bardziej... stabilne – Draženka pomarszczoną ręką poklepała Jasminę po dłoni.

– Uważam tak samo – Tarik z ochotą podchwycił tę myśl. – Powinniśmy czym prędzej pożegnać Hvar i ruszyć w drogę.

Jasmina poczerwieniała z oburzenia. Była przekonana, że przyjaciel stanie po jej stronie. Wiedział przecież, z jaką misją przyszli do ciotki, a on... Szkoda, że oboje nie kazali jej wracać na Aleję Snajperów. Draženka mogła mieć przecież i taką wizję!

– Ale, ciociu, liczyłam na twoją pomoc – spróbowała raz jeszcze.

– No chyba nie myślałaś, że was przygarnę do klasztoru? Przecież to miejsce świętobliwe, a wy nie macie ślubu. Za chwilę przyjdzie na świat dziecko... – w głosie ciotki słychać było wzburzenie.

– Tarik nie jest ojcem dziecka. Jego tata...

Gwałtowny ruch rąk zakonnicy sprawił, że Jasmina przerwała w połowie zdania. Kobieta położyła dłonie na jej brzuchu.

– Tak też myślałam, ale nie byłam pewna. Tym bardziej musisz jechać. Dziecko powinno mieć ojca.

– Ale on... – Jasminie zaszklily się oczy.

– Hm... Spróbuj go odnaleźć – jej wzrok był tak przenikliwy, że dziewczynę przeszedł dreszcz. – Ta podróż jest ci pisana, jestem tego pewna. Czasami rzeczy nie są takimi, jak nam się zdaje.

– Myślisz, ciociu, że Dragan...? – w głosie Jasminy zabrzmiała nadzieja.

Czy to możliwe, żeby jej chłopak...? Właściwie czuła to od dawna. Bała się jednak marzyć, ale teraz... Nagle klasztorny ogród zaczął pulsować zielenią. Palmy w jednej chwili zdały jej się bardziej strzeliste, a delikatne pączki na krzewach róż rozkwitały wręcz w oczach. Powietrze zapachniało wiosną, a promienie kwietniowego słońca wyłocily żdźbła trawy, jakby usiadły na nich tysiące maleńkich świetlików.

– Dragan, nie Dragan, nie wiem, jak on tam się nazywa – wzruszyła ramionami ciotka.
– Nie jestem jasnowidzem, czuję tylko pewne wibracje.

– A może coś jeszcze siostra czuje? Na przykład, dokąd powinniśmy jechać? Czy przypadkiem nie na północ? – Tarik wyczuł swoją szansę. Wiedział, że druga może się już nie nadarzyć.

– O tym już sami musicie zdecydować. Byle szybko! – zakonnica wzięła w swe ręce dłoń Tarika i zamknęła oczy. Przez chwilę siedziała bez ruchu. – Wydaje mi się, że powinniście szukać konia – powiedziała w końcu stanowczym tonem.

– Mamy podróżować furmanką? – parsknął chłopak.
– Też coś! – zaśmiała się Draženka. – Macie szukać konia tam, dokąd pojedziecie, jednak dlaczego, tego nie wiem. Słyszę tylko dziwny tętent w głowie.

– Ciociu, a powiedz mi jeszcze, czy Dragan...?
– Nic więcej ci nie powiem. Lepiej zajrzyj w głąb siebie i tam szukaj wskazówek – Draženka wstała, oparła się na lasce i niczym czarna ptak ruszyła w stronę ogrodowej furtki.

W postawie tej kobiety było coś dumnego, jakaś niezwykła stanowczość, która sprawiła, że Jasmina jej uwierzyła. Zrozumiała, że przyjazd na Hvar nie był zwykłym kaprysem. Miał głębszy sens, dał jej drogowskaz. Znów trzeba było ruszać w podróż, a to, szczególnie w jej stanie, nie było łatwe. Jednak nadchodziła słoneczna wiosna, a wraz z nią czas nadziei.

[39] *Ne trebaš mi ništa reći / svoju prošlost, svoje ime / ako će ti biti lakše / zagrlj me, zagrlj me... / Uzeću te u naručje / da te čuvam usred zime / grijaće te moje tijelo / zagrlj me, zagrlj me...* Fragment hitu Zdravka Čolicia pt. *Przytul mnie*, tłum. A. Walczak-Chojecka.

[40] Kobiety wierzące w czarną magię, zajmujące się wróżeniem.

ROZDZIAŁ 16

Warszawa, kwiecień 1994

Warszawa budziła się wiosennie do życia. Zazieleniły się trawniki, na drzewach rozkwitły pąki, w miejskich parkach rozśpiewały się ptaki. Strojne wielkanocne koszyczki wypełnione wszelkim dobrem przypominały Polakom, że po każdych trudnych czasach przychodzi odrodzenie.

W polityce też pachniało przebudzeniem. Na początku kwietnia rząd wystąpił z wnioskiem o przyjęcie Polski do Unii Europejskiej, co zapowiadało wielkie zmiany. Europejskość przypieczętował także fakt, że Polska po raz pierwszy brała udział w konkursie Eurowizji, na którym już niebawem Edyta Górniak miała pokazać swój wokalny kunszt w porywającej piosence *To nie ja*. Polacy liczyli na to, że zostanie czarnym koniem zmagania i udowodni, że już dawno, przynajmniej muzycznie, ich kraj należy do rozwiniętej Europy.

Katarzynę jednak zajmowały inne sprawy. Poprzedniego wieczoru długo czekała na Edwarda w łóżku. Miała plan, by rozpalić w nim dawną namiętność. Przygasiła światło, do odtwarzacza CD włożyła płytę Kobranocki i pozwoliła sączyć się swojej ulubionej piosence.

*Gdzieś na ulicy Fabrycznej
spotkać nam się wypadnie,
lecz takie są widać wytyczne,
by kochać Cię jak Irlandię.*

*A Ty się temu nie dziwisz,
wiesz dobrze, co byłoby dalej,
jak byśmy byli szczęśliwi,
gdybym nie kochał Cię wcale^[41].*

Śpiewał Kobra^[42] zagłuszany przez dźwięki telewizora dochodzące z dużego pokoju.

Kiedyś Kasia i Edward mieli niepisaną umowę, że w soboty spotykają się zawsze w łóżku najpóźniej o dwudziestej drugiej, jednak od dawna umowa wygasła. On albo siedział o tej porze jeszcze w pracy, albo wpatrywał się w ekran komputera Commodore Amiga, swojego najnowszego cudu techniki. Zdarzało się też, tak jak teraz, że rozsiadał się z puszką piwa przed telewizorem, co szybko kończyło się niekontrolowaną drzemką.

W ostatnim czasie do tych zajęć doszło jeszcze jedno – bieganie z psem lub, jak kto woli, za psem. Edward potrafił zniknąć na cały wieczór i dopiero po kilku godzinach wrócić zmachany z błyskiem zadowolenia w oku. Tłumaczył wtedy, że w jego wieku należy dbać o kondycję i że Katarzyna powinna się cieszyć, iż jej mąż ma tego świadomość. Może i by się cieszyła, gdyby tylko w swoim napiętym planie dnia uwzględnił choćby kilka minut dla niej. A tak... Coraz bardziej żyli obok, jak dwie planety, które rzucają na siebie światło, jednak dzieli je kosmiczna przestrzeń.

Dzisiaj chciała o tym zapomnieć, a może bardziej przypomnieć sobie, jak to jest, kochać się z własnym mężem, bo powoli zacierał jej się w pamięci obraz jego dłoni, pieprzyków na plecach, blizny po wycięciu ślepej kieszki. Zapominała, jak smakują jego usta, jak pachnie skóra...

Nalała czerwonego wina do dwóch smukłych kieliszków i poprawiła poduszki. Zerknęła w lustro zawieszone nad toaletką. Uśmiechała się do niej dojrzała kobieta w czarnej koronkowej halce i pończochach przytrzymywanych fikuśnymi podwiązkami, która na siłę starała się zachować młodość. „Czas nie ma dla mnie za grosz litości” – westchnęła. Już nie tylko skóra na przedramionach traciła sprężystość, lecz i piersi, które dotąd były jej dumą, zaczynały odczuwać ziemskie przyciąganie.

Kasia miała jednak zasadę, by nie mówić o tym głośno. Wierzyła, że jeśli mężczyźni nie zwróci się uwagi, iż czas źle się obchodzi z kobietą, to sam tego nie zauważy. Edward był szczególnie mało spostrzegawczy. Teraz też najwyraźniej nie dostrzegł, że godzina ich stałej randki dawno minęła. Mogłaby oczywiście wstać i pójść po niego, nie miała daleko, ale przecież nie o to chodziło. Nie zamierzała się narzucać, upokarzać. Chciała, by jej pragnął, by było jak kiedyś. Dzikie okrzyki dochodzące zza ściany świadczyły jednak o tym, że przegrała... z westernem. Czy libido jej męża już na dobre wyprowadziło się z domu?!

„A może z kimś się spotyka? Na przykład z tą sportsmenką, z którą tak się zbliżył na olimpiadzie?” – przeleciało jej przez myśl. Wyobraziła sobie Edwarda w uścisku z młodą łyżwiarką. Przybliżali się do siebie i oddalali, przybliżali i oddalali, rysując na lodowej tafli ósemki. W końcu on złapał partnerkę za nadgarstek i jednym sprawnym pchnięciem sprawił, że wygięła się jak struna. Przyjął klasyczną pozycję cyrkla i zakręcił partnerką niczym wskazówką zegara. Imponująca spirala śmierci! Jednak widok męża w obcisłym kostiumie i figurówkach tylko ją rozbawił. „E, tam” – zganiła sama siebie. „Zwyczajnie jest zmęczony, ma prawo”.

Pech chciał, że w domu Kasi zawsze działo się coś złego, gdy mąż wyjeżdżał. A to dziecko zachorowało (gdy było jeszcze małe i z nimi mieszkało), a to sąsiadka z góry ich zalała, bo pękła jej rura od kanalizacji, a to nastąpił atak karaluchów, które upodobały sobie bloki Za Żelazną Bramą.

Tym razem, gdy Edward udał się do Bydgoszczy na wywiad z niejakim Tomaszem Gollobem, świetnie zapowiadającym się młodym żuźlowcem, rozchorował się Belfer. Wyglądało na to, że psa dopadła niestrawność, Katarzyna obawiała się, że spałaszował coś

nieświeżego na dworze lub, nie daj Boże, poczęstował się trutką na karaluchy. Leżał biedaczek zwinięty w kłębek w kącie pokoju i co pewien czas cichutko pojękiwał. Jego nos był suchy i ciepły, co mocno ją zaniepokoiło. Choć zupełnie nie miała na to czasu, bo w pracy znów szykowała dużą konferencję, sprawdziła w książce telefonicznej, gdzie mieści się najbliższa przychodnia weterynaryjna i zapakowała pupila do samochodu.

– O, Belfer! A co ty tu dzisiaj robisz? – powitała ich starsza kobieta w rejestracji.

– To pani zna mojego psa? – zdziwiła się Kasia.

– Oczywiście, jest przecież u nas częstym gościem – odparła kobieta. – Ale dzisiaj doktor Magdaleny nie ma. Wyjechała do Bydgoszczy, na żuźla.

Być może już po tych słowach Katarzynie powinna zapalić się w głowie czerwona lampka, bo właśnie do tej miejscowości udał się także jej mąż, jednak zaaferowana złym samopoczuciem Belfra puściła mimo uszu otrzymaną informację.

– To może przyjmie nas jakaś inna pani doktor? – spytała zniecierpliwiona. – Widać chyba, że mój pies źle się czuje.

– Oczywiście, wyjmę tylko jego kartę. Edward Waleczny właściciel... Pies Belfer... – smukłymi palcami przewracała fiszki w plastikowym pojemniku. – O, mam! Gabinet numer dwa.

„Hm, Edward musiał tutaj trafić, gdy potrącił Belfra” – analizowała sytuację Katarzyna. „Ale dlaczego ta kobieta twierdzi, że bywali tu często...?”

– Cześć, Belferku! – brodaty weterynarz odziany w fartuch z infantylnym nadrukiem w kotki przywitał ich wesoło, gdy tylko znaleźli się w gabinecie. („On też go zna?” – Katarzyna była już całkiem zbita z tropu). – Co ci dolega, biedaku? Twoi państwo wyjechali, a ty już coś zmalowałaś?

Pogłaskał zwierzaka po głowie i szybkim ruchem umieścił go na metalowym blacie. Mieszaniec spojrział na weterynarza ufnym wzrokiem pełnym nadziei na otrzymanie pomocy. Jego ogon zrobił nawet ruch, jakby chciał zamachać, ale zaraz opadł.

– Państwo...? – Katarzyna spojrzała na chłopaka spod oka.

– No, tak! A pani z rodziny? Może starsza siostra Magdy, którą moja koleżanka tak skrzątnie przed nami ukrywa? – próbował zgadywać.

– Jakiej Magdy? – poczuła się nieswojo.

– Magdy... To przecież jej gabinet. O, tu jest jej zdjęcie – wskazał ręką na fotografię w ramce stojącą na biurku.

Katarzyna niechętnie rzuciła okiem w tym kierunku, zniecierpliwiona, że zamiast zając się psem, lekarz prowadzi z nią bezsensowną rozmowę, gdy nagle zamarła. Ze zdjęcia uśmiechała się do niej sympatyczna młoda szatynka, ani ładna, ani brzydka, niepodobna do nikogo, ubrana w taki sam głupi fartuszek, jaki miał na sobie brodaty lekarz. Jedną rękę trzymała na głowie psa – i tu już zrobiło się ciekawie, bo zwierzę było doskonale Katarzynie znane – a drugą obejmowała w pasie mężczyznę, który wyglądał kropka w kropkę jak...

– Co to ma znaczyć? – Katarzyna przybliżyła nos do fotografii. – Przecież to jest... – wydukała.

– Edward, partner Magdy. Pewnie go pani zna – chłopak uśmiechnął się przyjaźnie.

– Gdzieś go już widziałam...

Zakręciło jej się w głowie. Kotki na fartuchu mężczyzny zaczęły tracić ostre kontury. Opadła na metalowy taboret stojący koło biurka.

– Wszystko dobrze? Może wody? – zaniepokoił się chłopak, bo wyraźnie zbladła.

– Tak, tak, poproszę. Muszę chwilę odpocząć – szepnęła.

Nie chciała robić scen przed obcym mężczyzną, jednak nie potrafiła zachować kamiennej twarzy.

– Proszę uratować mojego psa, dobrze? – rzekła, gdy po chwili doktor przyniósł jej plastikowy kubek z wodą. – To jedyny facet, na którym jeszcze mi zależy. Oczywiście oprócz syna.

Młody weterynarz wolał o nic już nie pytać, wyczuł, że to jakaś grubsza sprawa. Na zwierzętach znał się dużo lepiej niż na kobietach i ich pokręconych emocjach, więc zajął się swoim pacjentem. Zaaplikował mu środki wymiotne, tak skuteczne, że przez kolejne dwa dni Katarzyna nie mogła się pozbierać. Cały czas biegła za Belfrem ze szmatą. Niestety, nie miała go jak nakłonić, by zechciał używać miski lub zawieszać się nad sedesem. Co więcej, gdy myślała o zdradzie, jakiej dopuścił się jej mąż, jej samej też zbierało się na wymioty.

A więc Edward prowadził podwójne życie... Teraz przynajmniej wiedziała, dokąd go wieczorami nosiło. Faktycznie, dbał o kondycję! Ale żeby z kobietą od zwierząt? Katarzyna nie rozumiała, jak to możliwe, że nie wyczuła woni zwierzęcych odchodów na ubraniach męża, jak mogła niczego nie zauważyć? Zrobił jej coś takiego... I to teraz, gdy umierała z obawy o syna i potrzebowała jego empatii. A on? Wolał się gzić jak jakiś napalony kocur!

Zastanawiała się, co by było, gdyby jej mąż tamtego dnia nie siedział tak długo w pracy albo gdyby jechał inną drogą i nie potracił Belfra... Może nigdy nie poznałby tej pindzi w kiczowatym fartuszk...? Głupie myśli. Tylko że nie potrafiła się od nich opędzić. Wszystko ją drażniło, nawet brzęczenie muchy sprawiało, że działo się z nią coś niedobrego. Powolutku, stopniowo, w każdej jej komórce wzbierała agresja, najpierw delikatnie buzowała jak woda, zanim zaczęła się gotować, aż w końcu obejmowała całe ciało.

Fazy gniewu przeplatały się z okresami odrętwienia. W czasie tych pierwszych zamasyście siekała cebulę bardzo ostrym nożem i tworzyła w głowie scenariusze zemsty. Podczas drugich przesiadywała z Belfrem na kanapie, mechanicznie głaszcząc go po włochatym łbie, i małymi łykami popijała melisę na zmianę z ajerkoniakiem. I ona, i jej pupil mieli w takich chwilach miny zbitego psa i wyglądali, jakby brali udział w konkursie na to, czyja jest bardziej smętna.

Trzeciego dnia z odrętwienia wyrwał ją telefon. Przestraszyła się, że to Edward. Nie czuła się jeszcze gotowa na rozmowę. Nie potrafiła mu wybaczyć, jednak myśl, że może wybrać tamtą, sprawiła, że znów zrobiło jej się niedobrze.

– Cześć, Kasiu, mówi Karol.

Odetchnęła z ulgą, gdy w słuchawce zabrzmiał głos znajomego z agencji PR, która załatwiała różne sprawy dla jej banku.

– Witaj – starała się, by ton głosu nie zdradzał, że ostatnie dni spędziła na tępym wpatrywaniu się w ścianę.

– Mam dla ciebie dobre wieści. Udało mi się dotrzeć do kogoś z ekipy Mazowieckiego. Obiecał, że pomoże. Niedługo znowu jadą do Bośni. Postara się dowiedzieć, co tam u twojego syna.

– Jesteś aniołem. Ratusz mi życie! – od razu nabrała wigoru.

Uniosła seledynowy aparat telefoniczny i podeszła do otwartego okna. Świeże wiosenne powietrze owionęło jej twarz pokrytą niewielkimi zmarszczkami.

– Nie przesadzaj. Zwykła przysługa dla ulubionej klientki – rzucił od niechcienia.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo potrzebuję teraz dobrych wieści. Mam nadzieję, że kiedyś uda mi się ci odwdziżyć – westchnęła.

– Po prostu pamiętaj o nas przy najbliższym przetargu – ton jego głosu zmienił się nagle na bardziej profesjonalny.

„Jasne, nic za darmo” – skonstatowała w myślach, a na głos dodała: – Będę pamiętać!

– Zadzwoń, jak tylko się czegoś dowiem – zapewnił.

Odłożyła słuchawkę z nadzieją, że stanie się to szybko. Tylko dobre wieści z Sarajewa mogły postawić ją na nogi. Marzyła o tym, by dostać jakiś znak, choćby maleńki, że Dragan żyje i ma się dobrze. Tak bardzo tego pragnęła. Zwłaszcza teraz...

Nagle wpadła na pewien pomysł.

– Halo, mam. Czy mogłabym do ciebie przyjechać? – wypaliła prosto z mostu, gdy w słuchawce usłyszała tym razem głos Aldony.

– Coś się stało... – matka bardziej stwierdziła, niż spytała. Zawsze miała świetną intuicję.

– Nie, po prostu... Chciałabym odpocząć – odparła niepewnym głosem.

– Czyli opowiesz mi, jak się zobaczymy. Niech i tak będzie – rzekła ciepło Aldona. – Zresztą ściągnęłam cię chyba myślami. Właśnie miałam do ciebie dzwonić, bo jest tu ktoś, kto bardzo chciałby cię zobaczyć.

– Masz gościa? – zmartwiła się Katarzyna. Żywiła nadzieję, że będą z matką same. Chwilowo nie miała ochoty oglądać nikogo poza nią.

– Tak, to ktoś specjalny. Z pewnością ucieszysz się na jego widok.

– Ale jesteś tajemnicza – zaciekawiła się Kasia.

– Po prostu przyjeżdżaj. Czekam na ciebie. Jak zawsze.

Katarzynie zrobiło się ciepło na sercu. Był jeszcze ktoś, komu naprawdę na niej zależało. Pragnęła przytulić się do mamy jak najprędzej. Tylko ona kochała ją bez żadnego „ale”, tylko jej Kasia mogła w pełni zaufać. Bo nieważne, ile mamy lat i jaki bagaż doświadczeń dźwigamy na plecach, łązy najlepiej wypłakać na matczynym ramieniu.

Oddała więc Belfra na przechowanie swojej przyjaciółce, przedłużyła urlop u szefowej i jeszcze tego samego dnia wsiadła w pociąg do Dusznik. O Edwardzie nie chciała pamiętać. Miała wrażenie, że świat bez mężczyzn mógłby być lepszy, a na pewno mniej zakłamanym.

Podróż pociągiem, a dokładnie kuszetką, zaczęła się interesująco. Współpasażer Katarzyny, mężczyzna z wielkim piwnym brzuchem i czterema podbródkami, sapiąc

i przeklinając, próbował wspiąć się po drabince na najwyższą zawieszoną leżankę. Kasia oczami wyobraźni widziała już, jak przy pierwszym mocniejszym hamowaniu zawodnik sumo spada na nią wraz z łóżkiem, więc natychmiast zaproponowała mu zamianę miejsca na to na samym dole, którego była właścicielką. Mężczyzna nie był do końca przekonany, czy Kasia nie próbuje go okpić, jednak ostatecznie przystał na jej propozycję.

Zdawało się więc, że kobieta najgorsze ma już za sobą, jednak właśnie wtedy w jej nozdrza wdarł się nieznośny zapach. Był tak intensywny, że przypomniały jej się chwile, gdy w szkolnych czasach na obozie harcerskim sprzątała latrynę. „No tak, pan pewnie zdjął skarpety” – pomyślała zbulwersowana. Szybki rzut oka w dół przekonał ją jednak, że straszna woń zalatuje od innego z pasażerów, a właściwie wydobywa się z konserwy, którą niewysoki chłopak dopiero co otworzył.

– O, matko! Co pan wyprawia? Sprzedali panu zepsutą puszkę. – Jeszcze zanim Katarzyna zdążyła otworzyć usta, napadła na niego pasażerka podróżująca z nastoletnim synem. – Przecież dziecko mi tu torsji dostanie.

– Proszę wybaczyć, ale to przysmak prosto ze Szwecji! – zachnął się młody człowiek wyglądający na studenta. – Dostałem go od wujka, a on wie, co dobre. Mówił, że Szwedzi zajadają się tym kiszonym śledziem.

– Kiszonym śledziem?! – kobieta zrobiła minę pełną obrzydzenia. – W życiu nie słyszałam o takim wynalazku. Kiszoną kapustę, to owszem, znam, ale żeby kisić rybę? Toż to śmierdzi jak odchody skunksa! – zakrzyknęła i jak poparzona rzuciła się do okna, by je otworzyć.

– Nie ma tu tego śledzika zbyt wiele, ale mogę panią poczęstować. – Młodego człowieka wyraźnie rozbawiła reakcja współpasażerki.

– Proszę z tym wyjść na zewnątrz i to natychmiast! Bo jak nie, to zawołam konduktora – w stronę chłopaka posypały się gromy z ciemnych oczu.

– Okej, okej, niech się pani tak nie denerwuje. W sumie mogę zjeść i na korytarzu – chłopak był z tych raczej zgodnych.

Gdy wraz z prezentem od wuja wyszedł z przedziału, Katarzyna odetchnęła z ulgą, mając cichą nadzieję, że na tym epizodzie jej perypetie podróżne się skończą. Jednak teraz nie dawał jej spokoju wiatr, który wpadał przez otwarte okno i hulał po jej górnej leżance. Pani z dzieckiem jeszcze przez pół godziny nie pozwalała zamknąć okna.

W końcu jednak zapach się ulotnił, zgaszono światło i nastąpiła cisza. Niestety, tylko na chwilę, bo na jednym z dolnych miejsc rozpoczął się koncert, przy którym dźwięk trąb jerychońskich można by pewnie nazwać łagodną kantyleną. Katarzyna aż podskoczyła. Nie znosiła chrapania. Była przekonana, że winowajcą tym razem już na pewno jest wielkogabarytowy mężczyzna. I znów się myliła, okrutne dźwięki wydobywały się bowiem z ust najmłodszego z pasażerów, syna bojowniczkii przeciw kiszonemu śledziowi. Drobnego nastolatka leżał na wznak na leżance w kolorze bordo z szeroko otwartą buzią.

– Bardzo przepraszam, Franek ma katar – w nikłym świetle dobiegającym z korytarza Katarzyna napotkała zawstydzony wzrok jego matki. – Szturchnę go, żeby przekręcił się na bok.

I jak powiedziała, tak zrobiła. Liczba decybeli rozchodzących się po sześciuosobowym przedziale nieco się zmniejszyła.

Kasia miała nadzieję, że teraz będzie mogła się zrelaksować. Przykryła się prześcieradłem z nadrukiem PKP i zamknęła oczy. Jej sen nie był jednak spokojny. Śniło jej się niebo tak intensywnie błękitne, jak oczy Edwarda. Mknęło w jej stronę coraz szybciej i szybciej, jakby chciało ją pochłonąć. Rozkładała ręce i próbowała je zatrzymać. Czy zasłużyła na ostateczną przegraną? Z takim pytaniem obudziła się o świcie, gdy pociąg z piskiem hamulców wtoczył się na stację jej rodzinnego miasta.

Duszniki-Zdrój

– Witaj, Kasienko!

Lekko szpakowaty mężczyzna w dżinsowej kurtce przywitał ją na peronie szeroko otwartymi ramionami.

W pierwszej chwili go nie poznała.

– Marek? – zamrugła powiekami.

W sumie niewiele się zmienił, nadal był przystojny. Miał tylko siwe włosy, nieco zmarszczek i trochę więcej centymetrów w talii. Ale oczy... Wciąż jeszcze czaiła się w nich ta charakterystyczna figlarność. Kasia poczuła, jakby znów miała osiemnaście lat, a on czekał na nią stęskniony, gdy wracała od koleżanki z Wrocławia.

– Co ty tu robisz? Nie powinieneś być w Niemczech? – nie mogła uwierzyć, że go widzi.

Odkąd zamieszkał za granicą, a było to w latach siedemdziesiątych, widzieli się może ze dwa razy, na Wszystkich Świętych. Oboje zjawiali się wtedy w swoim rodzinnym mieście, by zapalić znicze na dusznickim cmentarzu.

– Wróciłem już jakiś czas temu. A jeśli pytasz, co robię na dworcu, to przysłała mnie tutaj twoja matka. Poprosiła, żebym cię odebrał, bo sama musiała pojechać pilnie do Kłodzka – wyjaśnił, nie odrywając od Kasi wzroku.

– Do Kłodzka? Przecież wiedziała, o której będę...

– To nagła sprawa. Wyjaśni ci, jak wróci – rzekł tajemniczo.

– Ale wszystko u niej dobrze? – zaniepokoiła się.

– Tak, nic się nie martw. Powiedz mi lepiej, co u ciebie? – zmienił temat. – Tyle lat się nie widzieliśmy, a ty cały czas piękna, młoda, moja dziewczyna o kasztanowych włosach! – przyglądał jej się z zadowoleniem w oczach.

Chłonęła jego komplementy jak wysuszona ziemia krople deszczu w środku lata. Wiedziała, że to puste słowa, ale było w nich tyle ciepła...

– Ech, teraz mam nieco inny kolor włosów, jednak ty zawsze byłeś daltonistą – zaśmiała się.

Dobrze robił jej ten śmiech. I widok Marka też.

Nie pamiętała już, czyim pierwotnie był kolegą, być może Tomka, bo to właśnie do niego zwrócił się, gdy tylko wszedł do sali gimnastycznej, w której miało próby jej szkolne kółko teatralne.

– Stary, gdybym wiedział, że masz tu takie towarzystwo, to już dawno bym się do was przyłączył. Może mnie poznasz z piękną koleżanką? – zrobił głową ruch w kierunku Kasi

i szelmowsko się uśmiechnął.

Spodobała jej się kolorowa koszula chłopaka i modne wówczas spodnie dzwony w stylu dzieci kwiatów, jednak pomyślała, że jak na jej gust ma za krótko przystryżoną grzywkę. Zawsze wolała typ zamyślonego poety z przydługimi włosami, ale w Marku było coś, co sprawiało, że trudno go było nie polubić. Może to kwestia uśmiechu, takiego od ucha do ucha, który powodował, że w obecności chłopaka dzień wydawał się lepszy? Zwłaszcza gdy zabierał ją na komedie do kina „Wiarus” albo na filmy muzyczne w czasie Festiwalu Chopinowskiego, choć nie zawsze mogła się na nich skupić, bo siadali w ostatnim rzędzie, a jego ręce były nieprzyzwoicie ruchliwe.

Porywał ją też na potańcówki do Polanicy. Kręcił nią wtedy mocno w rytm rock’n’rolla, kupował kolorowe drinki, a jej się zdawało, że złapała Pana Boga za nogi. Marek był niezwykle towarzyski, ludzie cieszyli się na sam jego widok, a Kasi imponowało, że jej chłopak zna tyle osób i że tak chętnie im ją przedstawia. Zachłysnęła się tym nowym życiem, w którym dzień często mieszał się z nocą. Nareszcie była dla kogoś ważna.

Jednak czas szkolny szybko przeminął. Kasia była ambitna, koniecznie chciała zdobyć wiedzę najlepiej we Wrocławiu, a Markowi nie zależało na studiach, szykował się do wojska. Jak każdy chłopak musiał odbyć służbę dla kraju. Złościł się, że jego dziewczynę ciągnie do wielkiego miasta.

– Możesz przecież być instruktorką w szkolnym teatrze albo nawet spróbować załapać się do trupy w Polanicy, do tej Ówiklińskiej^[43]. Ponoć gwiazda ją wspiera, więc to by było coś! Może mogłabyś nawet wystąpić z nią na jednej scenie – przekonywał.

– Nawet nie wiesz, jak o tym marzę, ale nic z tego. Owszem, pani Mieczysława grała w Teatrze Zdrojowym i pomagała młodym aktorom, jednak to było kilka lat temu, zanim zespół teatralny się rozpadł. Nie myśl, że się nie interesowałam – szybko wyprowadziła Marka z błędu.

Z historii polanickiej sceny można ją było odpytywać choćby w środku nocy. Kochała wszystko, co miało związek ze sztuką.

Nieco inaczej niż Marek, bo on był bardziej praktyczny. A gdy rozjechali się na dwie strony świata, różnice między nimi tylko się pogłębiły. Kasię wchłonęło studenckie środowisko, barwne, intelektualnie żywe, a chłopak poszedł w kamasze i musiał twardo stąpać po ziemi.

Ona nie miała czasu, by go odwiedzać pod wschodnią granicą, gdzie służył w jednostce, on przestał pisać listy, a potem znalazł się ktoś inny, komu do Białej Podlaskiej nie było tak daleko. Baśka, z którą Katarzyna chodziła do klasy, zawsze miała na Marka oko i to ona ostatecznie go usidliła. Kasia czuła na początku żal, że tak się stało, jednak szybko się otrząsnęła i oddała koleżance pole praktycznie bez walki. Lecz do Marka pozostał jej sentyment.

A Duszniki zawsze poruszały w niej czułą strunę. Za każdym razem, gdy zjawiała się w rodzinnym mieście, ogarniało ją to samo uczucie, że nigdy nie powinna była stąd wyjeżdżać. Patrzyła na wzgórza porośnięte starymi świerkami, na obłoki niczym wata cukrowa, wodne fajerwerki fontanny w parku zdrojowym, wciągała nosem powietrze pełne drobinek słońca i czuła, że właśnie tutaj jest jej miejsce na ziemi. Dzisiaj zaś, idąc obok swojej miłości ze szkolnych lat, doświadczała tego jeszcze mocniej.

Szli pod rękę najpierw przez rynek, przy którym przycupnęła jej ulubiona mała kawiarenka z najlepszym ciastem marcepanowym na świecie i klimatyczną księgarnią jej matki, potem przez park koło Dworku Chopina, gdzie kiedyś stawiała pierwsze kroki w muzycznej edukacji. Przemknęli wzdłuż pawilonu zdrojowego, który także nasuwał jej na myśl dawne czasy. Niemal widziała panów w melonikach, z laseczką w rękę, damy w pastelowych krynolinach, jak suną wzdłuż wielobarwnych klombów, popijając Pieniawę Chopina czy Jana Kazimierza^[44]. Słyszała w głowie dźwięki *Walca Wiosennego* przypisywanego Chopinowi i przez chwilę miała wrażenie, że ona też należy do tamtego świata, ma na sobie długą suknię w kolorze nieba i jest szczęśliwa. Jednak czy potrafiła jeszcze odnaleźć to uczucie?

Jeśli miała gdzieś go szukać, to chyba tylko tutaj. Stała w słonecznym ogrodzie swojej mamy, rozciągającym się na tle łagodnego pasma gór i cicho westchnęła. Tak dawno tu nie była. W ostatnich miesiącach młoda szefowa dała jej do wiwatu. Przełała na nią swoje ambicje. Katarzyna ani się obejrzała, a dołączyła do zaprzęgu wygłodniałych wilków polujących na sukces – mitycznego zwierza, którego nikt nie widział, a każdy chciał dopaść. Ciągle jeszcze miała nadzieję, że w tej pogoni będzie umiała się nie zatracić, zachować w sobie resztki człowieczeństwa, lecz przeczyła temu ostatnia sytuacja, jaka miała miejsce w jej pracy.

– Siadaj, chciałbym obgadać z tobą pewną sprawę – szefowa wskazała jej krzesło przy swoim wypolerowanym na glanc biurku.

Była znana z tego, że uwielbiała porządek. Dotyczyło to wszystkiego w jej otoczeniu, i gabinetu, i spraw w departamencie, którym zarządzała. Katarzyna wiedziała o tym doskonale, dlatego w pokoju Edyty zjawiała się zawsze z pięknie uporządkowaną teczką, w której dokumenty spięte były kolorowymi spinaczami i ułożone tematycznie w przegródkach. Daleko jej było do pedantki, ale ona też nie lubiła chaosu, a miała go wystarczająco dużo w prywatnym życiu.

– Powiem ci wprost, o co chodzi. Zarząd podjął dziś decyzję o redukcjach. Chcemy powoli pozbywać się starszych osób, by wpuścić do zespołu trochę świeżej krwi – rzekła szefowa.

– Starszych? – Katarzynie zrobiło się gorąco. Bo czyż i ona nie należała do firmowych weteranów?

– Tak, ale o siebie się nie martw, przynajmniej chwilowo – Edyta dobrze odczytała jej niewyraźną minę. – Już powiedziałam szefowi, że jesteś moją prawą ręką i potrzebuję cię do tej akcji. Zresztą nie tylko do tej.

– Dlaczego więc mnie wezwałaś? – Kasia wołała mieć jasność.

– Bo musisz dać mi nazwisko osoby ze swojego działu, z którą się pożegnamy. Najlepiej, żeby to był ktoś po pięćdziesiątce, z wysokim wynagrodzeniem. Wiesz zresztą, o co chodzi... – w jej oczach pojawił się błysk sprytu. – Za takiego pracownika możemy mieć dwóch młodych.

– Tak... jasne – Katarzyna pokiwała niepewnie głową.

Sytuacja była patowa. Albo poda nazwisko, albo sama zostanie zwolniona. A tak bardzo zależało jej na tym, by wziąć udział w szkoleniu, na które była zapisana. Nawet nie dla samych warsztatów, a dla spotkania z Olją, dawną przyjaciółką Dragana, która miała je poprowadzić. Dziewczyna od jakiegoś czasu mieszkała w Belgradzie i pracowała tam

w zaprzyjaźnionym banku, z którym instytucja Kasi ściśle współpracowała. Kobieta liczyła na to, że może bośniacka Serbka ma jakieś wieści o jej synu. Nie, stanowczo nie mogła się dać teraz wyrzucić. Dlatego następnego dnia bez zmrżenia powiek wytypowała do zwolnienia koleżankę, z którą przez ostatnich dwadzieścia lat siedziała biurko w biurko. Czy miała więc prawo czuć się dawną sobą?

Teraz jednak wydobyła kluczyk ukryty jak w szkolnych czasach w jednej z donic z dorodną bazylią i otworzyła drzwi do domu matki. Urządzony przez Aldonę w nieco staromodnym stylu i bez przepychu miał niezwykły klimat, pachniał poezją i wanilią. Już w przedpokoju witały przybyłych solidne regały w mahoniowym kolorze, szczelnie wypełnione książkami. Na ścianach wisiały czarno-białe zdjęcia w gustownych ramach, z których patrzyły na gości mądre oczy przodków rodziny. W salonie wypełnionym światłem wpadającym przez duże, balkonowe okna można było się poczuć niemal jak w ogrodzie. Stuletnia sosna gładziła szybę od zewnętrznej strony, a w środku rosły zadbane fikusy, wielkie paprotki i dostojne szeflery.

Dzisiaj ten dom spodobał się Katarzynie jeszcze bardziej, bo był w nim Marek. Pewnie to jego miała na myśli matka, gdy wspomniała, że ktoś w Dusznikach na nią czeka. Przy nim wszystko stawało się prostsze, jak za dawnych lat potrafił rozbawić ją jedną miną, jednym słowem. Zmartwiła się jednak, gdy stwierdził, że nie zatrzymał się u Aldony. Okazało się, że po powrocie do kraju zamieszkał u siebie, bo choć dawno temu wyjechał na stałe za granicę, a jego siostra też wyniosła się z miasta, to nie miał sumienia, by sprzedać dom po rodzicach.

– Poczekaj, aż wróci moja mama, zostań ze mną – poprosiła Kasia.

– Chętnie, choćby całe życie – jego oczy zaświeciły się figlarnie.

Nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt lat. Miał urodę wiecznego chłopca. Teraz nawet nosił dłuższe włosy i bardziej w nieładzie, niż gdy był młody.

– A co tam u Baški? – zganiła go wzrokiem. – Łatwo jej było wrócić do Polski po tylu sukcesach za Odrą?

– To ty nie wiesz? – z jego twarzy znikł nagle uśmiech. – Basia nie żyje. Zmarła dwa lata temu.

– Co takiego?

Jak to się stało, że nie dotarła do niej ta informacja? Przecież jej dawna koleżanka była prawdziwą dumą rodzinnych Dusznik. Wydała w Niemczech kilka książek, które wdarły się na listy bestsellerów. Nie każdy potrafi dokonać czegoś takiego.

– Padał deszcz, a tam był ostry zakręt... Wiesz, w wydawnictwie ciągle wymagali szybciej, więcej. Czekwały na nią kluby książkowe w całym kraju, koniecznie chciała je odwiedzić... – widać było, że trudno mu o tym mówić. – Ciągle się spieszyła, a ten zakręt... Było wyjątkowo ślisko.

– Boże, przepraszam cię, Marek, gdybym wiedziała... – Katarzynie zrobiło się głupio. Kiedyś byli naprawdę blisko.

– To był dla mnie szok. Wprawdzie nie mieszkaliśmy od dawna razem, lecz to nie miało znaczenia.

– Rozstaliście się? – zrobiła wielkie oczy.

– Wiesz, jak to jest, najpierw ci z kimś po drodze, a potem... Niełatwo jest zostawić

komuś odpowiednio dużo przestrzeni, by czuł się wolny, a jednocześnie za bardzo się nie oddalić. To trochę jak wspinanie się po skałach na szczudłach.

– Albo spacerowanie w szpilkach po pustyni – uśmiechnęła się półgębkiem. – Wiem coś o tym.

– Ale tobie z Edwardem chyba się układa? – spojrzał na nią czujnie.

– No, wiesz... Miewamy czasem gorsze chwile...

– Tak jak teraz? – zajrzał jej głęboko w oczy.

– Czy to aż tak widać? – przygryzła wargę.

– Kasieńko, kiedyś znałem cię bardzo dobrze. Cały czas mam wrażenie, że to było wczoraj – pogładził ją po policzku.

Poczuła ciepło jego palców na skórze. Tak dawno żaden mężczyzna nie zrobił w stosunku do niej czułego gestu... Było to przyjemne i jednocześnie dziwne.

– Zaparzę herbatę – wstała z fotela. – Pijesz czarną, bez cukru, tak jak kiedyś?

– Ale masz pamięć!

Wyszła do kuchni, by pobyć chwilę sama. Miała mętlik w głowie. Uciekała od jednego mężczyzny, kolejnego chciała odnaleźć, a jeszcze inny zjawiał się w jej życiu tak niespodziewanie, jak płatki śniegu w maju, choć przecież już wieki temu wymazała go z pamięci. Nie chciała kolejnych komplikacji, przyjechała tu odzyskać spokój.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek do furtki. Wyjrzała przez okno i zobaczyła listonosza – starego pana Stanisława, jego wielką czarną torbę i trochę podrdzewiały górski rower, ufundowany przez mieszkańców miasta. Była pewna, że mężczyzna przyniósł czasopisma, które z zapalem prenumerowała jej mama: „Wprost”, „Angorę” i tym podobne. Aldona lubiła wiedzieć, co dzieje się w wielkim świecie.

– O, cześć, Kasieńko! Dawno przyjechałaś? – listonosz ucieszył się na jej widok. Znał ją jeszcze, kiedy była małą dziewczynką. – A ja tu właśnie mam list dla ciebie! Zobacz, jak się dobrze składa – wręczył jej białą kopertę.

Zdziwiła się. Znaczek miał pieczętkę z Triestu, jednak nie było na nim nadawcy. „Kto mógł wiedzieć, że tutaj będę?” – Katarzynę przeszedł dreszcz, jakby otrzymała przesyłkę zza świątów. Zamieniła jeszcze kilka słów ze Stanisławem i weszła z powrotem do kuchni. Machinalnie włączyła czajnik elektryczny i rozerwała kopertę. Na kuchenny blat wypadł mocno pognieciony szary zeszyt. Wzięła go do ręki i zaczęła czytać zamasyście zapisane litery. Rozpoznała pismo.

Migdały

Mam w głowie niebieskie migdały

Pachną słoneczną polaną

Wiatrem we włosach

Wierszem

Ziarenkiem soli Adriatyku

Zasuwam kotary powiek

By się chronić

Przed prozą

– Pomóc ci z tą herbatą? – Marek stanął tuż za nią.

Przestraszył ją. Odwróciła się zbyt gwałtownie, tak że prawie się zderzyli. Zrobiła krok w tył.

– Wszystko dobrze? – mężczyzna spytał zaniepokojony, bo była bardzo blada.

– Nie rozumiem. Nie wiem, kto to przysłał... – powiedziała.

– To... twojego syna? – dostrzegł imię napisane na obwolucie zeszytu, który trzymała w dłoni.

– Tak. Ale on jest w Sarajewie, a na przesyłce jest pieczętka z Włoch – rozłożyła bezradnie ręce.

– Może Dragan tam wyemigrował?

– I nie napisałby? Nie zadzwonił? – nie chciało jej się w to wierzyć.

– Hm... Widzę, że muszę ci o czymś powiedzieć... Aldona pewnie wolałaby sama, ale...

– O co chodzi, Marek? Wiesz coś o moim synu? – wpatrywała się w niego z nadzieją.

– Nie, chodzi o jego dziewczynę – żałował, że musi ją rozczarować. – Zjawiała się tutaj wczoraj.

– W Dusznikach?!

– Tak. Jasmina wydostała się z Bośni i nie miała dokąd jechać. Wiedziała od Dragana, że jego babcia ma księgarnię w rynku w Dusznikach, więc... – wyjaśnił.

– To gdzie ona teraz jest? Muszę z nią porozmawiać! – policzki Katarzyny zaczerwieniły się z ekscytacji.

– No, cholera... Aldona zabrała ją do szpitala w Kłodzku, bo dziewczyna źle się poczuła. Nie posłużyła jej długa droga. A może za dużo emocji...?

– Dlaczego nie powiedziałeś mi tego od razu? Muszę tam jechać, natychmiast! – złapała torebkę przewieszoną przez oparcie kuchennego krzesła i wybiegła do przedpokoju.

– Poczekaj, pewnie niedługo wrócą – Marek próbował ją powstrzymać.

– Twierdzisz, że mnie znasz, a nic nie rozumiesz. Tu chodzi o mojego syna! Wiesz, jak to jest czekać długie miesiące na wiadomość o własnym dziecku? Wyobrażasz to sobie? – zapytała nerwowo. – Choćbym miała iść do tego szpitala przez góry, na piechotę, to i tak pobiegnę.

– W takim razie nie mam wyjścia, muszę cię tam zawieźć – złapał ją za rękę.

Była mu wdzięczna, bo nagle znów bardzo potrzebowała męskiego ramienia. Już za chwilę mogła poznać prawdę o losach syna, czuła ogromną radość i jednocześnie strach, który ścisnął ją za gardło. Skoro Jasminie udało się wydostać z Bośni, to przecież Dragan też mógł to zrobić! Tylko dlaczego nie przyjechali razem? Pewnie to syn przysłał jej zeszyt z wierszami. Ale dlaczego nie dołączył do niego żadnej informacji? Tysiące pytań kłębiło się w jej głowie.

[41] Fragment piosenki *Kocham cię jak Irlandię* zespołu Kobranocka.

[42] Kobra – pseudonim wokalisty i lidera Kobranocki, Andrzeja Kraińskiego.

[43] Mieczysława Ćwiklińska – polska aktorka teatralna i filmowa oraz śpiewaczka. W teatrze w Polanicy grała m.in.

w *Zemście* i *Ożenku*. W 1952 roku teatr uzyskał patronat aktorki i został nazwany jej imieniem.

[44] Pieniawa Chopina, Jan Kazimierz – wody lecznicze, szcawy alkaliczne o wysokim zmineralizowaniu, których źródła znajdują się w uzdrowisku Duszniki-Zdrój.

ROZDZIAŁ 17

Kłodzko

Jasmina leżała na szpitalnym łóżku w białej pościeli pachnącej intensywnie krochmalem. Babcia Dragana, przemiła starsza pani, która siedziała przy niej, zanim dziewczyna zamknęła oczy, gdzieś zniknęła. W zamian za to koło jej pośłania stała brzydka, pomarszczona kobieta.

– Piękne! Świecą się jak węgiel! – dotknęła długiego kosmyka włosów Jasminy, a w jej oczach pojawił się dziwny błysk. – Franciszka jestem – przedstawiła się zachrypniętym głosem.

Jasmina próbowała unieść się na łokciach, żeby usiąść, jednak zabrakło jej sił. Zdziwiła się, że rozumie, co kobieta do niej mówi, bo przecież nie znała polskiego.

– Trochę się płaczą – przygładziła włosy.

– Zawsze chciałam być brunetką, a Bóg zrobił ze mnie rudą – Franciszka pokręciła z niezadowoleniem głową.

Dziewczyna spojrzała na rzadkie kępkę jej siwych włosów, które bez składu i ładu wyrastały z głowy w różnych kierunkach, i spróbowała wyobrazić sobie, jak Franciszka wyglądała za młodu. Może była piękną, ognistą kobietą?

– Ludzie nigdy się nie cieszyli na mój widok. Mówili, że ruda jest fałszywa, a to przecież tylko zabobony – westchnęła. – Nie rozumieją, że beze mnie byłoby im trudniej...

– Tak, a to dlaczego? – zdziwiła się Jasmina.

– Bo na drugą stronę nie jest łatwo iść samemu. Lepiej mieć przewodnika – uśmiechnęła się melancholijnie. – Zresztą, sama się o tym przekonasz.

– Na drugą stronę? Ja... Nie jestem jeszcze gotowa – Jasmina nagle zrozumiała, z kim ma do czynienia.

Ta biała szata... Błędnie wzięła ją za szpitalną koszulę nocną. Jednak te oczy... Była w nich głębia prawdziwie nieziemska.

– Nawet jeśli ktoś tam na ciebie czeka, to nie jest łatwo schwycić go za rękę, bo po wewnętrznej stronie wiatru jej nie zobaczysz. Więc muszę wam pomóc i ...

– Łączysz dłonie tak jak na ślubie? – Jasmina bardziej stwierdziła, niż spytała. – A jeśli nie jestem pewna, czy mój kochany tam na mnie czeka?

– To masz pecha! Widocznie nie dogadałaś się z losem – zaśmiała się szyderczo. – Ale wiesz co? Podarowałabyś mi swój pukiel... Ten lśniący jak nocne niebo. Może wtedy będę mogła jeszcze trochę tu z tobą zostać... – targowała się.

I, nie czekając na odpowiedź, wyjęła zza pleców długi kij zakończony ostrzem. Stal

błysnęła tuż koło twarzy dziewczyny.

– Ale moje włosy... są brudne! – krzyknęła przerażona Jasmina i odpłynęła.

– Panie doktorze, co się dzieje z moją synową? – Katarzyna i jej matka stały pod szklanymi drzwiami szpitalnej sali, w której leżała nieprzytomna pacjentka, i próbowały wyciągnąć od lekarza informacje na temat stanu jej zdrowia. Marek czekał na kobiety nieco z boku. Nie chciał przeszkadzać.

– To pani synowa, tak? – lekarz wolał się upewnić. – A zna pani może jej język? Bo trochę trudno nam się porozumieć.

– Tak, mówię po chorwacku, choć już dawno nie używałam tego języka – odpowiedziała Kasia.

– To świetnie, przyda nam się pani, jeśli tylko dziewczyna dojdzie do siebie – westchnął lekarz.

– Jeśli? – Katarzyna wbiła w doktora przerażony wzrok.

– No cóż... Muszę pani uprzedzić, że nie jest dobrze. Zdaje się, że to początki sepsy... Jest też zator w nodze. Kończyna jest niedokrwiona. Nie rozumiem, jak to możliwe, że pacjentka trafiła do nas tak późno...

– Zjawiała się u mnie wczoraj. Zupełnie jak duch, bez zapowiedzi – tłumaczyła Aldona. – Była bardzo blada, ale wydawała się szczęśliwa, że udało jej się mnie odnaleźć. Wzięła prysznic, zjadła kolację i poszła spać. A dziś od rana... Przywiozłam ją, gdy tylko się zorientowałam, że dzieje się coś niedobrego.

– Rozumiem. Zrobimy, co w naszej mocy, jednak zbyt wielu leków nie możemy zastosować... – lekarz rozłożył ręce.

– Dlaczego?! – Kasia nie mogła zrozumieć. Patrzyła to na lekarza, to na dziewczynę za szklaną szybą.

– Ona będzie miała dziecko. Nie zdążyłam ci jeszcze powiedzieć – Aldona ścisnęła córkę za rękę.

– Jest w ciąży? Zostanę... babcią? – jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

– No, wiesz... Nie pytałam Jasminy, kto jest ojcem jej dziecka. Do księgarni odprowadził ją jakiś chłopak, ale potem zaraz zniknął...

– I nie dowiedziałaś się, kto to? Oj, mamó! – Katarzyna spojrzała na Aldonę z wyraźnym wyrzutem w oczach.

Nie przyszło jej na myśl, że dziewczyna mogłaby zajść w ciążę z kimś innym niż jej syn, wydawało jej się to niedorzeczne. Przecież gdyby tak było, Jasmina nie pojawiłaby się u Aldony. To na pewno Dragan ją tu przysłał.

– Wiesz, dogadywałyśmy się raczej na migi. Przecież ani ja nie mówię w jej języku, ani ona w naszym, a po niemiecku zna tylko kilka słów – usprawiedliwiła się Aldona.

– Jasne, zapomniałam. Dowiemy się wszystkiego, gdy tylko się ocknie – pocieszała się Kasia.

– Oby, córeczko, oby – Aldona złożyła dłonie jak do modlitwy. – To taka miła, delikatna osoba.

– Dragan zawsze miał dobry gust – uśmiechnęła się Katarzyna. – Olja, jego dobra znajoma, którą poznałam jakiś czas temu w pracy, mówiła mi, że on świata poza Jasminą nie widzi.

Starła się nie myśleć o tym, że z dziewczyną jest naprawdę źle. Ta historia nie mogła tak się skończyć, nie teraz, gdy Jasmina pojawiła się w Polsce i gdy na świat miało przyjść dziecko. Katarzynie przypomniawszy się zeszyt z wierszami Dragana. Czyż to, że dostała go właśnie dzisiaj, to nie był znak? Niedługo wojna się skończy, rodzina się zejdzie, a ona sama będzie najszczęśliwszą babcią na świecie. Wtedy nawet Edward nie będzie jej potrzebny. Niech idzie do diabła razem z tą swoją lafiryndą w fartuszkach w kotki! Tylko Belfra mu nie odda. Bo przecież dobrze, kiedy dzieci chowają się razem ze zwierzętami.

– Panie doktorze, proszę pozwolić mi tam wejść – Katarzyna wskazała na salę, w której leżała Jasmina. – Mam coś, co pomoże dziewczynie wyzdrowieć, co da jej siłę – wyjęła z torby szary zeszyt.

– A co to niby takiego, notes? Żartuje pani, prawda? – prychnął. – Pacjentce może pomóc tylko odpowiedni antybiotyk, a i wtedy nie ma gwarancji, że...

– Nawet pan nie wie, jaką siłę ma ta poezja – powiedziała z wiarą Katarzyna.

– Jasne! – lekarz zaśmiał się kpiąco. – Proszę wybaczyć, ale ja wierzę wyłącznie w zbawczą moc nauki.

– Jednak często to wiara czyni cuda – wtrąciła się Aldona.

– W takim razie proszę wierzyć, na pewno nie zaszkodzi – lekarz odwrócił się na pięcie.

– Co za buc! – Katarzyna posłała za nim spojrzenie pełne gniewu.

Zrobiła ruch ręką, by schować do torebki zeszyt, i wtedy... coś z niego wypadło, kartka złożona na pół, której wcześniej nie zauważyła. Spiesząc się do szpitala, nie zdążyła przejrzeć dokładnie całego zeszytu.

A więc Dragan coś do mnie napisał! – szepnęła wzruszona.

Jednak list nie był od niego.

*Szanowna Pani Katarzyno,
pewnie mnie Pani nie pamięta, jednak kiedyś mieliśmy okazję się poznać. Byłem na wakacjach w Dusznikach z Draganem, podczas gdy Pani gościła u swojej mamy. Adres babci Aldony jest jedynym, jaki znam w Polsce, dlatego swoją przesyłkę kieruję właśnie na niego.*

Zapewne dotarła już do Pani smutna wiadomość o śmierci Dragana, o tym, że zginął na jednym z sarajewskich mostów. Złe informacje mkną do celu szybciej niż światło... Jednak jest coś, o czym powinna Pani wiedzieć. Zeszyt z jego wierszami został znaleziony przy wyjściu z tunelu, którym można się wydostać z naszego miasta. Dla mnie oznacza to jedno!

Może zresztą mój przyjaciel jest już u Pani, pijecie razem kawę i śmiejecie się z wszystkiego, co piszę. Jeśli tak jest, to niech zaopiekuje się moją dziewczyną, Ajną, która ma zamiar zamieszkać wraz ze swoją rodziną we Włoszech. To właśnie jej powierzam wysłanie do Pani tej przesyłki.

Chciałbym bardzo, aby dotarła ona także do Jasminy, ukochanej Dragana, ale nie wiem, jak ją odnaleźć. Może Pani się to uda? Mam nadzieję, że moi przyjaciele są cali i zdrowi. I że kiedyś dane nam będzie znów się spotkać. Nie przestaję w to wierzyć.

*Pozdrawiam serdecznie,
Haris*

Katarzyna nigdy nie myślała, że jedna kartka papieru może być tak ciężka. Dłoń, w której ją trzymała, drżała, jakby nie była w stanie udźwignąć zawartych w liście informacji. Zginął... Most... Tunel... Żyje... Słowa splatały się i rozplatały jak dźwięki melodii. Kobiecie zakręciło się w głowie. Jednego dnia nie można przyjąć tylu bodźców. Była silna i miała u boku jeszcze silniejszą matkę, ale w tym momencie...

– Co jest? – Aldona, widząc, że jej córka nie może złapać tchu, wyjęła kartkę z jej ręki. Szybko przeleciała wzrokiem czarne litery.

– Kaśka, wszystko dobrze? – Marek znalazł się tuż przy przyjaciółce.

– Mój syn... Teraz już wszystko rozumiem. Jasmina przyjechała tutaj, żeby mi to powiedzieć – Katarzyna przykleiła twarz do zimnej szyby, za którą leżała dziewczyna. Zrobiło jej się ciemno przed oczami.

– Nie, Kasiu! Przecież Dragan żyje, ten chłopak wyraźnie to sugeruje. Tylko musimy go odnaleźć – powiedziała z całą stanowczością matka.

Dla niej zawsze szklanka była do połowy pełna. Jak nikt umiała skupić się na tym, co pozytywne.

– Tak, musimy go odnaleźć – wyszeptała Katarzyna.

Tam, za drzwiami, w brzuchu młodej kobiety rozwijało się nowe życie. Jasmina podłączona do aparatury toczyła zaciekłą walkę o siebie i o nie, o przyszłość. Katarzyna czuła się tak, jakby ktoś odciął jej powietrze, ale też nie miała zamiaru się poddawać. Na pewno jeszcze nie teraz.

ROZDZIAŁ 18

Belgrad

Beograd spava

spava još moj beli grad

u ovoj noći

nisam ja, ne, nisam sam...[\[45\]](#)

Olja nuciła pod nosem słowa piosenki odpowiednie do późnej godziny, którą wskazywał jej zegarek. Lubiła grupę U Škripcu, choć w jej mieszkaniu przy Mije Kovačevicia wynajmowanym wspólnie z bratem najczęściej rządziły dźwięki bośniackich zespołów. Minęło ponad półtora roku, odkąd rodzeństwo wydostało się z oblężonego Sarajewa, a jednak ciągle wracali myślami do dawnych dobrych czasów, kiedy to całą rają[\[46\]](#) chodzili na koncerty w ukochanym mieście. Niełatwo było zapomnieć beztroskie chwile spędzane w najlepszym towarzystwie na świecie: Dragana, Jasminy, Marka i Harisa. Ach, jak dawno Olja nie miała kontaktu z przyjaciółmi!

Teraz jednak była podekscytowana nowym zadaniem, które dostała od swojego belgradzkiego szefa. Podczas dzisiejszej nieformalnej kolacji ze współpracownikami, z której właśnie wróciła, Dušan poinformował ją, że nadszedł czas, aby zakasować konkurencję przy pomocy działań image'owych. A jako że szef był z tych, którzy czas mają wyłącznie na robienie szumu wokół siebie, niełatwe zadanie postanowił przekazać w jej ręce.

Stało się tak pewnie dlatego, że Olja podchodziła do niefrasobliwości Dušana i chaosu, jaki wokół siebie wprowadzał, ze stoickim spokojem. Nie przerażało jej na przykład jego ulubione powiedzonko: „Ne ma problema”[\[47\]](#), podczas gdy inni uznawali je za sygnał, że problemy za chwilę zaczną się piętrzyć. Ona miała na szefa swoje sposoby i teraz też nie chciała go zawieść. Postanowiła więc jeszcze tej nocy spisać kilka pomysłów, jak można promować bank i zadbać o jego wizerunek. Jedno z możliwych działań przyszło jej do głowy natychmiast.

Niedawno na ulicy Terazije spotkała koleżankę z sarajewskiego liceum. Dziewczyna wracała właśnie od swojego ojca, z centrum medycznego dla serbskich uchodźców z Bośni i Hercegowiny. Mężczyzna przebywał na oddziale wraz z innymi pacjentami, którzy mieli problemy ze zdrowiem wskutek wojennych przeżyć. Olja dobrze wiedziała, jakie są objawy stresu bojowego i co mogą zrobić z człowiekiem. Choć sama nie brała bezpośredniego udziału w walkach, to mieszkała kilka miesięcy w oblężonym mieście

i ciągle jeszcze nieraz budziła się w nocy z krzykiem. Miała wrażenie, że biegnie z głową wciśniętą między ramiona przez ulice Sarajewa i słyszy świst pocisku, tak blisko, bliźniutko, tuż koło ucha. Słyszało się go zawsze, zanim dosięgnął celu.

Teraz jednak miała szansę pomóc i innym, i sobie! Planowała wydać pieniądze banku na coś naprawdę pożytecznego – na wsparcie centrum medycznego „Powrót”, w którym uchodźców przywracano do normalnego życia. Temat był aktualny i budził wielkie emocje. Olja wierzyła, że dzięki mecenatowi nad medyczną placówką jej bank zacznie być postrzegany jako instytucja troskliwa, angażująca się w to, co naprawdę ważne. Postanowiła, że jutro z samego rana przedstawi swój pomysł szefowi i jeszcze tego samego dnia pójdzie do ośrodka, by zaproponować współpracę jego kierownictwu. Może dzięki temu przestanie czuć się niepotrzebna i tak strasznie samotna...

Centrum medyczne „Powrót” mieściło się w ekskluzywnej dzielnicy Dedinje, nieopodal mauzoleum Josipa Broz Tito. Z jednej strony grobowiec tego, który głosił ideę braterstwa i jedności jugosłowiańskich narodów, z drugiej ośrodek dla tych, którzy brali udział w krwawym rozpadzie państwa. Ot, ironia losu.

Olja z pewnymi problemami, ale jednak dopięła swego i uzyskała zgodę szefostwa banku na wymyśloną przez siebie akcję promocyjną. Dušan od razu zapalił się do jej pomysłu, był zachwycony, że tak szybko przyniosła mu gotowy plan działań i że sam nie musi wyęźać spracowanego umysłu. Jednak gdy poszedł z propozycją do swojego szefa, nie było już tak kolorowo, bo nieco sztywnemu prezesowi wydała się ona zbyt śmiała i mocno kontrowersyjna. I zapewne tylko urok osobisty Dušana i niemała elokwencja pomocna w kreowaniu obrazów przyszłych sukcesów sprawiły, że dyrekcja banku zgodziła się zaryzykować i podjąć współpracę z medyczną placówką, na razie na próbę.

Przed ostatecznym podpisaniem umowy Olja postanowiła zwiedzić ośrodek. Po budynku oprowadzał ją przystojny lekarz w średnim wieku, profesor Klimow, Rosjanin pracujący w centrum od wielu miesięcy. Przemierzali długie korytarze wyłożone jasnymi płytkami, zaglądali do dobrze wyposażonych gabinetów, do sal rehabilitacji ze specjalną bieżnią, drabinkami, wielkimi dmuchanymi piłkami, do świetlicy. Ośrodek naprawdę robił wrażenie!

Pod ścianami pomalowanymi na łagodny łososiowy kolor snuli się jednak pacjenci z nieobecny wyrazem twarzy, bladzi, zapatrzeni we własną przeszłość. Nie pasowali do tych zadbanych wewnątrz pełnych światła. Niektórzy o kulach, inni z obandażowanymi głowami... Nawet gdy próbowali żartować, ich śmiech po chwili grzął w gardłach.

W jednym ze skrzydeł centrum panowała szczególna cisza. Profesor Klimow wprowadził Olję do swojego królestwa – oddziału dla osób pogrążonych w śpiączce. Lekarz był wybitnym specjalistą właśnie od takich przypadków, chętnie więc udzielał dziewczynie informacji. Po odwiedzinach w kilku salach, w których leżeli pacjenci w różnym wieku, podłączeni do aparatury podtrzymującej ich kruche życie, wszyscy o twarzach w kolorze płótna, uwięzieni we własnych ciałach, Olja poczuła się przygnębiona.

Już chciała poprosić lekarza, by skończyli ten obchód i udali się do gabinetu dyrektora

centrum, gdy on wprowadził ją do jeszcze jednej sali. Był z niej szczególnie dumny, bo zainstalowano tam super nowoczesne urządzenie – zaawansowany komputer monitorujący parametry życiowe pacjenta.

– No i wie pani, tutaj mamy takie diody, które w połączeniu z...

Olja puszczała mimo uszu skomplikowany wywód profesora na temat parametrów sprzętu, bo nie interesowały jej nigdy techniczne nowinki, gdy nagle stanęła jak wryta. Nie mogła oderwać wzroku od młodego chłopaka podłączonego całą masą kabli i rurek do aparatury.

– Wszystko dobrze? – zdziwił się profesor.

– Tak, tak, po prostu to jest dla mnie takie... nowe, ciekawe – skłamała. – Zawsze interesowały mnie przypadki zawieszenia między życiem i śmiercią... – uśmiechnęła się niewinnie.

Nie chciała, żeby zorientował się, iż jej zaangażowanie stało się nagle nie tylko służbowe, ale i osobiste. Patrzyła na chłopaka w szpitalnej piżamie, z bladą twarzą, z oczami nieruchomo utkwionymi w sufit, i nadal nie mogła uwierzyć... Nie wiedziała, czy się cieszyć, że odnalazła go wśród żywych, czy płakać...

– Ach, rozumiem. O tym pacjencie mogę powiedzieć tylko tyle, że został do nas przywieziony z Bośni i był już wtedy w śpiączce. Nie wiemy dokładnie, co się stało, jednak miał złamania kończyn i uszkodzenia kręgosłupa, które wskazują na to, że przeżył wypadek związany z uderzeniem w głowę. Doszło do obrzęku mózgu.

– Jest dla niego szansa?

– Cóż. W tym przypadku można mówić o szczęściu, to znaczy pod kątem możliwego wybudzenia..., bo najgorzej rokoją pacjenci po wylewach, zachłyśnięciach albo zatruciach. Dochodzi wtedy często do trwałego niedotlenienia i nieodwracalnych uszkodzeń mózgu.

– Czyli jest szansa, że się obudzi? – dopytywała niecierpliwie.

– Szansa jest, zwłaszcza że pacjent jest młody, ale im dłużej trwa stan śpiączki, tym bywa trudniej – rozłożył ręce. – Robimy, co w naszej mocy.

– Bo wie pan... – Olja wpadła na szatański pomysł. – Gdyby waszemu ośrodkowi udało się odnieść tak spektakularny sukces, to byłby znakomity news! Moglibyśmy to naprawdę szeroko nagłośnić, z korzyścią dla obu stron. No i osobiście dla pana! – nagle stała się pełna entuzjazmu.

– No, ciekawa koncepcja, ciekawa. Tylko że nie wszystko od nas zależy. Musi chyba pani obiecać jeszcze coś temu tam, na górze – wzniosł wskazujący palec ku niebu.

– Cóż, z nim negocjacje są troszkę trudniejsze, więc... Proszę się przygotować, że będę tu częstym gościem – zmrużyła oczy.

– Ach, te uparte kobiety! – doktor pokręcił głową i otworzył drzwi, by mogli udać się do gabinetu dyrektora.

Olja niechętnie odwróciła się od chłopaka na szpitalnym łóżku i wyszła na korytarz, by spełnić swoje obowiązki służbowe. Postanowiła, że i tak niedługo tu wróci.

Młody mężczyzna leżał bez ruchu. Wiedział, że jest ciepło, ale nie miał pojęcia, jaka jest pora roku, dzień, tydzień, miesiąc... Głos dziewczyny, która przed chwilą go odwiedziła, był jak dawno zapomniana melodia, przenikał do krwiobiegu. To było miłe uczucie, więc chciał ją zatrzymać, jednak jego usta nie potrafiły się poruszyć.

[45] *Belgrad śpi, śpi jeszcze moje białe miasto. Tej nocy nie jestem ja, nie, nie jestem sam* – fragment piosenki *Belgrad śpi* z repertuaru grupy U Škripcu.

[46] Raja – po bośniacku określenie paczki przyjaciół.

[47] Ne ma problema – w języku serbskim „Nie ma problemu”.

ROZDZIAŁ 19

Kobierzyce pod Wrocławiem

Życie, przestrzeń równoległe. W jednej pokarm wkładany do ust, zimna woda, która obmywa twarz o poranku. Minuty, godziny, ciemno, jasno, jasno, ciemno... A w drugiej, tej w naszej głowie, pragnienia. Wyobrażenie oczu, które nas prawdziwie widzą, uszu, które nas prawdziwie słyszą, człowieka w człowieku.

Jeszcze niedawno Tarik starał się o wizy dla siebie i Jasminy (specjalnie w tym celu musieli jechać do Zagrzebia). Potem kilka dni podróżował autobusem, czuł ostry zapach niemytych ciał, słyszał przyspieszone oddechy współpasażerów, gdy przekraczali granicę, i oddech ulgi, kiedy znaleźli się na terenach, na których ludzie nie pamiętali, co to wojna. Jednocześnie malował w głowie obrazy. Widział zachwyt w oczach swojej dziewczyny, kiedy przed nią stanie. Czuł jej ręce oplecione wokół jego szyi. Niemal widział, niemal czuł.

Teraz jednak przestrzeń skurczyła się do jednej, nieprzyjemnie rzeczywistej. Tarik wstawał rano z łóżka, mył się i szedł do pracy w podwrocławskiej przychodni dla zwierząt „Pod Kopytem”. Jego włosy pachniały oborą, a na dłoniach pojawiły się odciski. I tak cieszył się, że życzliwi Polacy dali mu pracę, choć nie skończył jeszcze studiów na weterynarii, i miejsce do spania – skromne mieszkanko z kolorową makatką na ścianie, mieszczące się w niewielkiej przybudówce koło budynku lecznicy.

Z szefem Tarik porozumiewał się, póki co, po łacinie, jak się okazało bardziej przydatnej niż z zacięciem wkuwany w szkole niemiecki. Chłopak był na każde zawołanie weterynarza, który nie dosyć, że miał już swoje lata, to na dodatek kulał. Poturbował go kiedyś narowisty ogier, a zrobił to tak nieszczęśliwie, że mężczyzna doznał skomplikowanego złamania kości udowej, która mimo operacji źle się zrosła. Tarik wyręczał go więc we wszystkich cięższych pracach, odbierał porody, sterylizował duże zwierzęta, za co gospodarz odpłacał mu życzliwością i... mizerną pensją, bo na inną nie było go stać. Tarik i tak był mu za wszystko wdzięczny. Z chęcią zajmował czymś ręce i głowę, by nie myśleć o tym, że wyprawa do Polski, której tak bardzo pragnął, okazała się nie najlepszym pomysłem.

Nie potrafił zapomnieć niemilego wyrazu zdziwienia na twarzy swojej dziewczyny, gdy stanął w progu jej pokoju we wrocławskim akademiku. Wystarczył mu jeden grymas Hasiby, przelotny cień na jej ustach, by odgadnąć, że nie jest wyczekiwany gościem. Gdzie się podziała jego zwiewna mostarska miłość, jego dziewczyna pełna ciepła i wrażliwości, której oczy zawsze tak pięknie się skrzyły na jego widok?

– Tarik? Skąd się tu wzięłeś? – patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Przechodziłem i wpadłem – próbował żartować. Zabolalo go to, że Hasiba nie rzuciła mu się na szyję, jednak jeszcze bardziej zaskoczył go fakt, że i on nie czuł na jej widok ekscytacji, której się spodziewał. Tak jakby czas, który minął od ich ostatniego spotkania, stworzył między nimi przepaść. – Dostałem twój adres od Sary. Napisałem do niej, do Paryża...

– A potem wsiadłeś w pociąg i przyjechałeś do Polski, tak po prostu? – nadal nie mogła uwierzyć.

Stała w progu pokoju ubrana w ciekawą bluzkę, podkreślającą jej zgrabny, choć niezbyt wielki biust, i plisowaną spódnicę przed kolana. W domu nigdy nie przykrywała głowy chustą, ale cały ten ubiór wydał mu się nie w jej stylu. Włosy miała spięte w kucyk, a na jej policzki wystąpiły wypieki, pewnie z powodu dobrej zabawy, którą jej przerwał. Jej usta były mocno czerwone, wprost stworzone do całowania, ale Tarik nawet ich nie musnął, jakby wcale ich nie znał.

Zza drzwi dochodziły odgłosy imprezy, śmiechy i okrzyki po angielsku. W jednej chwili zrozumiał, że Hasiba odnalazła tu swoje miejsce, że wciągnęło ją wesołe studenckie życie w tym kraju w środkowej Europie, w którym on był całkiem obcy. Zapamiętał zimny seledyn farby, którą pokryte były ściany hallu akademika, i to, że nie potrafił zrobić kroku nawet wtedy, gdy z pewnym ociąganiem zaprosiła go do środka. Może instynkt wyostrzony w ostatnich miesiącach, jak u czujnego zwierza, podpowiadał mu, że nie powinien wkraczać na jej teren, bo czasem lepiej się wycofać, by ocalić choć trochę złudzeń.

– No wchodź, przecież nie będziesz tak stał – powiedziała. – Zaparzę kawę, a potem pomyślimy, gdzie cię ulokować. Nie będzie łatwo, ale może... Gdzieś na waleta – próbowała znaleźć rozwiązanie, jednak czuł, że jest dla niej kłopotem. Wkroczył w jej poukładany świat, w którym tak szybko umościła sobie gniazdko.

– Nie chciałbym ci przeszkadzać. Sara dała mi namiar do kogoś, kto może mi pomóc urządzić się w Polsce. To weterynarz, znajomy jej znajomego – powiedział, zdejmując za progiem buty.

– Tutaj nie trzeba – zganiła go wzrokiem.

Mimo to został w skarpetach, mocno przetartych. Nie miał zamiaru porzucać swoich obyczajów, na pewno nie tak prędko.

– Słuchajcie, to jest Tarik, mój... – przedstawiła go po angielsku kilku osobom siedzącym na wąskim tapczanie i na drewnianych krzesłach wokół ławy, na której rozłożone były karty, stały butelki z piwem i miseczki z chipsami.

– Przyjaciel z Mostaru – wiedział, że słowo „chłopak” nie chce jej przejść przez gardło, więc dokończył za nią. O dziwo, nawet go to nie zraniło.

– Cześć, stary. Miło cię poznać – wysoki blondyn o intensywnie niebieskich oczach wyciągnął do niego rękę. – Eryk jestem. Studiujemy z Hasibą na jednym roku i też troszkę się lubimy... – posłał dziewczynie zalotny uśmiech i złapał ją za rękę. Sprawnym ruchem przyciągnął ją do siebie i usadził sobie na kolanach.

Tarik zauważył popłoch w oczach Hasiby, ale było już za późno. Wszystko zrozumiał. A więc tak wyglądało „Będę na ciebie czekać”... Poczul w ustach gorycz.

Inni też się z nim witali, coś do niego mówili, klepali go po plecach, pytali o sytuację w Bośni, jednak ta scena rozgrywała się jakby obok niego. Miał wrażenie, że ogląda ją przez szybę.

– Wiecie co? W sumie to ja będę leciał. Wpadłem tylko, żeby się przywitać z Hasibą, ale widzę, że jesteście zajęci... – wskazał na karty na stoliku.

– Spoko, zaraz skończymy. Gdzie się spieszysz? Napij się z nami piwa – niski chłopak ze śmiesznymi loczkami zamiast grzywki podał mu plastikowy kubek, do którego nalał lecha.

Tarik był spragniony i głodny. Jechał całą noc niewygodnym autobusem, potem stopem odwiózł Jasminę do Dusznik i wrócił do Wrocławia. Nie miał w ustach nawet suchej bułki. Odmówił jednak wypicia piwa, bo choć nie był szczególnie religijny, przestrzegał głównych zasad islamu. Wsadził do ust kilka chipsów i zerwał się z krzesła. Nie był w stanie patrzeć dłużej, jak blondyn o aryjskiej urodzie obejmuje w pół Hasibę, jego Hasibę. Kłuło go w oczy jej skrępowanie i wymuszony uśmiech. Czuł się niemal winny, że przez niego dziewczyna znalazła się w niezręcznej sytuacji.

Czego właściwie oczekiwał? Że będzie siedzieć tu jak zakonnica, wypłakiwać za nim oczy i czekać, aż skończy się wojna? Przecież nawet nie miała pewności, czy on żyje. Nie byli po ślubie, nic ich nie łączyło. „Zupełnie nic, tylko dane sobie słowo” – zakpił w duchu.

Czuł jednak, że narasta w nim gniew. Może powinien o nią walczyć? Rzucić się na blondyna, powalić go na ziemię? Odebrać to, co do niego należało? Ale miał dosyć brutalności, nie po to uciekł z ojczyzny, by siać teraz nienawiść. Spojrzał na Hasibę i chłopaka z płową czupryną. Stanowili śmieszny parę – ona, muzułmanka z ciemnymi włosami i on, aryjski chłopiec. Taki właśnie powinien być świat, wymieszany, kolorowy, bez granic! Takie kiedyś było jego życie.

Poczuł ukłucie w sercu i nagle... przyszła mu na myśl Jasmina. Ona nie porzuciła swojej miłości, nie zapomniała o Draganie, choć prawdopodobnie nie ma podstaw, by na niego czekać. Zazdrościł jej wiary, zazdrościł uczucia, które nie przemija. Jasmina była tak czysta, tak godna podziwu!

Jeszcze niedawno był przekonany, że mógłby porzucić przyjaciółkę na chorwackiej wyspie, ucałować ją w czoło i zwyczajnie odejść, lecz w tym pokoju, wypełnionym beztroskim śmiechem, dotarło do niego, jak bardzo połączyły ich wspólne przeżycia. Zrozumiał, że Jasmina stała mu się bliska jak nikt inny wcześniej. Zamiast siedzieć z wesołymi studentami, zapragnął z nią... milczeć.

Pożegnał się więc z Hasibą, na której policzki wystąpiły jeszcze większe pąsy, niż gdy tu przybył, i ruszył w drogę. Dotarł do wsi pod Wrocławiem, odnalazł poleconego mu weterynarza i zatrudnił się u niego. Potrzebował czasu, by uporządkować swoje myśli i życie.

ROZDZIAŁ 20

Kłodzko

Jasminę przerażał brak tlenu i nieprzyjemny zapach, który wypełniał niewielką salę. Jego przyczyną było pewnie to, że szpital na kłodzkim Jurandowie, a właściwie blok A, w którym znajdował się oddział położniczo-ginekologiczny, zbudowano dawno temu, w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, i neogotyckie mury przeszły wilgocią. A może tę przykrą woń wydzielały trzy niedomyte ciała, które leżały na sąsiednich łóżkach?

Dziewczyna szeroko otwartymi ustami próbowała zaczerpnąć powietrza, lecz do płuc dostawały się tylko lepkie drobinki. Wiedziała, że jeśli zaraz czegoś nie zrobi, to wielki gład, jaki przyciskał jej piersi, stanie się ciężki nie do wytrzymania. Wstała więc z metalowego łóżka pomalowanego białą farbą i cicho, by nie zbudzić innych kobiet, podeszła do okna. Miała nadzieję na choćby jeden haust świeżego powietrza. Przykleiła czoło do grubej szyby, by poczuć odrobinę chłodu, ale nawet ona wydawała jej się ciepła.

Okno wychodziło na ładnie utrzymany wewnętrzny ogród i na budynek bliźniaczo podobny do tego, w którym się znajdowała. Pomyślała, że gdyby знаła kogoś po tamtej stronie, to mogliby do siebie puszczać lustrzane zajączki, ale nie miała tu ani znajomych, ani lusterka. Patrzyła przed siebie i wtedy go zobaczyła. Szczur był wielki i obślizgły, miał wyleniałą sierść i kaprawe, przekrwione oczka. W Sarajewie była ich plaga. Szczury czarne, szczury szare wypełzały z każdego kąta, wojenny klimat wyraźnie im sprzyjał. Jasmina nie myślała jednak, że i tu je spotka. Ten osobnik kogoś jej przypominał. Przyglądał jej się z zaciekawieniem, zupełnie jakby właśnie dostarczono do jego hodowli nowy, egzotyczny okaz.

– Nie ściągaj maski, kochana, nie ściągaj... – Usłyszała czyjś zatroskany głos tuż koło siebie.

„Muszę, bo jest brudna” – pomyślała.

Otworzyła oczy.

Leżała w łóżku, a gumki od maski tlenowej poprawiała jej nieznajoma kobieta. W pierwszej chwili zdawało jej się, że to Franciszka, jednak ta była dużo młodsza i miała blond włosy. Poczwała, że głaszcze ją po policzku. Usłyszała jej głos:

*Spotkałem raz Judasza
na podniebnej drodze,
po chmurach szedł wolno*

jak Jezus po wodzie.

– Jakże to, Judaszu,

przechadzasz się niebem?

Czyż piekło nie właściwszym

miejszem jest dla ciebie?

– Za co – rzecze Judasz –

mam ja pokutować,

skoro jam jest sługa

najwierniejszy Boga?

Jam był od narodzin

skazany na zdradę

po to, byście wiecznie

żyli ze swym Panem.

Ja tak, jak sam Jezus,

za lud nasz umarłem.

On na swoim krzyżu,

ja na drzewie czarnym.

„Skąd ona zna ten wiersz?” – zdziwiła się Jasmina. „Przecież to Dragana”. Powiodła wzrokiem od ust umalowanych na wiśniowy kolor, które wypowiadały słowa, do dłoni, które trzymały szary zeszyt z wielką plamą po błocie. „Po sarajewskim błocie” – wzdrygnęła się.

„Czyli jestem po tamtej stronie” – pomyślała dziewczyna. Nawet nie zorientowała się, kiedy Franciszka zdążyła ją przeprowadzić. Myślała, że będzie boleć, a tu nic... A właściwie nie, nadal miała posiniaczoną rękę, prawie czarną od wkłuc igieł, którymi pobierano jej krew, i od wenflonów. I nadal czuła, że jej noga jest spuchnięta jak balon.

– Kim pani jest? – spytała ledwo dosłyszalnym szeptem.

– Jestem mamą Dragana. Mam na imię Katarzyna – wzięła ją za rękę. – Nie mów nic, Jasminko. Przejdziemy przez to razem. Jest już lepiej, antybiotyk zadziałał. Wytłucze te cholerne bakterie w twoim organizmie.

– A gdzie Dragan? – Jasmina nadal nie rozróżniała rzeczywistości od złudzeń.

Miała wrażenie, że przed chwilą słyszała jego głos. Przecież szeptał jej na ucho swój wiersz, ten, który uważał za najlepszy i najbardziej lubił recytować. Bardzo chciała, by powiedział jej jeszcze coś z *Romea i Julii*. Najlepiej ten fragment o słowiku i że ranek nie tak blisko... Chciała czuć jego ciepło. I żeby w końcu przestało boleć.

– Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze, kochanie – kobieta z wiśniowymi ustami powtarzała jak mantrę.

Nie była jej kochaniem, nawet jej nie znała. Chciała, żeby to Dragan głaskał ją po włosach, tak jak kiedyś, gdy pierwszy raz płakała przy nim w ich kryjówce w teatrze. Zbierał wtedy pocałunkami łzy z jej policzków. Teraz też bardzo potrzebowała, by to zrobił. Wokół niej było jednak coraz więcej gwaru. Ktoś krzyczał, że puls dziecka zwalnia, ktoś inny: „Proszę przygotować salę!”. Dotykano jej, przekładano jej bezwładne ciało, gdzieś wieszono. Nad głową migwały świetlówki na białym suficie korytarza. Ach, jakie

piękne to sklepienie! Wszystko takie czysto białe jak zwiewna koszula Franciszki.

Jasmina była pewna, że to właśnie ona pcha jej łóżko. Biegnie drobnym krokiem, jakby haftowała koronkę. Koronkę? Może więc jest przy niej ciotka Draženka? A może jeszcze inna siostra, bo... Wszystko się splatało jak warkocz.

Czarne włosy rozrzucone na poduszce po akcie miłosnego uniesienia, ciemne oczy pełne miłości, tęsknoty, tajemnicy. I błysk stali tuż przy niej, przy kosmyku, kosa, skalpel... Miłość i śmierć podróżują pod rękę.

I nagle mocne światło na nią, na jej brzuch. Aha... Więc znów stała na scenie. Oświetlona reflektorami kłaniała się nisko. Bis okazał się konieczny. Zresztą lubiła bisować. Może już po raz ostatni?

A potem był krzyk... I pierwszy płacz, bo od tego zaczyna się życie. Mały człowiek nie wita świata śmiechem, lecz łzami, jakby w głowie wyświetlał mu się film. I Auschwitz, i Hiroszima, i Sarajewo, i wszystko, co ma się jeszcze zdarzyć...

Belgrad

– Ma pani swój news! Pacjent z „trójki” się wybudził! – Olja usłyszała w telefonie zadowolony głos profesora Klimowa.

Stała w malutkim przedpokoju między kuchenką a wieszakiem na płaszcze ze słuchawką telefonu w ręku i nie mogła wydobyć z siebie głosu. Czekwała na tę chwilę od dawna, modliła się o nią, a gdy nadeszła, nie potrafiła rozpoznać swoich emocji. Radość w jej sercu, wprost dziecięca, szalona, mieszała się ze strachem, a nawet... rozczarowaniem.

Przez ostatnie dni codziennie siadywała przy łóżku przyjaciela w ośrodku „Powrót” i opowiadała mu o dawnych czasach. O tym, jak głośno się śmiali, przemierzając ulice Bašćaršiji i zaglądając do małych sklepików z miedzianymi tygielkami, tacami i ręcznie robioną biżuterią, o smaku najlepszego w Sarajewie burka wypiekanego na oczach gości w tradycyjny sposób ispod sača^[48] i o zapachu kawy czarnej jak oczy diabła. Przypominała mu, jaki kolor mają wzgórza wokół miasta, gdy jesienią złocą się liście, i jak wygląda masyw Igman przykryty śnieżną pierzyną. Opowiadała o głosach muezinów, które wieczorną porą unoszą się nad doliną niczym śpiewy orientalnych ptaków i o zapachu kadzideł w Soborze Najświętszej Bogurodzicy. Chciała jeszcze wspomnieć o głębokiej barwie Neretwy przypominającej kocie oczy, kuszącej chłodem tych, którzy zapatrzą się w nią podczas spaceru po mostarskim moście, ale głos uwiązł jej w gardle z żalu, że tego mostu już nie ma. Miała w końcu ochotę napomknąć o szalonych pływaczach na lodowisku w hali Zetra, gdyż bardzo lubiła jeździć na łyżwach, ale zrezygnowała, gdy przypominała sobie, że z desek trybun robi się teraz trumny, a stadion treningowy koło hali zamieniono w cmentarz^[49].

Gdzie się podziały dawne szczęśliwe chwile, to uczucie beztroski i ten wiatr we włosach? Dokąd zagnało ich szaleństwo wojny i co z nich zrobiło? On leżał nieruchomo jak mumia, nie wiedząc, co się wokół niego dzieje, ona, choć co wieczór kładła się do łóżka, a co rano

z niego wstawiała, niewiele się w gruncie rzeczy od niego różniła. W nocy wolałaby się nawet z nim zamienić...

Czasem w środzku snu otwierała oczy i z przerażeniem stwierdzała, że nie jest sama. I nie chodziło bynajmniej o jej brata, chrapiącego miarowo na drugim łóżku, lecz o postaci, które nagle pojawiały się obok niej. Spacerowały za jej oknem, choć mieszkała na drugim piętrze, siadywały w kącie pokoju, a czasem nawet na brzegu jej kanapy... Zastanawiała się, dlaczego nic nie mówią, tylko wymownie na nią patrzą. Jakby chciały przekazać jej jakąś wiadomość.

Najczęściej przychodził brodaty mężczyzna z bladym dzieckiem na ręku, czasem dołączała do nich kobieta z pomarszczoną twarzą. Najbardziej jednak Olja nie lubiła wizyt psa. Nie wiedziała, czy jest groźny, nie wyglądał jednak na oswojonego. Był podobny do Šarka, bezpańskiego herszta psiej bandy, która grasowała swego czasu w okolicy jej domu na Mije Kovačevicia, jednak obficie ciekła mu ślina z pyska. Zupełnie jak głodnym psom w Sarajewie... A szczególnie rottweilerowi jej sąsiada. Z muzułmaninem Halidem Pasoviciem nigdy nie darzyli się sympatią. Zawsze miał o coś pretensje do jej rodziny, nawet jeszcze przed wojną. A to, że ich stary płot za bardzo pochyla się na stronę jego posesji, a to, że olcha, która rosła pod ich domem, zabiera mu za dużo światła albo że ich kot lubi gonić gołębie po podwórzu, a on ptaki traktował lepiej od swych dzieci. Nie podobało mu się, że ojciec Olji dobrze zarabiał i należał do kierownictwa fabryki Drina i że nawet gdy zaczęły się już walki, niczego im nie brakowało. Nie mógł znieść, że matka dziewczyny chodziła czasem do cerkwi, że Olja zawsze radziła sobie w szkole lepiej od jego synów...

Czy tamtego dnia krępy mężczyzna specjalnie zostawił uchyloną furtkę...? Jedno było pewne, nie kwapił się, by złapać swojego pupila, wyszkolonego do tropienia wrogów. Olja nie była w stanie zapomnieć bieli ostrych kłów przy swojej twarzy, gdy pies powalił ją na ziemię. Ani zimnych oczu sąsiada, które patrzyły na nią zza płotu. Z satysfakcją, z zachwytem?

Gdyby nie młodszy z Pasoviciów, chłopak z jej dawnej klasy, który właśnie wracał z miasta, pewnie byłoby po niej, bo pies został nauczony zabijania, a krew z jej zranionego ramienia już mu pachniała. Syn Halida chwycił go jednak silną ręką za obrozę i odciągnął od ofiary. Myślała, że jest ocalona, lecz wtedy chłopak zaśmiał się i zawołał:

– Pokaż piersi, to pozwolę ci odejść.

Olja powoli zebrała się z ziemi, obolała, ciągle w panice. Odruchowo skrzyżowała ręce na biuście.

– No dalej, na co czekasz? – Pasović wyszczerzył zęby niczym jego rottweiler, który cały czas próbował się wyrwać, rozjuszony faktem, że ktoś przerwał mu walkę.

Dziewczyna z niedowierzaniem spojrzała na dawnego kolegę. Świeciły mu się oczy, jakby dopadł długo tropioną zwierzynę. Po jego twarzy z niewielkim zarostem błąkał się kpiący uśmiech. Widać, świetnie się bawił. Zza płotu słychać było rozochoczone oddechy jego ojca, który co pewien czas pokrzykiwał, by dodatkowo podjudzić syna do działania.

Olja rozejrzała się wokół, ale na podwórzu przy jej domu, gdzie rozgrywała się scena, nie było nikogo poza nimi. Matka gotowała kolację w piwnicy, ojciec siedział w fabryce, brat u swojej dziewczyny. Znikąd ratunku. Okolicę spowijał powoli wieczorny mrok, a nad

miastem słycać było pomruki wybuchów.

– Rozbieraj się, czetnikuszo! Bo jak nie, to... – chłopak udał, że rozluźnia palce na obroży psa, któremu ciekła ślina z pyska.

Olji zadrżały usta. Łzy spływały po jej umazanych błotem policzkach, choć z całych sił próbowała je powstrzymać. Powoli, bardzo powoli zaczęła rozpinać guziki, które pozostały przy rozerwanej koszuli. Były małe, a palce takie nieporadne... Palił ją wstyd, jakiego nigdy wcześniej nie czuła. To właśnie wtedy znenawidziła psy i... mężczyzn.

– Odejdź, nic dla ciebie nie mam! – krzyknęła do brunatnego Šarka.

Nie była już w Sarajewie. Leżała w łóżku w swoim belgradzkim mieszkaniu, a księżyc zaglądał przez okno. Pies-zjawa wlepił w nią wielkie ślepie, jakby nie wiedział, o co chodzi. Po jakimś czasie, zupełnie bez powodu, podkulił ogon i zniknął... w ścianie. I wtedy Olję ogarniało jeszcze większe przerażenie, bo zdała sobie sprawę z tego, że wcale nie śni. Więc jak mogła widzieć coś takiego?

Może właśnie przez tę swoją odmienność tak dobrze czuła się w towarzystwie chłopaka, który jedną nogą był na tamtym świecie? Dwoje dziwaków! Pasowali do siebie. Poza tym on jeden nie mógł jej skrzywdzić...

– Jest pan pewien, że Dragan się wybudził? – spytała w końcu.

– Dragan? To pani zna jego personalia? Z tego, co wiem, trafił do nas z nieczytelnymi dokumentami.

– E... Tak go sobie tylko nazwałam. Nie chciałam, żeby był bezimienny – wyjaśniła szybko.

– Rozumiem. A więc potwierdzam, pani ulubiony pacjent wrócił do świata żywych. To oczywiście nie znaczy, że dziś jeszcze usiądzie na łóżku i utnie sobie z panią pogawędkę. To tak nie działa. Powrót do pełnej sprawności odbywa się stopniowo. Trzeba się uzbroić w cierpliwość, bardzo dużo cierpliwości. Jednak, tak czy inaczej, odnieśliśmy sukces. Zresztą... Może lepiej, żeby pani do nas przyjechała. Wtedy o wszystkim porozmawiamy. Ustalimy strategię dla mediów – usłyszała stanowczość w jego głosie.

„Dla mediów?” – przestraszyła się. No tak, sama to wymyśliła. Była przedstawicielką banku i miała teraz za zadanie rozślawić jego imię jako darczyńcy placówki, tak samo, jak i nowoczesnego ośrodka medycznego na Dedinju. Złożyła obietnicę. A teraz stała się ofiarą własnego sukcesu? Jeśli telewizja pokaże twarz Dragana...

Snęła w jego towarzystwie barwne opowieści w nadziei, że przywróci przyjaciela do życia, a teraz gdy naprawdę odzyskał świadomość, miała mętlik w głowie. Do tej pory Dragan należał tylko do niej, był jej dobrze ukrytym skarbem, jej tajemnicą. Czasem, gdy się kimś zajmujemy, troszczymy o niego niczym o nieporadne dziecko, rodzi się więź niemal fizyczna, niewidzialna pępowina.

Czy się nie bała, że na zawsze pozostanie warzywem? Oczywiście, że tak, wierzyła jednak w medycynę i w profesora Klimowa, który już niejednego pacjenta przywrócił do życia. Poza tym Olja nie potrafiła sobie wyobrazić, że jej wizyty w ośrodku mogłyby się skończyć. W tym rozedrganym, szalonym świecie potrzebowała stałego punktu odniesienia.

A teraz będzie musiała zadzwonić do jego matki... W jakimś zeszycie ze szkolenia, które prowadziła kiedyś w Warszawie, miała zapisany jej numer. Zresztą Dragan i tak pewnie będzie chciał zaraz gnać do swojej Jasminy, choć w Bośni nadal toczą się walki. Miał

świra na punkcie tej dziewczyny. A że odznaczał się walecznym sercem i gorącą głową, to pewnie nic go nie powstrzyma.

Więc to już koniec. Zostaną jej wyłącznie wspomnienia. I te dawne, z imprezy w jego sarajewskim domu, gdy prawie udało jej się go uwieść, i te z ostatnich dni, gdy mogła do woli napawać się widokiem jego twarzy. Napawać? – złapała się za głowę. – Przecież to było chore!

– Dobrze, zaraz będę – odpowiedziała lekarzowi.

Zastanawiała się, czego jej nie powiedział. Chciała jak najszybciej znaleźć się w ośrodku „Powrót”, by zobaczyć swojego chłopaka (tak w myślach nazywała pacjenta spod „trójki”) i znów odzyskać kontrolę nad sytuacją. Olja lubiła mieć kontrolę.

W taksówce zdążyła przeczesać blond włosy i podkreślić czarną kreską oczy. Nie stroniła od mocnego makijażu, jak zresztą większość dziewcząt mieszkających w Belgradzie. Dobrze, że nie miała dziś pod oczami sińców z niewyspania, jak często jej się to zdarzało. Włożyła w usta gumę do żucia, by zamaskować odór papierosów. Paliła od dawna, i to nałogowo, choć mierzził ją zapach tytoniu, a w sarajewskich czasach lubiła uprawiać różnego rodzaju sporty, szczególnie pływanie. Jednak kto w tych czasach nie palił?

Gdy dotarła do budynku ośrodka, nie zatrzymała się pod gabinetem profesora, lecz od razu pognąła do sali, w której leżał Dragan. Była przekonana, że chłopak ucieszy się na jej widok. W końcu zawsze byli sobie bliscy. Wygładziła jeszcze sukienkę i, niewiele myśląc, otworzyła z rozmachem drzwi do jego sali.

– No witaj, przyjacielu! Wyspałeś się nareszcie? – zażartowała od progu.

Przywitała ją jednak cisza. Młody mężczyzna leżał w łóżku tak jak wcześniej i tak jak wcześniej się nie ruszał. Tylko jego skóra zdawała się bardziej różowa. No i oczy! Znów były ciemne jak nocne niebo, tak jak kiedyś. I wodziły za nią.

Olja wyciągnęła w jego stronę ręce i już miała się nachylić, by go ucałować, gdy zobaczyła łzę spływającą po jego policzku. Cierpiał?

Zawisła nad nim w pół gestu. W jego oczach dostrzegła strach przemieszany ze zdziwieniem. Nie odezwał się ani słowem.

– Nie poznajesz mnie, Dragan?

– Proszę wybaczyć, ale nie powinna pani tu wchodzić bez pozwolenia. Dla pacjenta jest za wcześnie na odwiedziny. – Usłyszała za sobą dźwięczny głos profesora. – Chodźmy do mojego pokoju, porozmawiamy. – Złapał ją za łokieć.

Był stanowczy, wiedziała, że musi go posłuchać. Gdy odwracała się od Dragana, dostrzegła jeszcze malującą się na jego twarzy bezradność. Tak jakby całą siłą woli wycężył pamięć.

– Panie profesorze, co się z nim dzieje? – spytała, gdy tylko znaleźli się na korytarzu. – Myślałam, że...

– ... zastanie go pani uśmiechniętego od ucha do ucha, z gazetą w ręku? Że opowie pani, jak się tu znalazł i co mu się śniło? – w jego głosie słychać było ironię. – Uprzedzałem przecież.

– Wiem, jednak miałam nadzieję... – Olja zrobiła nieokreślony ruch ręką.

– Na ogół pacjenci wybudzeni ze śpiączki wcale nie są szczęśliwi. Nie tylko nie rozumieją, gdzie się znaleźli, lecz też sami dla siebie są nowi. Poza tym budzi się w nich

agresja, że ich ciało jest obce, nie chce ich słuchać. Często występuje też u nich amnezja wsteczna.

– No właśnie, tak mi się zdaje, że... – już miała powiedzieć, że martwi się, iż Dragan jej nie rozpoznał, jednak w ostatniej chwili ugryzła się w język. Nie chciała, żeby ich dawna zażyłość wyszła na jaw, bo w świecie biznesu nie jest dobrze łączyć sprawy prywatne ze służbowymi. – Czy to minie? – opadła ciężko na krzesło w gabinecie, do którego wprowadził ją lekarz.

– Już pani tłumaczyłem, w takich przypadkach wszystko jest możliwe i jednocześnie nic nie jest pewne. Pacjent przejdzie w najbliższych tygodniach intensywną rehabilitację. Mamy tu świetny zespół: fizjoterapeutów, masażystów, psychologa, logopedę. Wszyscy będą się starać, jednak efekty zależą przede wszystkim od chłopaka, od jego motywacji. No oczywiście, zakładając, że skala zniszczeń w mózgu nie jest duża. Myślę, że powinniśmy dać mu czas.

– Rozumiem, czyli Dragan... to znaczy pacjent może nigdy nie przypomnieć sobie, gdzie kiedyś mieszkał, kogo znał i... – zawiesiła głos, jakby coś przyszło jej nagle do głowy – kogo kochał?

– Może się tak zdarzyć. Będzie musiał nauczyć się świata od nowa – przytaknął lekarz. – To trochę jak... powtórne narodziny. Jeśli w poprzednim życiu nie był szczęśliwy, to ma farta, a jeśli...

– To może wszystko stracić... – Olja weszła mu w słowo.

– No właśnie. Może za jakiś czas dowiemy się, jak jest w przypadku... Dragana, jak go pani nazywa – uśmiechnął się. – Myślę, że teraz jednak powinniśmy zająć się nagłośnieniem naszego sukcesu. Nie uważa pani?

– A tak, tak – pokiwała z roztargnieniem głową. – Postaram się przygotować na jutro plan działań.

– To jeszcze go pani nie ma? – nie krył rozczarowania.

– Przecież to się stało tak nagle. Kto mógł przewidzieć?

– No jak to, kto? Pani. Sądziłem, że wy, piarowcy, jesteście przygotowani na każdą ewentualność, że jest pani profesjonalistką...

– Właśnie dlatego muszę skonsultować działania z przełożonym. Nie możemy popełnić żadnego błędu – przybrała oficjalny ton. – To jest zbyt duża sprawa. Zresztą, w końcu, co za różnica, czy powiemy, że pacjent wybudził się dzisiaj, czy jutro. Przecież on chyba i tak się nie orientuje w datach, ważne jest, że w ogóle to się stało. I że mamy sukces, przede wszystkim pański – uśmiechnęła się do mężczyzny uroczo.

– W takim razie zdążę jeszcze wybrać się do fryzjera, zanim obskoczą mnie te dziennikarskie sępy. Podstrzygę trochę brodę.

– O, i to jest świetny pomysł! – podchwyciła ochoczo. – Choć i w tej dłuższej świetnie pan wygląda – przymrużyła oczy. Wiedziała, że ten mężczyzna może jej się jeszcze przydać.

– Skoro tak pani uważa... – przejechał dużą dłońią po szpakowatym zaroście. – A może byśmy tak obgadali ten pani plan jutro przy kawie? – złapał przynętę.

– Dobrze. Zaproszę na spotkanie szefa. Tak będzie profesjonalnie – odgryzła mu się za wcześniejszy przytyk.

– Jak pani uważa – natychmiast się usztywnił.

Tego wieczoru Olja nie miała w domu niechcianych gości, sen w żaden sposób nie nadchodził. Cały czas zastanawiała się, jak to możliwe, że Dragan jej nie pamięta. „Gdyby mnie przytrafiło się coś takiego...?” – rozmyślała. Świst bomb, zimno wysysające z człowieka chęć do życia, złośliwe oczy sąsiada, zwierzęca ślina kapiąca na twarz... Wszystko mogłoby zniknąć. Wielka rana w czaszce małej dziewczynki, która stała w kolejce po chleb, urwana kończyna jej matki... Może amnezja to cudowny lek dla wszystkich, którzy przeżyli wojnę, którzy stracili wiarę w ludzi? Może powinni rozdawać ją w pigułkach albo w zastrzykach? Ech, Dragan wygrał los na loterii. Tylko czy wygrali go też jego najbliżsi?

Olja przewertowała stary notatnik z warszawskiego szkolenia i w końcu znalazła to, czego szukała. Złapała za słuchawkę telefonu. Było już po dwudziestej trzeciej, ale trudno, na pewne wiadomości nie ma właściwej pory. Gdyby nie odwołano warsztatów, które za miesiąc miała prowadzić w banku Katarzyny w Warszawie, mogłaby wtedy przekazać informację o jej synu. Ale nie jedzie do Polski, więc trzeba to zrobić teraz. Wiedziała, że z każdym dniem będzie jej coraz trudniej zebrać się na odwagę. Bo jak powiedzieć matce, że jej dziecko stało się innym człowiekiem, że może nigdy jej nie rozpozna?

Dziewczyna nie była szczęśliwa, że właśnie ona musi to zrobić. Zapaliła papierosa i mocno się nim zaciągnęła. Pragnęła ukryć się w dymnej zasłonie, żeby choć trochę odwlec niechcianą chwilę. Sygnał w telefonie już jednak dzwięczał. Pip, pip... Było za późno, by się wycofać.

[48] Sač – specjalne naczynie, w którym jedzenie (m.in. pitę, burek czy mięso) przygotowuje się na palenisku, pod przykryciem przysypanym żarem.

[49] Piszą o tym Anna i Mateusz Mikołajczykowie na swojej stronie: www.naszebalkany.pl.

ROZDZIAŁ 21

Duszniki-Zdrój

- Halo, słucham. – Ostry sygnał telefonu wyrwał Katarzynę ze snu.
- Kasiu, przepraszam, że tak późno, ale mam dla ciebie wieści.
- Coś z małym? Niedobrze, tak? – kobieta nie rozpoznała głosu w słuchawce.
- Tak, chodzi o twojego syna.
- Chyba o wnuka? – nie rozumiała.

W jej głosie słychać było troskę. Położyła się do łóżka z myślą, że jej maleńki wnuk, który dopiero co przyszedł na świat, może nie doczekać rana. Urodził się siny, miał problem z samodzielnym oddychaniem. Jasmina też nie była w najlepszej kondycji. Choć zaraz po cesarskim cięciu wykonano jej zabieg udrażniający zwężone naczynie krwionośne w nodze i przywracający prawidłowe krążenie, a antybiotyk okazał się trafiony, nadal była bardzo słaba. Telefon nie był jednak ze szpitala.

- Właśnie dostałem wieści od człowieka z ekipy Mazowieckiego – rzekł mężczyzna.

Dopiero wtedy Katarzyna rozpoznała w nim znajomego z agencji public relations. Przypomniało jej się, że po przyjeździe do Dusznik wykonała kilka telefonów – właśnie do Karola, podając mu numer swojej mamy, oraz do szefowej, prosząc ją o przedłużenie urlopu. Wolne wzięła zaraz po tym, jak dowiedziała się o zdradzie Edwarda. Myślała, że będzie z tym problem, jednak przełożona, zazwyczaj pracoholiczka, wykazała się zaskakującą wyrozumiałością i zgodziła się na jej dłuższą nieobecność. Pewnie dlatego, że sama była po przejściach i niedawno się rozwiodła.

- I czego się dowiedziałeś? – Katarzyna spytała mężczyznę.
- No... Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Nazwisko twojego syna jest na liście... – usłyszała dziwne wibracje w głosie znajomego.
- Jakiej liście? – poczuła, jak ciarki przechodzą jej po plecach.
- Bośniackich Serbów, którzy według najeźdźcy kolaborowali z ONZ-etem i zostali z tego powodu przez nich... straceni – słowa ledwo przechodziły mu przez gardło.
- O czym ty mówisz? – Katarzyna usiadła na łóżku i zapaliła lampkę. Takich wieści nie dało się słuchać w ciemności. W ogóle nie dało się ich słuchać. – Mój syn nie mógł z nikim kolaborować – powiedziała stanowczym tonem.

– Kasiu, ja wiem, że to dla ciebie bardzo trudne, ale przekazuję ci tylko, czego się dowiedziałem – mężczyzna starał się przemawiać spokojnym tonem. – Podobno handlował paliwem. Serbowie wzięli na celownik wszystkich sarajewian z serbskimi korzeniami, którzy kombinowali coś z przeciwną stroną albo z błękitnymi hełmami. Ja wiem, że...

– Niczego nie wiesz. Nie mam zamiaru tego słuchać – Katarzyna podniosła głos. – Naopowiadali ci bzdur. Mój syn jest aktorem, artystą! On by się nie bawił w takie rzeczy. Jaki handel? Jakie paliwo?! – nakręcała się coraz bardziej. Dygotała.

– Słuchaj, to może ja zadzwonię jutro... Bardzo mi przykro, że musiałem... – zaczął się wycofywać. Zrozumiał, że racjonalne argumenty nie przemawiają do Kasi. Ona potrzebowała czasu, by zmierzyć się z usłyszaną informacją. Przynosić ją, okiełznać. Może dopiero wtedy...

– Nie dzwoń, w ogóle już do mnie nie dzwoń. Dziękuję ci, że chciałeś pomóc, ale to jednak nie ma sensu. Ci wszyscy ludzie, którzy posługują się jakimiś listami... Oni nie mają w ogóle pojęcia, oni...

– Kasiu – spróbował raz jeszcze. Chciał to mieć za sobą. – Na tym spisie jest nazwisko Djordjević i adres domu, który mi podałaś, więc nie ma mowy o pomyłce.

– Nie, Karol, to nie może być prawda, po prostu nie może... – drżała na całym ciele. Nie była w stanie dłużej rozmawiać.

Odłożyła słuchawkę, nie potrafiła się ruszyć, jakby nagle cała krew odpłynęła z jej ciała. „A tunel? A zeszyt Dragana?” – łapała się ostatniej deski ratunku. Przecież ten jego przyjaciel twierdził... Może tylko sugerował? Wcale nie był pewien... Już nie wiedziała, w co ma wierzyć. Czarne plamy wirowały jej przed oczami.

Otworzyła szufladę nocnej szafki, wyjęła z niej opakowanie tabletek na uspokojenie. Miała tu ich zapas, ostatnio za dużo się działo, by mogła się bez nich obejść. Drżącymi palcami wyłuskała jedną z pigułek, potem jeszcze jedną. Popiła je wodą ze szklanki, którą zawsze stawiała przy łóżku. To zwykłe kłamstwa, powtórzyła raz jeszcze, choć rozum mówił co innego.

W długiej nocnej koszuli ruszyła przez przedpokój do wyjścia niepewnym krokiem. Drewniane deski pod gołymi stopami kłuły ją w nogi, jakby szła po cierniach. Zawsze jej się zdawało, że są polakierowane, zapastowane na błysk przez jej matkę, skąd więc teraz to wrażenie? Jednak bolało ją całe ciało. Była niemym krzykiem i chodzącą niezgodą. Więc to się musiało tak skończyć? Rodziło się życie, umierało życie?

Wyszła do ogrodu spowitego mrokiem. Wysokie świerki zdawały się szeptać coś między sobą poruszane wiatrem. Niewielka wierzba zwiesiła ramiona, krzaki ostrokrzewu nastroszyły kolce. Katarzyna opadła na kamienne schodki na tarasie i zapatrzyła się w księżyc. Ogród jej dzieciństwa, kiedyś radosny i pełen światła, przemienił się w krainę cieni, które otoczyły ją zewsząd żądne zwierzeń, żądne łez. Ona jednak nie potrafiła nawet płakać.

– Kasienko, zmarzniesz. – Ktoś nagle stanął koło niej.

Marek został w domu Aldony, by być pod ręką, gdyby trzeba było zawieźć przyjaciółkę do szpitala. Gdy z czujnego snu wyrwało go trzaśnięcie drzwiami, pomyślał, że chyba właśnie nadeszła ta chwila. – Co się dzieje? – spytał.

– Marek, ja już dłużej nie mogę... Po prostu tego nie zniosę. Za dużo, wszystkiego za dużo...

Mężczyzna usiadł koło niej i objął ją czule ramieniem. Była taka chłodna, jakby uszło z niej życie.

– Już dobrze, to wszystko minie. Możesz mi wierzyć, przechodziłem przez to – potarł

policzkiem z niewielkim zarostem delikatną skórę jej twarzy. Robił tak kiedyś, gdy byli młodzi. Zawsze to lubiła.

– Ale mój syn...

– Znajdzie się, zobaczysz.

W głosie Marka było tyle wiary... Katarzyna chciała mu wierzyć, choć przez chwilę, przez moment.

– Zabierz mnie do sypialni – poprosiła. – I... bądź przy mnie, całym sobą – czuła, że jeśli zaraz się nie zatraci, nie poczuje czyjejś bliskości, to nie będzie w stanie oddychać.

Mężczyźnie nie trzeba było dwa razy tego powtarzać. Czekał na ten moment, odkąd tylko zobaczył ją na dworcu. Była niedokończoną historią jego życia. Pragnął pocieszyć i ją, i siebie. Wziął ją na ręce, delikatnie, ostrożnie, jak skarb odzyskany po latach.

A potem, w pokoju Kasi, mrok zgęstniał, bezbrzeżny smutek zatopił się w nagłej rozkoszy jak plasterek cytryny w szklance gorzkiego dżinu. Katarzynę oszołomiła rozpacz, Marka nadzieja na miłość. Oddali się sobie zwierzęco, pierwotnie, bo na nic więcej nie było już miejsca w ich życiu. Oboje rozpaczliwie szukali ratunku.

Upojenie było jednak krótkie, cielesne, a ból nie chciał minąć. Ogród za oknem zasnuła gęsta mgła. Po ciemnej nocy nastał jeszcze bardziej samotny poranek.

Katarzyna spojrzała na mężczyznę, który leżał z zamkniętymi oczami wtulony w poduszkę i miarowo oddychał. Wydał jej się całkiem obcy. To nie z nim śmiała się do rozpuku, gdy jej pasierbica zaprosiła do domu chłopaka i przedstawiła go jako męża, choć miała zaledwie kilka lat. Nie z nim czekała przy telefonie jak na szpilkach, gdy jej syn zdawał maturę. To nie on towarzyszył jej, gdy krzyczała z zachwytem, patrząc na Paryż z wieży Eiffla. Nie on w końcu zgubił z nerwów jej but narciarski, gdy zwichnęła nogę na Jahorinie. I to nie on powinien być przy niej teraz, gdy rozpadał się jej świat, wciągając ją w wielką, czarną otchłań. Gdzie jednak byli ci, których naprawdę kochała? Edward, Dragan... Czy obaj mieli odejść w niebyt...?

Duszniki-Zdrój, początek maja 1994

– Dzień dobry, jestem Tarik – chłopak przedstawił się grzecznie po angielsku, a gdy zrozumiał, że starsza pani, która stała za kasą klimatycznej księgarni na rynku w Dusznikach, nie włada tym językiem, powtórzył to samo po niemiecku.

– Witam, w czym mogę panu pomóc? – spytała Aldona.

– Chciałbym zobaczyć się z moją przyjaciółką.

– A jak ja mogę się temu przysłużyć? – uśmiechnęła się łagodnie.

– Chodzi o Jasminę – wyjaśnił.

– Ach, to ty! – Aldona zrozumiała w końcu, z kim ma do czynienia. W pierwszej chwili nie rozpoznała w przystojnym młodzieńcu chłopaka, który kilka tygodni wcześniej przywiózł do niej młodą Chorwatkę. Tamten był wychudzony, potargany, nosił mocno zniszczone ubranie, a ten miał na sobie starannie wyprasowaną białą koszulę, która ładnie kontrastowała z jego czarnymi włosami, i pachniał wodą kolońską. – Ty jesteś...?

– Jej kolegą. Przyjechaliśmy razem z Bośni. Jasmina nic o mnie nie mówiła? – zdziwił się.

– Hm... Ostatnio najczęściej spała – po twarzy Aldony pokrytej zmarszczkami przebiegł cień, który zaniepokoił chłopaka.

– Czy... u niej wszystko dobrze? – zaniepokoił się.

– Może napijesz się herbaty? Usiądziemy, porozmawiamy? – wskazała na jeden z okrągłych stolików, przykryty koronkową serwetą i oświetlony nastrojowym światłem lampy z abażurem o miodowej barwie.

Tarik dopiero teraz dostrzegł, że miejsce, w którym się znalazł, nie jest zwykłą księgarnią. Wśród dębowych regałów, mieniących się kolorowymi obwolutami powieści, tomików wierszy i albumów, pachniało dobrą herbatą i kawą.

– U nas herbatę pije się tylko wtedy, kiedy ktoś jest chory, ale arabeski chętnie skosztuję – wciągnął w nos zapach cynamonu. – Proszę mi tylko najpierw powiedzieć, co z Jasminą...

Aldona nic jednak nie odpowiedziała. Z miną, z której nie można było zbyt wiele wyczytać, stanęła przy zabytkowym ekspresie do kawy. Po chwili z dwiema filiżankami z cienkiej chińskiej porcelany wypełnionymi aromatycznym napojem podeszła do stolika, przy którym usadowił się chłopak. Tego dnia w księgarni był mały ruch, mogła więc pozwolić sobie na chwilę rozmowy.

– Jasmina jest w szpitalu. Jej dziecko też. Było bardzo groźnie, ale już jest lepiej – powiedziała to spokojnym tonem, jednak Tarik wyczuł w jej głosie jakiś smutek.

– A więc się urodziło...? – zabłysły mu oczy.

Może jednak to on jest ojcem? – przemknęło Aldonie przez głowę. Ta myśl ją zabolowała. Pragnęła wierzyć, tak jak i jej córka, że maleństwo jest ich potomkiem, kosmiczną częścią zachowaną dla nich po jej wnuku. Ostatnie dni były niezmiernie ciężkie: zdrada Edwarda, którą Kasia mocno przeżyła, choroba Jasminy, tragiczna wiadomość z Sarajewa... Nagle okazało się, że ich życie jest niczym budowla z piasku, wystarczyło kilka fal i warowny zamek został zmyty z powierzchni ziemi. Tylko narodziny dziecka pozwalały im ocalić choć odrobinę nadziei. Czyżby teraz los chciał im i to odebrać...?

– Tak, to chłopiec, śliczny jak jego matka – powiedziała cicho Aldona.

– Chciałbym ich zobaczyć. Jak dojechać do tego szpitala? – Tarik zerwał się z miejsca.

– Posłuchaj, powiedz mi... Nie wiem, jak cię o to spytać – starsza pani powstrzymała go wzrokiem. – Czy ty i Jasmina...?

– Nie, nie jesteśmy parą, jeśli o to chodzi. Choć muszę przyznać, że... Wiele razem przeszliśmy – odpowiedział trochę niepewnie. W jego oczach zaświeciło się światelko, które często pojawia się we wzroku zakochanych.

Aldona wzdrygnęła się niemiło.

– Bo wiesz, moja córka i ja bardzo chcemy zająć się dziewczyną i małym. To dla nas naprawdę ważne. Kilka dni temu dowiedziałyśmy się, że Dragan... mój wnuk... – nie potrafiła dokończyć.

– A czego chce Jasmina? – język niemiecki nadał jego pytaniu ostrego brzmienia.

Kobieta wiedziała już, że chłopak nie odpuści. Trudno było mu się dziwić, bo Jasmina była wyjątkową dziewczyną. Trochę przypominała ją samą z wczesnej młodości. Miała

w sobie jakiś ogień, siłę, a jednocześnie wrażliwość... Wyczuwała w niej pokrewną, szczerą duszę. Jakże cieszyłaby się, gdyby jej wnuk mógł ją poślubić. Ale on leżał gdzieś w czarnej ziemi... Zakręciła jej się łza w oku.

– Musisz sam ją spytać, jakie ma plany – powiedziała. – My możemy ją tylko w nich wspierać.

– Tak właśnie zrobię – rzekł Tarik.

I dopytawszy o adres szpitala, ruszył w drogę, by zawalczyć o swoją przyszłość.

Kłodzko

Jasmina siedziała na łóżku, oparta o poduszki, i wpatrywała się w dziecko, które z zapalem ssało jej pierś. Nigdy nie widziała piękniejszego chłopca. Delikatne czarne włoski jak miękki mech pokrywały jego główkę. Najcudowniejsze były jednak palce u rąk, takie malutkie, niewinne. „Jak to możliwe, że potem dorosły palec potrafi pociągnąć za spust?” – dziwiła się. Przyglądała się swojemu synkowi z niedowierzaniem i rozczuleniem. Narodziny człowieka zdawały jej się niewyobrażalnym cudem, którego nadal nie była w stanie pojąć. Człowiek w człowieku jak matrioszka w matrioszcze, miłość w miłości. Wiedziała już, że nie istnieje większa niż ta matczyna.

Nazwała go Vuk^[50], bo w pierwszych dniach był słaby i musiał walczyć o życie. Leżał w inkubatorze, oddzielony od niej chłodną szybą, a do jego mikroskopijnych żył sączył się antybiotyk, zabójca bakterii, którą wbrew swojej woli podarowała mu wraz z życiem.

Myślała najpierw o jakimś typowo chorwackim imieniu, na przykład Mario, Damir albo Željko, jednak przypomniało jej się, że Dragan wierzył w moc ochronną imienia Vuk, zdecydowała się więc właśnie na nie. Serbowie żywili przekonanie, że chłopiec, który je nosi, będzie umiał pokonać złe duchy, co więcej, otrzyma ochronę na całe życie. Często traktowano je jak talizman, dawano je w rodzinach, którym wcześniej śmierć potrafiła zabrać dzieci. A Jasmina gotowa była zrobić wszystko, by odgonić od synka złe moce, tak jak kiedyś pragnęła tego dla niej jej matka. Historia lubi się powtarzać.

Pamiętała też, co powiedziała jej ciotka Draženka – imię musi pasować do człowieka jak kapelusz. Patrzyła na twarzączkę chłopca i wiedziała, że on ma na imię Vuk. I kropka. Przystawało do niego idealnie, tak jakby sam je sobie wybrał. I nieważne, co powie jej tata, Pero, gdy w końcu go odnajdzie i przedstawi mu wnuka. Nawet jeśli początkowo obrazi się na nią, że obdarowała syna serbskim imieniem, w końcu zrozumie, iż wilcza moc była niezbędna, by uratować nowo narodzone życie.

Jasmina żałowała jedynie, że nie może podzielić się swoją radością z mamą. Tak dawno jej nie widziała... Zastanawiała się, jak dają sobie radę w Sarajewie, ona i Goca. Słyszała od Katarzyny, że podpisano porozumienie o stworzeniu Federacji Muzułmańsko-Chorwackiej i że kilka krajów powołało Grupę Kontaktową^[51], która ma opracować plan, jak zakończy wojnę, więc może już niedługo zobaczy się z rodziną. Tylko kiedy? No a Dragan? Była bardzo zawiedziona, że nie spotkała go u babci Aldony i że jego polska matka nie ma o nim żadnych wieści. Jednak dzięki wizjom ciotki Draženki wciąż miała

nadzieję, że jej chłopak żyje.

Jasmina często brała w ręce szary zeszyt, który przyniosła jej do szpitala Katarzyna, i czytała wiersze Dragana. Ostatnio wciąż kołatał jej się w głowie jeden z nich, pt. *Przyjęcie*.

*Na wielkiej polanie
Urządza przyjęcie dla wszystkich
Nakrywa niebo białym obrusem
Trawę już dawno uczesał
Anioły Stróże póki co
Bawią się w chowanego
Ma tylko kłopot
Z podaniem adresu*

Wierzyła mocno w to, że Dragan nadal nie zna tego adresu...

W południe, gdy leżała z zamkniętymi oczami i rozmyślała, usłyszała nagle nad sobą znajomy głos.

– Wybacz mi, Jasminko! – koło jej szpitalnego łóżka ni stąd, ni zowąd pojawił się Tarik.

– *Zdravo!*^[52] Jak miło cię widzieć. Co mam ci wybaczyć? Czy to, że o mnie całkiem zapomniałeś? – dziewczyna uśmiechnęła się szeroko do swojego gościa.

Rozejrzała się po sali, czy swoją rozmową nie będą przeszkadzać trzem pacjentkom, które zajmowały pozostałe łóżka, ale dziewczyny wyglądały na zaciekawione przybyciem ciemnookiego chłopaka. Żadna z nich akurat nie karmiła, dzieci przebywały w sali dla noworodków, więc nie miały nic przeciwko jego odwiedzinom.

– Dowiedziałem się, że przeze mnie omal nie straciłaś życia – chłopak usiadł na metalowym taborecie.

– Oj, czy ty nie jesteś przypadkiem zbyt próżny? – zaśmiała się Jasmina. – Nie przypisuj sobie zbyt wielu zasług.

– Przecież to ja namówiłem cię do podróży wtedy, gdy powinnaś była odpoczywać i spokojnie czekać na rozwiązanie. Nie mogę sobie tego wybaczyć. Gdyby coś ci się stało... – powiedział, patrząc na nią z czułością, która ją zaskoczyła.

– Kto wie, może w Chorwacji też bym się rozchorowała... – wzruszyła ramionami. – Tutaj przynajmniej dobrze o mnie zadbali.

– Właśnie, bo widzisz... Ja mam już pracę i lokum, niezbyt wielkie, ale jednak. Więc gdybyś tylko chciała... – patrzył na nią z wyczekiwaniem.

– Jesteś kochany, ale przecież ty masz własne życie, nie musisz się już mną opiekować. I tak dużo zrobiłeś. Poza tym twoja dziewczyna... – Jasminę zdziwiły jego słowa.

– Hm... Żałuję, że cię tu w ogóle ciągnąłem – przygryzł wargę. – Wiesz, czasem człowiekowi coś się uroi, ma jakieś wyobrażenie, a potem...

– Tarik, co się stało? – Jasmina wyczuła, że jest rozżalony. – Coś nie tak z Hasibą?

– Eh, szkoda gadać. Z nami już koniec.

– Nie wierzę! Poznała kogoś? – domyśliła się.

Nie odpowiedział. Wstał i podszedł do dużego okna. Patrzył na zadbany szpitalny ogród,

przycięte równo klomby, zwisające w dół ramiona cyprysika nutkajskiego, jednak zamiast roślin widział niebieskie oczy blondyna, który trzymał na kolanach Hasibę. W Tariku znów wezbrała wściekłość. Czy ten pięknis naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że ona jest zajęta? A może to jemu coś się ubzdurało, może przez wojenne przeżycia pomieszało mu się w głowie, może ta dziewczyna nigdy do niego nie należała? Albo tylko przez chwilę, tam nad Neretwą, w innym życiu? Być może wszystko, co działo się przed wojną, dziś nie miało znaczenia, zostało wykreślone, wymazane, zdeptane wojskowym butem? Teraz mogli trzymać się razem tylko ci, którzy przeszli przez piekło. Pewnie dlatego czuł taką bliskość z Jasminą...

– Bardzo mi przykro. Przejechałeś taki szmat drogi... – przyjaciółka posmutniała.

– Tego akurat nie żałuję – odwrócił twarz w jej stronę.

Znów dostrzegła w jego oczach coś na kształt iskierki czułości. Nie wiedziała, co o tym myśleć, wcześniej tak się nie zachowywał. Ich stosunki były zawsze niemal siostrzano-braterskie, a teraz... Coś się nagle zmieniło. Bardzo lubiła chłopaka, lecz jego zachowanie zaczynało ją krępować.

– A gdzie twój synek? Mógłbym go zobaczyć? – spytał.

– Niedługo powinni przynieść go na karmienie. Chętnie was sobie przedstawię, musisz tylko trochę poczekać – uśmiechnęła się.

– Nie ma sprawy. Mam dziś wolne. A wiesz, że pracuję w przychodni weterynaryjnej „Pod Kopytem”?! Pamiętasz, jak twoja ciotka mówiła, że powinniśmy szukać konia, bo coś jej tętni w głowie?

– Pamiętam! – zaśmiała się. – Myślałam, że ten koń pomoże nam odnaleźć Dragana.

– Czy ja wiem? Póki co jest kopyto i jestem ja. Więc może to jakiś znak? – wyszczerzył zęby i znów przysiadł na taborecie tuż koło jej łóżka.

– Dragan przyjedzie, jak tylko skończy się wojna. Jestem tego pewna. Muszę tylko cierpliwie czekać – przymrużyła oczy. Promienie słońca wpadły przez szpitalne okno i oświetliły łóżko, jakby miały zamiar potwierdzić jej słowa. – Ale wiesz, że odzyskałam zeszyt z jego poezją? I to dzięki twojemu kuzynowi. Przesłał go matce Dragana przez swoją dziewczynę, której udało się wyemigrować do Włoch.

– To Haris ma dziewczynę? O, widzę, że wiele się zmieniło, odkąd się z nim ostatni raz widziałem – zaśmiał się Tarik. – A jak są od niego wieści, to znaczy, że jest cały. I to mnie cieszy najbardziej.

– No właśnie, co za ulga! A jeśli chodzi o ten zbiór poezji Dragana, to myślałam, że już nigdy go nie znajdę, a tu proszę. To też chyba znak.

– A co, zgubiłaś go? – zdziwił się.

– Tak, wypadł mi z kieszeni, gdy nieśli mnie na noszach przez tunel.

– Hm... To faktycznie niezwykle, że do ciebie wrócił.

– Prawda? Jest jednak coś, co mnie martwi. Pani Katarzyna myśli, że to Dragan go zgubił, gdy uciekał z Sarajewa...

– Uła! A nie powinnaś jej powiedzieć, jaka jest prawda?

– Jakoś nie mogę. Bo widzisz... Ludzie są różni. Niektórym wystarczą przecucia, by w coś uwierzyć, tak jak mnie, a inni potrzebują dowodów.

– To prawda – przytaknął. – Czy jednak można oszukiwać kogoś, kto się o nas troszczy?

– Widzisz... Ona i tak jest załamana, więc po co ją dodatkowo smucić? Wolę, żeby wierzyła tak jak ja, że Dragan niedługo się tu zjawi. To będzie dla niej lepsze – odparła.

– A co, jeśli się mylisz? – chłopak spojrzał na nią spod oka.

– Tarik, gdyby Dragan nie żył... Gdyby był po tamtej stronie, to dałby mi jakiś znak. Miał ostatnio ku temu naprawdę dobrą okazję – powiedziała z wiarą.

– Ech, jesteś szalona! – pokręcił głową. Jednocześnie pomyślał, że właśnie dlatego tak bardzo ją lubi.

– Czy ty wiesz, co mi się przytrafiło? Przez jakiś czas było ze mną słabo. No, powiedzmy sobie szczerze, mało brakowało, żebym...

– Nawet tego nie mów!

– Ale ja nie o tym. Byłam pewna, że miałam majaki, widziałam nierzeczywiste obrazy, jednak to nieprawda – świeciły jej się oczy. Cieszyła się, że może rozmawiać z Tarikiem swobodnie, bo współlokatorzy nie znają ich języka. Nie chciała, by ktoś wziął ją za wariatkę. – Była tu u mnie kobieta... Franciszka.

– I co w tym dziwnego? Przecież wiele osób się tu kręci – Tarik wzruszył ramionami.

– Ale ona była... jakby z innego świata. Mówiła mi niesłychane rzeczy, a jednocześnie była całkiem realna.

– To jednak musiało ci się przyśnić – zaśmiał się Tarik. – Jak człowiek ma gorączkę, to...

– Gdybym ją sobie wymyśliła, to skąd przyszłoby mi do głowy akurat takie dziwne imię? Franciszka...?

– No, nie jest ono nasze, to prawda... – chłopak wzruszył ramionami.

– Nie o to chodzi – Jasmina patrzyła mu w oczy. – Wyobraź sobie, że gdy już wyzdrowiałam, jeden z lekarzy powiedział mi, że w tym szpitalu chorymi opiekowały się kiedyś... siostry franciszkanki, a sam budynek nosił imię Świętego Franciszka... – zawiesiła głos. – A ja nie mogłam o tym wiedzieć, bo straciłam przytomność, gdy tylko babcia Aldona mnie tu przywiozła.

– No i co? – nie bardzo rozumiał.

– Jestem pewna, że ta kobieta naprawdę kiedyś żyła, a teraz... W pewien sposób nadal pomaga w tym szpitalu. Jest jakby łącznikiem z tamtym światem... Rozumiesz? – Jasmina poprawiła się na łóżku. Rana po cesarskim cięciu dawała jeszcze o sobie znać. – Więc poprosiłam Franciszkę, żeby sprawdziła, czy Dragan przeszedł na tamtą stronę. A jeśli tak, to żeby mnie do niego zabrała, lecz jak widzisz, nadal tu jestem...

– Hm... Ciekawe – zadumał się. – Jednak możesz chyba czekać na niego razem ze mną, prawda? – dodał po chwili z nadzieją w głosie.

Coraz trudniej było mu pogodzić się z myślą, że mógłby nie dostać od Jasminy szansy.

– A jak ty to sobie wyobrażasz? Że Dragan przyjedzie i znajdzie mnie z dzieckiem w domu innego mężczyzny? Nie, Tarik, muszę czekać u jego rodziny. Tylko takie rozwiązanie jest możliwe. Poza tym chcę, żeby mój synek poznał swojego przyrodniego brata. Bo wiesz, że Dragan ma jeszcze jedno dziecko? Mówiłam ci o tym?

– Coś wspomniałaś.

– Kiedyś myślałam, że nie będę mogła na nie spojrzeć, ale teraz... Uważam, że bracia powinni się poznać – wyjaśniła Jasmina.

– Czyli to już koniec naszej wspólnej drogi? – spytał Tarik wyraźnie zawiedziony. Na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Na to wygląda, mój przyjacielu. Jednak obiecuję, że kiedyś odwiedzę cię pod tym twoim kopytem – zaśmiała się.

– Niewielka to pociecha. Ale cóż...?

„Przecucia przecuciami, a Dragan pewnie od dawna leży pod jakimś kamieniem” – pomyślał. „Z nieba nie jest łatwo dawać znaki, ani z prawosławnego, ani z żadnego innego, a tym bardziej spod ziemi. Jednak jak przekonać o tym Jasminę? Odbieranie jej nadziei byłoby okrutne. Niech więc trochę poczeka, a potem... Wszystko się może zdarzyć” – uśmiechnął się sam do siebie. Nieraz przekonał się już o tym, że w życiu wygrywają cierpliwi.

Póki co, wyraził zachwyt nad noworodkiem, którego przyniesiono Jasminie do karmienia, ucałował dziecko oraz jego matkę i wrócił do swoich koni. Nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Tak jak paciorki przesuwają się na modlitewnym sznurze, tak ziemia musi wielokrotnie okręcić się wokół słońca, by pewne sprawy dojrzały. Wiedział, że każdy dzień, który mija, działa na jego korzyść. Bo czas leczy pamięć i ściąga na ziemię bujających w obłokach.

[50] Vuk – po serbsku „wilk”.

[51] W skład Grupy Kontaktowej wchodziłi przedstawiciele Francji, Niemiec, Rosji, USA i Wielkiej Brytanii.

[52] Po chorwacku „Cześć!”.

ROZDZIAŁ 22

Ziemia Kłodzka, Szczeliniec Wielki, koniec maja 1994

Mówi się, że szewc bez butów chodzi, a własne strony zna się najsłabiej ze wszystkich, jednak te powiedzenia nie dotyczyły Katarzyny. Ona znała każdą skałę na Szczelińcu, każdą ścieżkę na zboczach Orlicy i każdą szczelinę w Błędnym Skałach. Umiała opisać kolory dusznickiej fontanny, która strzelała 45-metrowym słupem wody, i wymienić jednym tchem okazy fauny i flory rezerwatu Torfowisko pod Zieleńcem.

Już jako mała dziewczynka zapuszczała się tam z ojcem, by wytropić cietrzewia, głuszca, a przede wszystkim szlaczkonie cytrynka, niezmiernie rzadki okaz motyla, który był ponoć reliktem epoki lodowcowej. To ostatnie nigdy jej się nie udało, tak jak nie powiodło się odnalezienie samolotu zestrzelonego w czterdziestym piątym nad pobliskim Śnieżnikiem, którym uciekał do Czechosłowacji Karl Hanke, osobisty sekretarz Goebbelsa[53].

Katarzyna jednak się nie poddawała. Zawsze, gdy odwiedzała Duszniki, ruszała na kolejną wyprawę z wiarą, że może kiedyś odkryje to, co nieodkryte. Miała do swoich stron prawdziwie patriotyczny stosunek i ciągle gdzieś ją gnało po okolicy. A po tym, co ostatnio wydarzyło się w jej życiu, już całkiem nie potrafiła usiedzieć na miejscu.

Tego dnia wczesnym rankiem, by wyprzedzić turystów, wspięła się po ponad sześciuset schodach na Szczeliniec Wielki. Ta góra była dla niej szczególna, bo jednym z jej przodków był Franciszek Pabel[54], pierwszy przewodnik po tym szczycie, który swoje stanowisko otrzymał od pruskiego króla Fryderyka Wilhelma III. Opowieść o zasługach sołtysa Karłowa, a jednocześnie właściciela pierwszej gospody pod Szczelińcem, była przekazywana w rodzinie Kasi z pokolenia na pokolenie, bo Franciszek był w niej pierwszą osobą, która dzięki miłości do gór i ciężkiej pracy wybiła się na szczyty, przynajmniej lokalne.

Być może to właśnie postać antenata sprawiała, że Szczeliniec przyciągał Katarzynę jak magnes, niczym czarodziejska góra, której można się zwierzyć. Jego moc odczuwała zapewne nie tylko ona, bo bywali tu przed nią naprawdę wybitni ludzie, tacy jak Johann Wolfgang Goethe czy John Quincy Adams[55]. Inni, jak Fryderyk Chopin, bardzo chcieli ją odwiedzić, lecz ze względów zdrowotnych nie mieli na to szansy. Bywało, że widoki z tarasów oglądano przez kolorowe szkiełka, a przewodnik strzelał na szczycie z pistoletu na wiwat, by zaprezentować turystom, jak niezwykle niesie się tu echo. Ech, działa się, działało na tej malowniczej górze!

Tego dnia jednak dla Katarzyny nie miało to żadnego znaczenia. Stała nieopodal

schroniska „Szwajcarka” na platformie, pod którą rozpościerało się zapierające dech w piersi urwisko. Mogłaby się cieszyć widokiem, a myślała tylko o tym, by potoczyć się w dół niczym kamień. Nie miała już syna, nie miała męża, przed kłamstwem uciekła w kłamstwo, przed niewiernością w niewierność. Zastawiła na siebie pułapkę, z której nie widziała wyjścia.

Nawet Marek nie mógł być dla niej ratunkiem. Nie chciała go ranić, lecz nie umiała zwodzić go dłużej i udawać, że jest przed nimi wspólna przyszłość. Dawna zażyłość nie potrafiła się odrodzić, a uczucie, które przez chwilę się między nimi zatliło, było wyłącznie złudzeniem, aktem rozpacz.

Poprzedniego dnia Kasia podsłuchiwała przez przypadek, jak jej matka rozmawia przez telefon z Edwardem. Tłumaczyła mu, że jego żona nie zamierza na razie wracać do domu, że wysłała do pracy zwolnienie lekarskie, bo jest w kiepskim stanie... Po co w ogóle mu to mówiła? Wiedziała, że jej mąż dzwonił już kilka razy wcześniej, chciał z nią rozmawiać, ale ona nie miała na to ochoty. Przecież jego i tak nic już nie interesowało, miał swoje sprawy! Swoje nocne biegi! I niech tak zostanie.

Teraz do tych wszystkich zmartwień doszło jeszcze jedno. Odebrała ze szpitala Jasminę i wnuka, co akurat było szczęśliwym zdarzeniem, ale gdy tylko znaleźli się w domu, dziewczynie zebrało się na rozmowę. Oczywiście o Dragana. Katarzyna musiała mocno lawirować, przetykać łzy, bo nie chciała dzielić się z nią tragicznymi informacjami, które dostała niedawno od znajomego. Uznała, że jest na to za wcześnie. Po pierwsze, Jasmina dopiero co doszła do siebie i wciąż była słaba, a po drugie Kasia obawiała się, że gdy powie jej o śmierci Dragana, ona przeprowadzi się do Tarika albo zdecyduje się na rychły powrót w swoje strony.

A na to ostatnie nie mogła pozwolić! Jej słodki mały Vuk nie dostanie się w oko cyklonu. Wojna odebrała jej już ukochaną osobę i Katarzyna nie miała zamiaru składać jej kolejnych ofiar. Udawała więc przed swoim gościem, że wierzy w dobry los swego syna i chce na niego czekać do skutku. Zwłaszcza że przecież był tunel i zeszyt, więc może... Ech, mrzonki!

Gdy zaś rozmowa na temat wspólnego oczekiwania na Dragana dobiegła końca i Kasia myślała już, że będzie mogła odetchnąć, Jasmina spytała znienacka:

– Chciałabym skontaktować się z matką małego Nebojšy. Pomoże mi pani?

Katarzyna w pierwszej chwili nie wiedziała, o kogo jej chodzi. Zapomniała już o intrydze, którą uknuła, by ściągnąć Dragana do Polski, lecz nagle ją olśniło! Sprawa odrodziła się jak feniks z popiołu. Dopadło ją własne kłamstwo.

– Eee, nie wiem, czy to dobry pomysł... – próbowała się wymigać.

– Dlaczego? Myślę, że bracia powinni się poznać. W dzisiejszym świecie, gdy nienawiść tak łatwo zabiera ludziom najbliższych, więzy krwi są bardzo ważne – Jasmina nie zamierzała odpuszczać.

– Hm... To nie będzie takie proste...

– Nie ma pani kontaktu ze swoim wnukiem? – zdziwiła się dziewczyna.

– No, można tak powiedzieć – Katarzyna przygryzła wargę.

Tego tylko brakowało, żeby musiała przyznać się do dawnego kłamstwa. I to teraz, gdy tak bardzo chciała wzbudzić zaufanie w Jasminie i gdy jak sęp krążył wokół nich

czarnowłosa weterynarz! Kolejny, który miał zamiar mieszać w jej życiu. Miała wrażenie, że nagle wszyscy weterynarze świata się przeciw niej sprzysięgli.

– Wiesz, Jasminko, muszę się nad tym zastanowić. Pomyślę, jak to zorganizować – zapewniła dziewczynę.

W pierwszej chwili przyszedł jej do głowy synek Moniki, jednak on miał zbyt ciemną skórę i był za mały, nie mógł odegrać roli Nebojšy. Więc co tu robić? Była załamana. Jeśli dziewczyna się na niej zawiedzie i wróci do Bośni, już nic jej nie zostanie. A i tak podnoszenie się z łóżka przychodziło jej z wielkim trudem. Nie widziała ciała swojego syna, nie dotknęła jego rąk, a jednak do świadomości Katarzyny docierało coraz mocniej, że ukochane dziecko już nigdy nie pojawi się w jej drzwiach.

Wciąż brzęczały jej w uszach słowa znajomego: „Nie ma mowy o pomyłce”. Była bliska tego, by znienawidzić wszystkich mężczyzn świata, i tych, którzy knują zamknięci w swoich gabinetach, i tych, którzy pociągają za spust, i tych, którzy zatapiają twarz między udami kochanki, i nawet synów, którzy nie są na tyle ostrożni, że dają się zabić.

Miała dosyć. Może więc właśnie tu, na Szczelińcu, powinna skończyć się historia Katarzyny Walecznej? Spojrzała w przepaść otwierającą się tuż pod jej nogami. Pionowa wapienna skała wyglądała tak, jakby ktoś ostrym kuchennym nożem odciął jej fragment. Krajobraz rozmywał się w załzawionych oczach kobiety. Wystarczyło się zgiąć, przełożyć ciało przez barierkę... Czasem nie ma innego wyjścia... Zrobiła krok...

– Co ty robisz? Kaśka! – silna dłoń złapała ją za przedramię w ostatniej chwili.

– Edward...? – z niedowierzaniem spojrzała na mężczyznę.

Przyciągnął ją do siebie i zamknął w ramionach. Chciała się uwolnić, lecz nie potrafiła. Miała wrażenie, że kamienne formacje Gór Stołowych zanoszą się śmiechem. Nie potrafiła nawet ze sobą skończyć, ot, tyle była warta!

– Dlaczego mi to zrobiłeś, Edward, dlaczego? – dłońmi zaciśniętymi w pięści uderzała w tors mężczyznę.

– Kasieńko, nie płacz. Przejdziemy przez to razem – mąż głaskał ją po włosach. – Tak mi przykro.

– Tobie jest przykro?

– Że nie byłem przy tobie, gdy dostałaś wiadomość. Twoja matka wszystko mi powiedziała... Zadzwoiła do mnie. Teraz też zdradziła mi, że wybrałaś się na Szczeliniec, gdy zatelefonowałem do niej jeszcze z dworca. Dzięki Bogu szybko cię znalazłem – szeptał jej do ucha. – Próbowałem już wcześniej się z tobą skontaktować, chociaż byłem na ciebie wściekły. Wyjechałaś tak bez żadnej wiadomości, jakbym się w ogóle nie liczył...

– Przecież to ty... Ty mnie zostawiłeś... – podniosła głowę. Patrzyła na niego oczami, pod którymi rozmazał się tusz. – Ja o wszystkim wiem, Edward.

– O czym ty mówisz? – odsunął ją delikatnie od siebie, by się jej lepiej przyjrzeć.

– O dziewczynie w fartuchu z kotkami... – trudno jej było mówić. – To takie żenujące.

– O Magdzie? – domyślił się. – Tej z przychodni Belfra?

Stali na jednej z najpiękniejszych gór Polski, patrzyli na błękitne niebo z firanką chmur, złociste pola w oddali, bujne lasy, małe miasteczka z dzwonicami kościołów, a Katarzyna miała wrażenie, że wszystko się rozplywa. Wiedziała, że Edward zaraz potwierdzi jej domysły i to będzie koniec. Zejdzie z tej góry jako kobieta samotna i przegrana.

– Tak, o tej twojej żalostnej lekarce od zwierząt... – wyszeptała. – Choć właściwie to ja jestem żalostna.

– Kasienko, chodź, musimy spokojnie porozmawiać. Usiądźmy – Edward wskazał krzesła ustawione na platformie widokowej wokół niewielkich drewnianych stolików.

– Zostaw mnie. Nie mam ochoty na ciebie patrzeć – wyrwała dłoń spomiędzy jego palców.

– Kaśka! Czy ty naprawdę myślałaś...? – wyraźnie się zdenerwował. – Siadaj, wszystko ci wyjaśnię – podsunął jej krzesło.

W jego głosie była stanowczość, która kazała Katarzynie zrobić to, o co prosił. Mimo wczesnej pory i delikatnego wiatru było ciepło. Pierwsi turyści dotarli już na szczyt i kręcili się w pobliżu, ona jednak nie zwracała na nich uwagi.

– Tak, znam weterynarz Magdę Zalewską. Tak, chodziłem do niej z naszym Belfrem – Edward zaczął, jakby był na przesłuchaniu.

Wiedział, że jak jego żona coś sobie ubzdura, niełatwo wybić jej to z głowy. Żal było na nią patrzeć, rozumiał, że jest całkowicie rozbita z powodu śmierci syna. Tylko dlaczego chciała wyżyć się na nim?

– Wiem, widziałam zdjęcie – świdrowała go wzrokiem.

– Poznałem ją, gdy potrąciłem Belfra... Spodobała mi się, to prawda... Miała w sobie tyle empatii, a ty...

– Co ja, Edward? – Katarzynie znów zamglily się oczy.

– Byłaś wiecznie zajęta sobą, ciągle skrzywiona, smutna... Mówiłaś tylko o Draganie, jakby nikt inny już się dla ciebie nie liczył...

– No i widzisz, co się z nim stało – zaszlochała.

– Wiem, Kasiu, bardzo cię przepraszam – zrobiło mu się głupio. – Ale wtedy... Potrzebowałem odrobiny zainteresowania, zwłaszcza że wiesz, mam już swoje lata... To nie jest tak, że oglądają się za mną wszystkie babki. Więc kiedy Magda...

– Edward, ja nie mogę tego słuchać – Katarzyna uniosła się na krzesło. Próbowwała wstać. Łzy spływały jej po twarzy razem z tuszem. Nie chciała, by na nią patrzył.

– Poczekaj! Wysłuchaj mnie, proszę – przytrzymał ją za rękę. – Zaprosiłem ją na kawę. Nie chciała się zgodzić, wymigiwała się, że jest lekarką Belfra i nie może...

– A ty niby odpuściłeś? – prychnęła ironicznie.

– No... nie, coś mnie do niej ciągnęło, to prawda. Widywaliśmy się dość często, bo przecież pies był po wypadku. I była między nami życzliwość, myślałem nawet, że chemia...

– Wiedziałam! – Katarzyna zakryła twarz rękami.

– Ale potem... Przy którejś wizycie sama spytała, czy wezmę ją na tę kawę. Tak jakby nagle zaczęło jej zależeć. Muszę przyznać, że to było miłe, polechtało moje ego, no i potrzebowałem się przed kimś wygadać, a ona naprawdę umiała słuchać... – na chwilę się zamyślił. – Jednak gdy już siedzieliśmy w kawiarni, przeszła od razu do rzeczy.

– Do rzeczy?

– Daj mi skończyć. Przecież nie tak, jak myślisz – zachnął się. – Spytała po prostu, czy jej pomogę? A miała w uśmiechu coś takiego, jakąś taką nieśmiałość... Więc mówię jej, że jasne! A ona, że w sumie się słabo znamy, jednak wzbudziłem jej zaufanie, więc chciałaby

mnie prosić, żebym... został jej mężczyzną.

– Ma dziewczyna tupet! – Katarzyna pokręciła głową.

– Myślę sobie, nieźle się zaczyna, ale takie są chyba współczesne kobiety, szybkie i zdecydowane. Więc próbuję wziąć ją za rękę... No tak, próbowałem – Edward zrobił skruszoną minę. – Lecz wtedy... Magda dziwnie się usztywniła, jakbym zrobił coś nie tak. Po chwili bąknęła, że źle ją zrozumiałem, bo ona, owszem, chciałaby, żebym był jej facetem, ale tylko tak na pokaz, żeby mogła... mówić o mnie w pracy.

– Jakaś pokręcona!

– Hm... Też się zdziwiłem, zrobiło mi się trochę głupio. A ona na to, że nie miała nic złego na myśli, bo naprawdę mnie polubiła, i na dodatek pracuję w telewizji i interesuję się sportem, a ona też to lubi. A ja tak zajmująco umiem opowiadać... Tylko że ona... woli kobiety.

– Że co?

– No właśnie. A potem jeszcze się okazało, że partnerka Magdy pracuje w tej samej przychodni, co ona, i że jest córką właściciela, i dlatego muszą się ukrywać. Powiedziała, że jeśli jej nie pomogę, to straci i dziewczynę, i pracę. No więc, sama rozumiesz...

– No, ciekawa historia, ciekawa... Tylko jedno się w niej nie klei... – Katarzyna spojrzała na męża spod oka.

– Co takiego?

– A to, że zabrałeś panią doktor na żuźla i zamieszkaliście razem w hotelu. Pewnie też dla niepoznaki! – prychnęła Katarzyna, która nie była pewna, czy może mężowi wierzyć.

– Kasiu, ja w ogóle nie byłem w Bydgoszczy. Miałem jechać, to prawda, ale w końcu wysłałem tam Mirka. Wybłagał mnie, żebym mu oddał to zlecenie, bo jest wielkim fanem Golloba.

– Jak to? Przecież wyjechałeś z domu – wzruszyła ramionami.

– Tak, ale byłem w Sanoku, obejrzeć tor lodowy Błonie, a potem w Lublinie. Tam jest niepełnowymiarowy, ale za to był pierwszy w kraju. Bo widzisz, w Polsce jest bardzo mało sztucznie mrożonych torów, a przecież nasze łyżwiarstwo ma potencjał... – Edward wpadł w dziennikarski ton. – Zresztą, poczekaj! – zaczął macać się po kieszeniach. W końcu w jednej z nich odnalazł portfel i wyciągnął z niego zgiętą na czworo kartkę. Rozłożył ją i podsunął Kasi pod oczy. – Spójrz, to jest rachunek za hotel, jeszcze nie zdążyłem go oddać do rozliczenia.

Katarzyna rzuciła okiem na dokument i mimowolnie się uśmiechnęła. Faktycznie, jak wół stała na nim nazwa hotelu w Sanoku. Poczowała, że nagle zaczęło jej się robić lżej na sercu.

– A czy ty wiesz, że korzenie łyżwiarstwa sięgają czasów prehistorycznych? – Edward zaczął się rozpędzać, jak zawsze, gdy wchodził na swoje ulubione sportowe tematy. – Wyobraź sobie, że na wykopaliskach koło Biskupina znaleziono łyżwy wykonane z kości zwierzęcych. Ale w Polsce prawie nie ma dobrych lodowisk. I właśnie dlatego musimy...

– Dobrze już, dobrze – poklepała męża po ręce. – Wiem, że łyżwiarstwo to twój konik.

Nie chciała o nic więcej pytać, ani o materiał, który nakręcił, ani o... Anię Rechnio, zresztą teraz chodziło chyba o łyżwiarstwo szybkie. Miała już dosyć piruetów z nogą w górze we własnej głowie. Patrzyła w mądre oczy swojego męża, na zmarszczki wokół

nich i bruzdy na czole, które starał się przykryć przydługą grzywką, na mocno gestykulujące dłonie z wyraźnie uwypuklonymi żyłami... I chciała już tylko jednego, żeby ją przytulił. I jeszcze coś! Żeby odpuścił jej grzechy i żeby sama potrafiła je sobie odpuścić. Jednak wiedziała, że to niemożliwe. Bo zdarzenia pewnej duszniczej nocy zostały zapisane w jej pamięci i już na zawsze miały tam pozostać.

[53] Szczątki tego samolotu zostały odnalezione w okolicach Zieleńca przez dwóch jego mieszkańców dopiero w 2007 roku.

[54] Postać historyczna, Franciszek Pabel żył na przełomie XVIII i XIX wieku.

[55] Prezydent Stanów Zjednoczonych.

ROZDZIAŁ 23

Belgrad, czerwiec – sierpień 1994

– *U pičku materinu!* – powrót Dragana do rzeczywistości zaczął się od mocnych słów.

Chłopak nie wiedział, dlaczego na dzień dobry przyszło mu do głowy przekleństwo, jednak wystrzeliło w nim niczym fajerwerki na sylwestra. Podobno nawet krzyczał, ale tego nie pamiętał. Zresztą jego pamięć przypominała wielki czarny tunel. Zagłębiał się w nią jak ślepiec z wyciągniętymi przed siebie rękoma, ale nie odnajdywał niczego, co potrafiłby rozpoznać. Żadnych kształtów, żadnych imion, twarzy. Wczoraj nie istniało, było tylko dzisiaj... i bezradność. Czuł się jak przybysz znikąd, bez historii, bez tożsamości, uwięziony we własnym ciele, które nie chciało go słuchać.

Najpierw tylko leżał, potem posadzono go na fotelu przy łóżku. Próbował usiąść sam, niestety jego ciało nie pamiętało, co robić. Dragan zdawał sobie sprawę, że nie zawsze był niedołączny i ta świadomość go dobijała. Po co go wybudzono? Czy po to zwrócono mu życie, by patrzył na własną marność i nie potrafił przypomnieć sobie, jak się trzyma w ręku łyżkę?

Jego ręce były przykurczone i mocno zaciśnięte w pięści, krtań i usta nie umiały ze sobą współpracować, by poprawnie formułować zdania. Dziewczyna, która często do niego zaglądała, poprosiła kiedyś, żeby się uśmiechnął, a on... nie potrafił.

Gdy coś mu się udawało, na przykład gdy wraz z lekarzami odkrył, że zna litery i był w stanie wskazywać je na specjalnej tabliczce, tak że układały się w słowa, wpadał w euforię, zaczynał wierzyć, że jeszcze może być przed nim przyszłość. Gdy zaś nie robił postępów, popadał w czarną rozpacz. Leżał wtedy na łóżku ze wzrokiem utkwionym w sufit i liczył smugi światła. Cyfry, o dziwo, pamiętał.

Odwiedziny dziewczyny z mocno umalowanymi rzęsami były jedynym jasnym punktem w ciągu dnia, który oprócz tego składał się głównie z potu towarzyszącego rehabilitacji. Dragan nie rozumiał, dlaczego cieszy go tak bardzo widok osoby, która odwiedza go w ramach swojej pracy, jednak gdy przy nim stawała, miał niejasne wrażenie, że odzyskuje odrobinę przeszłości. Z dna pamięci jak dym unosiły się kolory, melodie, zapachy... W Olji było coś, co wzbudzało w nim tęsknotę za czymś dawnym, utraconym... Ciągle wierzył, że nie na zawsze.

Zdawało mu się, że gdy jeszcze spał, snuła opowieści o miejscach przesyconych barwami, radością i ciepłem, które kiedyś należały także do niego, teraz jednak ani razu o nich nie wspomniała, więc uznał, że to przywidzenia. Nie był też pewien, czy nie powinien czekać na kogoś innego, kto kiedyś był mu bliski. Przecież mógł mieć żonę, a nawet dzieci...

Może gdzieś, w jakimś mieście, ktoś za nim tęsknił? Może on powinien za kims tęsknić?

Czasem, gdy zamykał oczy, pod powiekami na sekundę pojawiała się kobieca postać, coś do niego wołała, o coś go prosiła, lecz była jak senna zjawa i nie potrafił jej usłyszeć. Jej rysy były nieostre, choć jednocześnie bliskie. Bardzo chciał im się przyjrzeć, lecz znikwały jak kręgi na wodzie, chwilę po tym, gdy wrzuci się w nią kamień. Dragan się wściekał, przeklinał w duchu i siebie, i tę dziewczynę, która nie chciała wyłonić się z zakamarków pamięci. Prosił lekarzy o pigułki, zastrzyki, o pomoc w odnalezieniu drogi do samego siebie. Chciał, by czytano mu gazety, by zdawano relacje o tym, co dzieje się na zewnątrz, by mógł z zasłyszanych szczegółów jak z małych puzzli stworzyć układankę własnej przeszłości, lecz wszystko zdało się na nic. I ostatecznie znów... wypatrywał Olji.

Ona była realna, żywa, była tu i teraz, i kipiała energią, której tak bardzo potrzebował. Robił więc wszystko, by jak najmniej ją do siebie zniechęcić, choć w jego obecnym stanie nie było to proste.

Bał się, że pewnego dnia znudzą jej się wizyty w klinice, a drzwi jego pokoju będą się otwierać wyłącznie pod naporem ciężkiej ręki fizjoterapeuty lub same, targane wiatrem. Bo po co taka dziewczyna miałaby tracić czas na spotkania z człowiekiem bez historii i pewnie bez przyszłości, który nie rozpoznawał nawet własnej twarzy w lustrze?

Niedawno, gdy weszła do jego pokoju odziana w krótką spódniczkę i zafalowała biodrami, Dragan uchwycił łakomy wzrok barczystego sanitariusza, który właśnie wyjmował spod jego kołdry kaczkę z moczem. Był w tym wzroku zachwyty obłością bioder dziewczyny, ale też zdziwienie, że taka riba^[56] odwiedza chłopaka, który być może nigdy nie stanie się na powrót mężczyzną. Dragana nie zaskoczyła ta reakcja, codziennie nachodziły go podobne refleksje.

Olja zaś szybko przywykła do ułomności chłopaka. Czasem miała wrażenie, że właśnie taki, nieporadny, jest jej bliższy niż kiedyś, gdy był królem życia i brylował w damskim towarzystwie. W sarajewskich czasach należał do osób, którym wszystko się udawało, był gwiazdą. Wygadany, pewny siebie, jak magnes przyciągał innych, pragnących ogrzać się w jego blasku lub też zwyczajnie zauroczonych jego nietuzinkową osobowością. Jednak wzbudzał też zazdrość, od której i ona nie była wolna.

Dobrze pamiętała, jakie uczucia targały nią, gdy słyszała o kolejnych artystycznych sukcesach Dragana i Jasminy, szczególnie Jasminy... Choć Olja przyjaźniła się z obojgiem, podziwiała ich talent, to jednak mały, nieznośny czerw zawiści podgryzał ją od środka.

A już najbardziej zabolalo ją odrzucenie, którego doświadczyła kiedyś u Dragana w domu. Długo się wahała, czy wyznać przyjacielowi, co do niego czuje, lecz mocny alkohol, który wypila na jego imprezie, znakomicie dodał jej animuszu. Wyrzuciła więc z siebie, jak jest dla niej ważny i że z chęcią zostanie u niego na noc, a on... odesłał ją do domu. Kilka tygodni wcześniej uratowała mu życie, na własnych barkach wyciągnęła z Neretwy, lecz mimo to wołał Jasmine. „Ta przeklęta Chorwatka zawsze ze mną wygrywa! Dlaczego?” – myślała wtedy rozgoryczona.

Teraz, w Belgradzie, miała Dragana na wyłączność. I choć wiedziała, że prawdziwe życie toczy się gdzieś tam, za progiem ośrodka „Powrót”, przy automacie do napojów, głównym miejscu rodzenia się plotek w jej banku, pod koniem^[57] na Placu Republiki,

gdzie spotykali się młodzi, na deptaku Kneza Mihaila, to zamiast spotkać się z drużstwem[58], wolała gnać do centrum medycznego dla uchodźców. Dawny przyjaciel był nieporadny jak dziecko, ale bardziej ludzki niż wielu jej belgradzkich kolegów.

Poza tym mogła kształtować go na swoją modłę, podług własnej wyobraźni jak rzeźbiarz, który ma przed sobą nieociosany jeszcze kamień. I chociaż obawiała się, czy starczy jej wytrwałości, by podołać temu zadaniu, postanowiła zaryzykować.

Miała wrażenie, że bierze udział w jakiejś ważnej misji, w eksperymencie, który stanowi terapię także dla niej samej. Przy Draganie zaczynała doceniać każdą sekundę życia, każdy prosty gest, który w przeciwieństwie do chłopaka ona potrafiła wykonać bez trudu. Zauważyła, że odkąd skupia się na motywowaniu przyjaciela do walki o zdrowie, sama śpi dużo spokojniej, a dziwni nocni goście odwiedzają ją rzadziej. Nie pierwszy raz sprawdziła się zasada, że najlepszym lekiem na własne problemy jest pomoc innemu człowiekowi.

Dodatkowo wsparcie ośrodka „Powrót” przez jej bank okazało się strzałem w dziesiątkę. Wskaźniki dotyczące pozytywnego postrzegania marki pięknie podskoczyły, coraz więcej klientów deklarowało zadowolenie z usług jej firmy, a szef docenił Olję premią, niewielką bo niewielką, ale jednak. Do wytężonej pracy związanej z promowaniem centrum medycznego i banku jako jego patrona nie zniechęciła jej nawet podsłuchana przypadkowo rozmowa.

Pewnego dnia dziewczyna weszła do sekretariatu prezesa, by odebrać ważny dokument, a że chwilowo nie było w nim sekretarki, usiadła, by na nią zaczekać. Nie zauważyła, że drzwi do gabinetu są na w pół otwarte.

– Bardzo się cieszę, że pan prezes jest zadowolony z moich działań – do uszu Olji doleciały słowa Dušana, jej szefa.

– Tak, tak, szczególnie cieszę mnie efekty ostatniego projektu. Ten chłopak wybudzony ze śpiączki... Jego twarz w mediach przyniosła nam sporo rozgłosu. To był taki nietypowy pomysł, ale muszę przyznać, że śmiały i kreatywny – rzekł prezes, mężczyzna w średnim wieku, znany wśród pracowników przede wszystkim z upodobania do drogich, włoskich garniturów. – Kto właściwie jest jego autorem? – spytał po chwili.

Olja bezwiednie wyprostowała się na krześle i wyprężyła pierś. Rzadko miała okazję słyszeć miłe słowa o swojej pracy i to z ust najważniejszej osoby w banku.

– Nieskromnie przyznam, że to był mój pomysł. – Uśmiech na jej twarzy szybko zgasił odpowiedź Dušana.

– A, to szkoda. Myślałem, że będziemy mogli nagrodzić kogoś z pańskiego zespołu – zagrzmiał tubalnym głosem prezes. – Wie pan, na najbliższym posiedzeniu zarządu będą obecni nasi doradcy, dobrze byłoby więc pokazać, że cenimy naszych ludzi. Ale przecież nie damy dyplomu dyrektorowi... To nie byłoby dobrze przyjęte.

Olja miała wrażenie, że słyszy, jak z jej szefa uchodzi powietrze. „Dobrze mu tak” – pomyślała. Musiała się pilnować, by nie wybuchnąć śmiechem, gdy omal nie potknął się o jej krzesło, wychodząc z gabinetu ze złością w oczach.

– Co ty tu robisz? – parsknął. – Nie siedź tak, do roboty!

Poszła więc i kontynuowała swoje spotkania z doktorem Klimowem, dziennikarzami i ulubionym pacjentem. Z tym ostatnim odbywała ich coraz więcej. I może to właśnie jej dobra energia, a może zapach belgradzkiego lata sprawiły, że rehabilitacja zaczęła

przynosić rezultaty. W lipcu dłonie Dragana odzyskały częściowo sprawność, a pod koniec sierpnia jego usta wypowiedziały pierwsze zrozumiałe słowa. Lekarze wprost nie mogli się nadziwić szybkiej poprawie stanu zdrowia pacjenta.

Jesień też nie była ponura, ale pełna nadziei. „Evo, mimoze! Evo, mimoze!”^[59] – wołały na belgradzkich ulicach przekupki, wymachując gałązkami delikatnych kwiatów pełnych słońca. Olja i Dragan czuli, że wszystko idzie ku lepszemu. I tylko pamięć nie chciała powrócić.

^[56] Riba – po serbsku, w slangu młodzieżowym, „laska”, „ładna dziewczyna”.

^[57] Pod koniem – w tym kontekście pod pomnikiem Kneza Mihaila na koniu.

^[58] Društvo – po serbsku „towarzystwo”.

^[59] Po serbsku „Oto mimoza! Oto mimoza!”.

ROZDZIAŁ 24

Warszawa, wrzesień 1994

Nadzieja jest słodka, za to kłamstwo ma krótkie nogi. Wkrótce miała przekonać się o tym Katarzyna. Po powrocie do Warszawy namówiła Edwarda, by wynajęli niewielką kawalerkę Za Żelazną Bramą, dwa bloki dalej od własnego mieszkania, i ściągnęli do niej Jasminę wraz z Vukiem. Mąż nie był na początku przekonany do tego pomysłu, twierdząc, że dziecku i młodej matce będzie dużo lepiej w Dusznikach, które szczycą się źródlaną wodą i świeżym powietrzem, niż w pełnej spalin stolicy, jednak Kasia się uparła, że chce mieć wnuka blisko siebie. Argumentowała, że pomimo intensywnej zawodowej pracy zdoła czasem odciążyć dziewczynę w opiece nad dzieckiem, że Jasmina znajdzie tu więcej młodych mam, z którymi będzie mogła się zaprzyjaźnić, a jak dziecko podrośnie, łatwiej jej będzie zacząć się w jakimś teatrze lub u Edwarda w telewizji.

Zawsze popierała aktorską pasję swojego syna, chciała więc wspierać w artystycznych pragnieniach także jego ukochaną. Kobiety często rozmawiały o sarajewskim spektaklu *Romeo i Julia*, w którym dziewczyna grała u boku Dragana, i Katarzyna dostrzegała, jak bardzo świeciły się wtedy Jasminie oczy. Wiedziała, że tęskni nie tylko za swoim scenicznym partnerem, ale także za zapachem kotar i skrzypieniem teatralnych desek. Rozumiała ją doskonale. Choć jej własne kabaretowe występy należały do zamierzchłej przeszłości, nieraz wyobrażała sobie, że znów staje przed mikrofonem. Jej samej kariera artystki nie była dana, ale miała pewność, że dziewczyna prędzej czy później zapragnie wrócić do swojego zawodu. Bo kto raz złapał aktorskiego bakcyła, ten nigdy się go nie pozbędzie.

Dlatego Kasia roztoczyła przed Jasminą wizję, że pozna ją w Warszawie z właściwymi ludźmi. Co prawda, знаła jedynie Monikę, której niedawno udało się zagrać u Pasikowskiego w jego najnowszym filmie *Psy 2: Ostatnia krew*, ale tego już nie dopowiedziała.

Chorwatka była pochłonięta rolą matki i nie marzyła jeszcze o graniu, ale i tak dała się ściągnąć do Warszawy. Uważała, że to właśnie przy Kasi powinna czekać na Dragana, bo gdzież miałby on przyjechać, jeśli nie tutaj?

Zamykała oczy i wyobrażała sobie, że za ścianą jedzie winda, mozolnie wspina się na piętnaste piętro, a potem jej drzwi otwierają się z metalicznym trzaskiem i nagle na progu staje on, jak niespodziewany gość wigilijną porą, dla którego przy stole zawsze czeka miejsce.

W obcym mieście nie było łatwo jej się odnaleźć. Państwo Waleczni otoczyli ją troskliwą

opieką, nie musiała się martwić ani o dach nad głową, ani o to, co włoży do garnka, ani o pieluchy dla niemowlęcia, lecz mimo to ciągle chodziła smutna, zamyślona i tęsknie spoglądała w stronę południa. Tam, hen, daleko, było jej Sarajewo, jej świat pełen znajomych kolorów, smaków i zapachów, dziś przysypany kurzem gruzów. Była tam też jej rodzina – matka wrażliwa i dobra, ojciec, czasem choleryk, który jednak kochał ją nad życie (drżała na myśl, że nadal może przebywać w serbskiej niewoli), brat nieco krnąbrny i zgorzkniały, o czym już prawie zapomniała, i Goca, serdeczna dziewczyna, której wojna poplątała w głowie. Jakże chciała ich zobaczyć, przedstawić im swojego syna, usiąść z nimi przy jednym stole. I żeby było tak, jak kiedyś, zwyczajnie.

Bo życzliwość obcych ludzi nigdy nie wydaje się tak bezbrzeżna, jak miłość najbliższej rodziny, a krajobrazy w obcych stronach tak piękne, jak te za oknem własnego domu.

Jasmina cały czas wsłuchiwała się w wieści z Bałkanów podawane przez media, lecz te niestety nie napawały optymizmem. Po chwilowej poprawie sytuacji, gdy wydawało się już, że działania międzynarodowej Grupy Kontaktowej przyniosą sposób na rozwiązanie bratobójczego konfliktu, los znów pokazał Bośniakom wielką figę. W lipcu propozycja Grupy została odrzucona przez bośniackich Serbów, a we wrześniu znów doszło do ostrych walk. Zmaltretowany kraj mógł więc tylko czekać, aż politycy odnajdą w sercach okrucieństwo (a to była raczej złudna nadzieja) lub też pójdą po rozum do głowy i w końcu uświadomią sobie, że wojna to gra przegranych.

Czasami Jasminie zdawało się, że ktoś za nią idzie... Skrada się albo, wręcz przeciwnie, stawia ciężkie, niemal wojskowe kroki. Słyszała jego oddech za plecami, odwracała się z duszą na ramieniu, a tam... nikogo nie było.

Raz zdarzyło się, że, idąc do sklepu po zakupy, zamyślona wpadła na chudego mężczyznę, podniosła do góry oczy i zamarła. Miał na czole dużą szramę. Odwróciła się jak poparzona, biegła, potracając przechodniów, ślizgała się na mokrych od niedawnego deszczu liściach. Dopiero gdy schowała się w zacienionej bramie, gdy przykleiła do ściany, udało jej się wyrównać oddech. Zamknęła oczy. Przypomniała sobie twarz nieznanego, skupiła na jego rysach. Nie był nawet podobny do jej serbskiego oprawcy, Ivana Katicia. Demony mieszkały w jej głowie.

Azylem Jasminy stał się niewielki warszawski obszar zieleni – Ogród Saski. Nie miał zbyt wiele wspólnego z jej ukochanym parkiem Vrelo Bosne rozciągającym się na obrzeżach Sarajewa, a jednak bardzo lubiła tu przychodzić z Vukiem. Gdy stąpała zwirową ścieżką, w jej głowie niczym ulubiony film przewijały się obrazki z okolic Ilidży: wspaniała, ponad trzykilometrowa aleja wysadzana platanami i kasztanowcami, srebrne strumienie mieniące się w słońcu (raj dla pstrągów), mosty i mosteczki zawieszane nad wodnymi wstęgami oraz wszechobecne łabędzie i kaczki.

Nad zielonkawym stawem w Ogródzie Saskim też była ich cała gromada. Jasmina nieraz zastanawiała się, czy któryś z ptaków nie przyleciał przypadkiem z jej stron i nie ma dla niej wieści? Uważnie wsłuchiwała się w ptasie rozmowy, jednak kończyło się to zawsze tym samym – jeszcze większą tęsknotą.

Tego dnia jednak szła przez Ogród Saski wśród kasztanów i złocistych liści wyprostowana, z podniesioną głową. W nocy dobrze spała, Vuk budził ją tylko trzy razy. Teraz też drzemał w wózku na dużych, wygodnych kołach. Świeciło piękne słońce, więc

Jasmina miała zamiar wystawić do niego twarz i choć chwilę się zrelaksować. W okolicy niewielkiego placu zabaw zaczęła rozglądać się za wolną ławką. Jej wzrok padł na jedną z nich w oddali. Widziała ją nieco od tyłu, pod pewnym kątem, a jednak w szpakowatym mężczyźnie, który na niej siedział, bez trudu rozpoznała Edwarda.

Lubiła męża Katarzyny, bo potrafił z prawdziwą swadą opowiadać o swoich zagranicznych wjazdach, a ona podziwiała każdego, kto miał jakąś pasję.

Już miała do niego podejść, gdy nagle zatrzymała się w pół kroku. Dopiero teraz dostrzegła, że obok mężczyzny siedzi młoda dziewczyna i przemiło się do niego uśmiecha. On był wyraźnie pochłonięty rozmową, a ze sposobu, w jaki na nią patrzył, Jasmina odczytała, że ładna kobieta nie jest mu obca. „Czyżby potajemna randka?” – przeszło jej przez głowę.

Chciała ominąć parę szerokim łukiem, gdy do jej uszu doleciały słowa rozmowy. Mężczyzna mówił do kobiety w swoim ojczystym języku, którego Jasmina dopiero się uczyła, jednak jakaś zbitka liter, a może wewnętrzny głos sprawiły, że zdecydowała się do niego podejść.

– Dzień dobry, panie Edwardzie – rzekła po angielsku.

– O, Jasmina! Jak miło cię widzieć – ku jej zaskoczeniu nie wydawał się skrępowany. – Siadaj z nami! A w ogóle to się poznajcie: Jasmina, dziewczyna Dragana, i Monika, córka przyjaciółki Kasi, zdolna aktorka – przedstawił sobie dziewczyny, które uważnie omiotły się wzrokiem.

– Monika...? – w oczach Jasminy pojawił się dziwny błysk.

Córka przyjaciółki, aktorka... i jeszcze ten wózek z dzieckiem, którego wcześniej Jasmina nie zauważyła, a który stał tuż obok... Wszystko się zgadzało! Od wielu miesięcy bardzo chciała ją poznać, a jednak nagle wróciły dawne emocje: zaskoczenie, gorycz. Przypomniały jej się spłoszone oczy Dragana, gdy jej wyznał, że ma dziecko w Polsce.

– Cześć! – wyciągnęła jednak do blondynki rękę. – Dragan sporo mi o tobie opowiadał.

– Naprawdę? – ucieszyła się Monika. – To miłe. Tak dawno go nie widziałam... A bardzo się kiedyś lubiliśmy.

– Hm... Więc to musi być pewnie mały Neboj...

– To mój Aleksander! – Monika wpadła Jasminie w słowo i aby lepiej zaprezentować syna, podniosła do góry daszek przeciwsłoneczny wózka, który dotychczas zasłaniał twarz dziecka.

– Ale...? – Jasmina chciała powtórzyć imię chłopczyka, jednak nagle uderzyła ją w oczy jego nietypowa uroda. – Ma bardzo ładny kolor... buczków – bąknęła.

Nagle dotarło do niej, że coś tu się nie zgadza. Ktoś ją chyba oszukał! Tylko kto? Dragan miał syna w Polsce, ale nie z Moniką? Tylko po co by jej zmyślał...? A może ta cała Monika wmówiła mu, że jest ojcem dziecka, choć wcale tak nie było? Jasmina spojrzała spod oka na dziewczynę. Ta jednak życzliwie się do niej uśmiechała, nie wyglądała na krętaczkę. Pozory potrafią mylić. No właśnie, pozory...

Jasminę nagle olśniło. Był jeszcze ktoś, kto bardzo nie chciał, żeby spotkały się z Moniką, ktoś, komu mogło zależeć, by Dragan wierzył, że ma w Polsce dziecko... Wiedziała już, że czeka ją dzisiaj poważna rozmowa.

Kobierzyce pod Wrocławiem

Był późny wieczór, niebo za oknem całkiem pociemniało, jakby miała nadejść burza. Po wyjątkowo ciężkim dniu pracy, zakończonym odbiorem skomplikowanego porodu cielaka, który w łonie matki ułożył się nieprawidłowo, Tarik zamierzał pójść wcześniej spać. Zdjął już koszulę, gdy nagle usłyszał pukanie do drzwi niewielkiego mieszkania, które zajmował na parterze przybudówki przychodni „Pod Kopytem”.

„Cholera! Tylko nie kolejna krowa. Dzisiaj już niech się nie ciela!” – zaklął w duchu i powlókł się do drzwi. Na progu stała dziewczyna w jasnobieżowym płaszczu i zamszowych półbutach na niewysokich obcasach. W ramionach trzymała śpiące niemowlę, a koło niej na ziemi stał dobrze mu znany podróżny worek.

– Jasmina? Co ty tu robisz? – zrobił wielkie oczy.

– Mogę wejść?

– Jasne, zapraszam!

Natychmiast wziął z ziemi bagaż i wprowadził dziewczynę do środka. Rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu, którego skromny, surowy wystrój łagodziło ciepłe światło stojącej w rogu lampy, i podeszła do kanapy przykrytej welurową kapą. Ułożyła na niej delikatnie syna, tak by się nie zbudził, i usiadła obok niego.

– Oszukali mnie, Tarik. Nikomu nie można ufać, nikomu – powiedziała cicho.

Wyglądała na zmęczoną. Miała podkrążone oczy. Jej ciemne włosy były w lekkim nieładzie, ale jak zawsze roztaczała wokół siebie aurę dziewczęcości zabarwionej tajemnicą.

– Co ty mówisz, Jasminko? Kto cię oszukał?

Chłopak wyciągnął rękę po koszulę przewieszoną przez oparcie krzesła i sprawnie, bez rozpinania guzików, wciągnął ją na grzbiet. Nigdy nie czuł się skrępowany nagością przy Jasminie, jednak teraz nie chciał paradować przed nią bez ubrania. Teraz było inaczej. Właściwie było tak już od jakiegoś czasu...

– Wiesz, że Dragan wcale nie ma dziecka? – popatrzyła na niego wielkimi oczami.

W tym spojrzeniu kryło się coś, co sprawiło, że zapragnął ją przytulić.

– Jak to? A co z Vukiem?

– No, nie. Vuk jest jego, wiadomo, ale chodzi mi o tego starszego chłopca, którego rzekomo urodziła mu Monika. Bo właściwie nie urodziła. To znaczy, ona ma syna, ale nie z Draganem.

– Jasmina, nic nie rozumiem. Zacznij może od początku – Tarik opadł na krzesło.

– Ech! – westchnęła ciężko. A następnie opowiedziała mu o szczegółach spisku, który swego czasu uknuła Katarzyna. Tarik przy każdym kolejnym zdaniu kręcił głową z niedowierzaniem.

– I jeszcze uważa, że to ja ją oszukałam – przewróciła oczami – bo nie powiedziałam jej, kto tak naprawdę zgubił zeszyt z wierszami. Ma mi za złe, że niepotrzebnie dałam jej nadzieję.

– A mówiłem ci...

– Tak, tak, ale wiesz, co jest najgorsze? Że Dragan odchodził w Sarajewie od zmysłów, bo nie wiedział, co robić, czy zostać tam ze mną, czy raczej gnać do Polski, do syna? Mało brakowało, a byśmy się rozstali w gniewie, bo trzymał tę wiadomość o dziecku w tajemnicy przede mną, i to dość długo. Jednak jego matka twierdzi, że nic złego nie zrobiła! Oświadczyła mi, że to była wyższa konieczność! Że wymyśliła to, żeby go ratować.

– No co ty?! – oburzył się chłopak.

– I tak sobie myślę, że... może ma rację. Bo gdyby jej się to wtedy udało... Gdyby ściągnęła Dragana do Polski i on byłby tutaj zamiast w Sarajewie, to... – jej usta wygięły się do dołu, jakby miała się zaraz rozplakać.

– To co, Jasminko? – Tarik nie potrafił beczynn timer na to patrzeć. Usiadł koło niej na łóżku i objął ją ramieniem. – Bo on chyba jednak... Ja w to ciągle nie mogę uwierzyć. Ale... Katarzyna dostała wiadomość... – Jasmina wybuchła głośnym szlochem.

Tarik zamknął ją w ramionach. Przytulił do siebie delikatnie, czule, jakby była ze szkła albo z cukrowej waty. Wdychał jej zapach, dotykał policzkiem jej miękkich włosów, całował po rozpalonym czole. Nadeszła chwila, której od dawna pragnął, lecz nie tak ją sobie wyobrażał. Miała być pełna radości, a nie zroszona łzami.

A Jasmina? Czuła się oszukana przez polityków i przez Katarzynę, i nawet przez Dragana. Była na niego wściekła, że jednak ją zostawił. Z żalu i bezradności cała się w środku trzęsa. Nie miała już na nic siły, nawet na to, by kochać.

I wtedy do jej uszu doleciał cichy płacz. Wyplątała się z objęć Tarika i spojrzała na leżącego obok synka. Miał taki sam kolor oczu jak jego ojciec. Intensywnie wpatrzone w nią ciemne źrenice przyzywały ją do życia. Wzięła na ręce niemowlę.

– Mogę u ciebie zostać na trochę? – szepnęła do gospodarza.

– Wyłącznie na całe życie – uśmiechnął się życzliwie.

Serdeczność chłopaka, ciepło, które od niego biło, dodały jej otuchy. I wtedy przemknęło jej przez głowę, że może jeszcze będzie dobrze, nie teraz, nie jutro ani pojutrze, lecz w dalszej przyszłości. Bo życie nie lubi próżni, a przyjaźń jest solidną podwaliną. Pod co? To się dopiero miało okazać.

Warszawa, październik 1994

Ostatnie miesiące należały do najtrudniejszych w życiu Katarzyny. Ciągle nie potrafiła sobie wybaczyć, że nie zrobiła więcej, by ściągnąć Dragana do Polski. Może gdyby pojechała po niego do Sarajewa, przedarła się przez serbski kordon, błagała... Może teraz nie chodziłaby zasnutą mgłą żałoby.

Gdyby chociaż mogła opiekować się małym Vukiem... Pragnęła jako babcia naprawić błędy, które popełniła w młodości jako matka, jednak Jasmina wywiozła chłopca na drugi koniec Polski. Katarzyna nie mogła znieść, że dziecko mieszka z obcym mężczyzną w domu pachnącym końskim łajnem. Od incydentu z kobietą w fartuchu w kotki miała prawdziwą awersję do weterynarzy.

Złe emocje, które skumulowały się w niej w ostatnim czasie, nie ułatwiały jej też relacji

z Edwardem. Wciąż była wobec niego podejrzliwa. Zdarzało jej się sprawdzać mężowskie kieszenie i obwąchiwać wieczorem jego koszulę, a gdy prowadził rozmowę przez telefon, nadstawiała czujnie ucha. Najbardziej drażniły ją jednak te momenty, gdy Edward zniknął za drzwiami mieszkania razem z Belfrem. Tłumaczył jej, że uprawia jogging, bo jako mężczyzna w średnim wieku musi dbać o kondycję, lecz za każdym razem czuła niepokój. Nosiła się nawet z zamiarem, by pobiec za mężem i sprawdzić, czy jego trasa przypadkiem nie wiedzie do przychodni weterynaryjnej, jednak pewnego dnia zdarzyła się sytuacja, która rozwiązała jej obawy.

Był pogodny jesienny wieczór, więc wracając po pracy z zakupami do domu, Katarzyna postanowiła przejść przez Ogród Saski ładnie oświetlony latarniami, by w marszu spalić niepotrzebne kalorie, które wchłonęła chwilę wcześniej razem z dużych rozmiarów eklerką. Szła jak zwykle zamyślona, gdy nagle wpadła na Edwarda. W stroju do biegania krążył truchtem wokół dostojnej fontanny, a Belfer tarzał się na trawniku wśród opadłych z drzew liści. No cóż, na złodzieju czapka gore, przez głowę Katarzyny przebiegała autoironiczna konstatacja. Zamieniła z mężem dwa słowa i pospieszyła dalej, bo w telewizji właśnie zaczynał się jej ulubiony serial *Ostry dyżur*. A gdyby zaczekała jeszcze trochę...

Na alejce wiodącej od strony Grobu Nieznanego Żołnierza zastukały obcasy młodej dziewczyny z modną bandaną na głowie *à la* Madonna. Już z daleka machała Edwardowi na powitanie, a po chwili rzuciła mu się w objęcia. Katarzynę niewątpliwie zaskoczyłby fakt, że blondynka ma ze sobą dziecięcy wózek, a w nim małego chłopca... o ciemnej karnacji.

Matka Dragana, zajęta jednak śledzeniem wydarzeń na Bałkanach, nigdy nie miała poznać tej historii.

ROZDZIAŁ 25

Kobierzyce pod Wrocławiem, lipiec 1995

Czasem wydaje nam się, że sięgnęliśmy dna, że bardziej mroczne dni nie mogą już nadejść, a jednak kolejny odpływ porywa nas silną falą coraz dalej od spokojnego lądu. Jesteśmy przekonani, że świat się na nas uwziął, że urodziliśmy się z genem pecha i już nic nie da się z tym zrobić.

A gdybyśmy tak, zamiast walić głową w ścianę, na chwilę zamknęli oczy i przypomnieli sobie, kiedy po raz pierwszy powinęła nam się noga, gdybyśmy wyciągnęli do kogoś rękę na zgodę, albo wybaczyli samemu sobie... Może znaleźlibyśmy rozwiązanie?

Mijały miesiące, a na Bałkanach wciąż toczyła się bratobójcza wojna. Jeszcze przed rokiem wydawało się, że idzie ku lepszemu. Wczesną wiosną dziewięćdziesiątego czwartego Serbowie oblegający Sarajewo zostali zmuszeni pod wpływem międzynarodowych działań do zdeponowania broni w magazynach ONZ. Na pewien czas ucichł więc w mieście świst bomb i snajperskich pocisków, sarajewianie spacerowali po ulicach, dzieci bawiły się w parkach. W ciepłych miesiącach roku poprawiło się zaopatrzenie, spadły ceny żywności, a ludzie zaczęli odzyskiwać nadzieję na lepsze jutro. W czerwcu na ruinach biblioteki narodowej dał koncert José Carreras^[60], a we wrześniu pojawiły się zapowiedzi, że miasto odwiedzi papież Jan Paweł II.

Jednak UNPROFOR nie był w stanie zapewnić Ojcu Świętemu bezpieczeństwa, do wizyty ostatecznie więc nie doszło. Zwłaszcza że jesienią na ulicach Sarajewa znów pojawiły się przeciwsnajperskie barykady, posypał się grad pocisków i ponownie zaczęli ginąć ludzie.

W zimie, gdy spadły temperatury, w całym mieście zaczęło brakować opału, a ceny żywności znów poszybowały w górę. Wojenna karuzela rozkręciła się od nowa i nie wyglądało na to, by szybko miała się zatrzymać.

Katarzyna i Jasmina śledziły doniesienia z Bośni, każda u siebie, choć ponoć smutek lepiej jest dzielić z drugim człowiekiem. Nieraz myślały o tym, by do siebie zadzwonić, jednak żadna z nich nie chciała pierwsza wyciągnąć ręki na zgodę. Aż pewnego dnia...

– Jasmina, słyszałaś?! – Tarik wpadł z rozbieranymi oczami do mieszkania w przybudówce przychodni „Pod Kopytem”.

– Co miałam słyszeć...? – dziewczyna, która siedziała wraz z synkiem na podłodze na środku pokoju, oderwała się od budowania wierzby z klocków.

– Nie wierzę, po prostu nie wierzę! – mężczyzna chodził po pomieszczeniu w tę i z powrotem, jakby napięcie nie pozwoliło mu się ani na chwilę zatrzymać. – Podobno siły

pokoju nie kiwnęły nawet palcem...

– Ale o czym ty mówisz? – zaniepokojona tonem jego głosu wstała z kolan.

– Nie mogę... Nie potrafię...

Jasmina nigdy jeszcze nie widziała Tarika tak roztrzęsionego. To napięcie było zaraźliwe. Wzorki na wytartym tureckim dywanie zaczęły pulsować jej przed oczami.

– Powiesz mi w końcu, co się stało? – stanęła na wprost chłopaka i złapała go za rękę.

– Wymordowali... Tysiące Muzułmanów... Całe tysiące mężczyzn, nawet kilkunastolatków...

– Boże! – Jasmina zakryła ręką usta.

– Serbowie... Napadli na strefę bezpieczeństwa, wyobrażasz to sobie? Zmusili ludzi do ucieczki... Część zagnali do holenderskiego obozu, ale... Zresztą nie wiem. Słyszałem tylko, że oddzielili mężczyzn od kobiet i kobiety gdzieś wywieźli. A potem... zaczęli mordować... – Tarik cedził słowa, jakby nie chciały mu przejść przez gardło. – Na polach, w lasach, przez całe godziny... strzelali w tył głowy albo zaganiali do magazynów, do domu kultury i... granatami... Żeby było szybciej. Aż wybili wszystkich, co do jednego.

– I dzieci?

– Chłopców.

– Mój Boże! Gdzie to było?

– W okolicach Srebrenicy^[61].

– To... To już nie jest wojna, to... mord na oczach świata – policzki dziewczyny płonęły. Czuła w sobie bunt i jednocześnie obezwładniającą niemoc. – Tarik, ja dłużej tego nie wytrzymam. Muszę dodzwonić się do domu! – Jasmina rzuciła się w stronę drzwi. – Przypilnujesz małego?

Chłopak nie miał nawet siły, by jej odpowiedzieć. A ona? Gnała przez podwórze skąpane w błocie po niedawnej ulewie do pomieszczenia, w którym znajdował się gabinet weterynaryjny, tego dnia nieczynny, gdyż była niedziela. Uchodźca z Bośni, którego poznała jeszcze w Warszawie zeszłego lata, podpowiedział jej sposób, jak uzyskać połączenie z Sarajewem. Wtedy udało jej się dwa razy dodzwonić do rodziny. Pech chciał, że ani matki, ani brata nie było w domu, rozmawiała tylko krótko z Gocą, a z nią z powodu jej stanu psychicznego nie było łatwo się porozumieć. Wyciągnęła z niej jednak, że w domu wszystko dobrze, i to było dla niej najważniejsze. Odkąd Jasmina zamieszkała u Tarika na wsi, wszelkie próby telefonicznego połączenia się z Bośnią kończyły się fiaskiem, jednak teraz uparła się, że będzie dzwonić do skutku.

Siedziała przy telefonie w gabinecie „Pod Kopytem” przez wiele godzin bez jedzenia, bez picia, wybierała numery, łączyła się okrężną drogą przez pół Europy, lecz w końcu usłyszała w słuchawce głos, który sprawił, że wzruszenie odebrało jej mowę.

– Mamo... To ja – dopiero po chwili wydukała pierwsze zdanie.

– Jasmina...? Córeczko... – głos Any Jovanović był ledwo słyszalny, jednak wyczuła w nim niedowierzanie połączone z zachwytem. – Jesteś cała, zdrowa?

– Tak, dzwonię z Polski. Ale mów, co u was? – bała się, że połączenie zaraz się przerwie. Na linii słyhać było głośnie trzaski.

– Dajemy radę, córciu, dajemy radę. A tata... Znalazłaś go, powiedz? – niemal słyszała, jak matka wstrzymuje oddech.

Tego pytania bała się najbardziej.

– Próbowałam... Ale nie było go pod Mostarem. Podobno gdzieś go zabrali i wywieźli w nieznane.

– Mój biedny Pero! – zajęczała matka. – A miałam nadzieję...

– Wybacz mi – czuła, że ją zawiodła.

– To nie twoja wina, dziecko, nie twoja – mama starała się pozbierać. – Dobrze, że ty jesteś cała. Tylu ludzi nie żyje...

– Wiem, mamó... Ale czy ktoś z naszych?

– Tutaj każdy kogoś stracił... – głos matki jakby się rozplywał.

Twarze zmarłych, małego Milanka, sąsiadów, koleżanki z teatru, natychmiast stanęły Jasminie przed oczami.

– Ale Goca, Marko...?

– Mówiłam ci, że u nas wszystko dobrze. Jednak Haris... a właściwie Šaćira...

– O nie! Co z nimi? – zamarła.

– Pamiętasz tego chłopaka...? Wiesz, takiego miłego kolegę z oddziału Harisa...? – spytała matka. – Właśnie mieli brać z Šaćirą ślub. Ale... przyszedł do niej jego ojciec, że ślubu nie będzie...

– Rozmyślił się? – spytała Jasmina z nadzieją w głosie.

– Zginął.

– Och, mamó! – oczy dziewczyny zaszły łzami. – A wiesz, że mój Dragan...

– Tak, słyszałam, że jego brat, Nikola... – w telefonie znów pojawiły się trzaski. – Halo!

Halo! Jasmina!

– Co z Nikołą? Maaamo...! Halo! Do jasnej cholery!

A potem zapadła cisza. Jasmina siedziała przy biurku ze słuchawką w ręku i patrzyła na nią z niedowierzaniem. O tyle rzeczy jeszcze chciała spytać, tyle powiedzieć, przede wszystkim o Vuku... Wzięła głęboki wdech. O co chodziło z tym Nikołą...? Może to on, a nie Dragan...? Ech, znów ta głupia nadzieja! Żal wciskał jej się pod powieki, czuła zawroty głowy. Tak dobrze wiedziała, co musi czuć Šaćira... W myślach trzymała przyjaciółkę za rękę. Tuliła do serca cały bośniacki naród, i ten w cierniowej koronie, i ten patrzący w stronę Mekki, i nawet ten... To już nie było łatwe.

– I co, dodzwoniłaś się? – w drzwiach gabinetu stanął Tarik.

W jednej ręce trzymał talerz z pajdą chleba posmarowaną grubo miodem, w drugiej kubek z gorącą kawą. Na widok chłopaka zrobiło jej się ciepło na sercu. Przytaknęła kiwnięciem głowy.

– Vuk śpi? – spytała.

Nagle zorientowała się, że przez okno wpada do pomieszczenia księżycowa poświata. Całkowicie straciła rachubę czasu. Od wielu godzin siedziała za dużym biurkiem, gdzie leżały dokumenty pacjentów starego weterynarza, którego Tarik był pomocnikiem, i plik czystych blankietów recept. Teraz dopiero poczuła, jak bardzo jest zmęczona, głodna i zmarznięta.

– Już od dawna – uśmiechnął się chłopak w odpowiedzi na jej pytanie. Był blady, ale widać było, że powoli zaczął dochodzić do siebie.

– Dziękuję – odwzajemniła uśmiech.

– Wiesz, Jasminko? Myślałem cały wieczór... Myślałem o nas. I doszedłem do wniosku, że w tych strasznych czasach nie można tracić czasu.

– Tak...?

Zaniepokoił ją uroczysty ton jego głosu. Chłopak stał wyprostowany i miał na sobie białą koszulę, dopiero teraz to zauważyła. Już od kilku dni przeczuwała, że zanosি się na poważną rozmowę. Tarik chodził ostatnio mocno zamyślony, a gdy na niego spoglądała, uciekał wzrokiem, jakby coś przed nią ukrywał albo raczej zamierzał jej coś powiedzieć, tylko nie był jeszcze na to gotowy. Ona też nie była gotowa na jego wyznanie, to wiedziała na pewno.

– Pomyślałem, że mieszkamy razem już tak długo i ludzie pewnie gadają... No i jesteśmy rodziną, właściwie, a ja... Już od dawna... – postawił talerz i kubek na biurku obok telefonu i zaczął szukać czegoś w kieszeni spodni.

Jasmina patrzyła na niego w skupieniu. Nie drgnęła jej nawet powieka. Wiedziała, że zaraz będzie musiała dać mu odpowiedź...

– Więc gdybyś się zgodziła... – był słodko nieporadny.

Wyjął z kieszeni małe ciemnobrązowe pudełeczko przewiązane złotym sznureczkiem, a jej serce podeszło do gardła... Lecz nagle ciszę w gabinecie przerwał ostry dzwonek telefonu. Dziewczyna wypuściła z płuc powietrze.

– Gabinet „Pod Kopytem”, słucham – podniosła słuchawkę. Mówienie po polsku szło jej coraz lepiej.

– Och, jak dobrze, że się dodzwoniłam! Miałam nadzieję, że pracujecie siedem dni w tygodniu. Czy mogłaby pani poprosić do telefonu Jasmine? – usłyszała znajomy głos.

– Katarzyna? – wołała się upewnić, czy dobrze go rozpoznała.

– Tak, to ja. A to ty, Jasminko? – Teraz i kobieta domyśliła się, z kim rozmawia. – Nie rozłączaj się, proszę – przeszła na chorwacki. – Wiem, że masz do mnie żal, że jesteś wściekła, ale dzwonię, żeby cię przeprosić. Bardzo za wami tęsknię...

„Co za dzień!” – przemknęło dziewczynie przez głowę. „Najpierw rozmowa z mamą, wieści z domu, przed chwilą Tarik, a teraz... Katarzyna. Wszyscy się zmówili? Zupełnie jakby do ziemi zbliżała się kometa i każdy spieszył się, by załatwić swoje sprawy. A może to efekt szoku z powodu masakry w Srebrenicy?” – zastanawiała się.

– I jest jeszcze coś... – Kasia mówiła przejętym głosem. – Jadę we wrześniu do Belgradu. Moja szefowa wysyła mnie do zaprzyjaźnionego banku, bo ponoć zrobili tam jakąś świetną akcję promocyjną i chce, żebym poznała szczegóły. Zresztą nieważne. Jasmina, jesteś tam? – postanowiła się upewnić, bo zaniepokoiła ją cisza.

– Jestem.

– Tak sobie pomyślałam... Ja wiem, że Belgrad to nie Sarajewo, ale to jednak twoje strony... Do Serbii dotarło sporo uchodźców, więc może się czegoś dowiemy... Wiesz... Jak to było z Draganem.

– Tak...? – dziewczyna mocniej zacisnęła dłoń na słuchawce.

– Bo ja nie mogę przestać o tym myśleć. Chciałabym wiedzieć, znać szczegóły...

– Ja też chcę wiedzieć, jak zginął – szepnęła Jasmina.

Gdy to mówiła, dotarło do jej świadomości, że może wtedy umiałaby ułożyć sobie życie na nowo. Spojrzała na Tarika, który cały czas stał na środku gabinetu. W nikłym świetle

lampki wyglądał jak postać z czarno-białego filmu, która nagle, przez niesprawny projektor, zatrzymała się w pół ruchu na jednej z klatek. Nie mogła pozwolić, by chłopak żył w takim zawieszeniu, nie zasłużył na to.

– Właśnie dlatego pomyślałam, że może chciałabyś ze mną jechać? – kontynuowała Katarzyna. – Tylko na trzy dni. Ja wszystko załatwię, opłacę. Dostanę z pracy dobre diety, starczy dla nas obu. Mogłybyśmy w Belgradzie trochę popytać... No i pobyć razem... – powiedziała niepewnym głosem. Bała się, że dziewczyna odmówi.

– Dobrze – Jasmina nie zastanawiała się ani chwili. Może pod wpływem rozmowy ze swoją mamą, a może przez to ostatecznie, urwane zdanie o bracie Dragana... W każdym razie wewnętrzny głos szeptał jej, że powinna odbyć tę podróż.

– Więc pojedziesz ze mną?! – Kasia nie mogła uwierzyć, że dziewczyna tak szybko się zgodziła.

– Pojadę. Muszę tylko zorganizować opiekę dla Vuka, bo Tarik całe dni pracuje, nie da rady się nim zająć.

Chłopak uniósł do góry brwi. Jasmina dała znak, że wyjaśni mu później, o co chodzi.

– Vukiem zaopiekuje się moja mama. Już z nią rozmawiałam, zrobi to z ochotą – rzekła Kasia.

– A więc wiedziałaś, że się zgodzę? – zdziwiła się Chorwatka.

– Miałam nadzieję, bardzo tego pragnęłam – odpowiedziała cicho.

– To przyjedź do nas. Vuk też się za tobą stęsknił. W tych trudnych czasach nie można tracić czasu – Jasmina powtórzyła zdanie, które wcześniej padło z ust Tarika.

On jednak schował do kieszeni brązowe pudełeczko. Gdy słuchał rozmowy Jasminy z Katarzyną, tego, z jaką czułością dziewczyna wspomina Dragana, dotarło do niego, że nie nadeszła jeszcze właściwa chwila, by je otworzyć. Nie czuł się jednak rozczarowany. Przekonał się nieraz, że czas, który mija w oczekiwaniu na spełnienie marzeń, nie jest czasem straconym.

[60] W ruinach Vijećnicy zagrano *Requiem* Mozarta, a gościem specjalnym koncertu był José Carreras, znany hiszpański śpiewak.

[61] O masakrze w okolicach Srebrenicy (12–16 lipca 1995), podczas której paramilitarne jednostki Serbów wymordowały ponad 8300 muzułmańskich mężczyzn i chłopców, można przeczytać między innymi w poruszającym reportażu Wojciecha Tochmana pt. *Jakbyś kamień jadła*, Wydawnictwo Czarne, 2008.

ROZDZIAŁ 26

Belgrad, wrzesień 1995

Życie jest niczym warkocz. Radosne momenty splatają się z tymi, których, jak siwych włosów, chcielibyśmy uniknąć. Czy jednak bez tych trudnych chwil bylibyśmy sobą?

W hali przylotów belgradzkiego lotniska kłębiły się tłumy, jak zawsze w tym miejscu. Olja w napięciu wpatrywała się w rozsuwane szklane drzwi, w których niebawem mieli pojawić się jej polscy goście. Ubrana w elegancką garsonkę, z apaszką pod szyją i w pantoflach na modnych koturnach wyglądała profesjonalnie, jak na przedstawicielkę banku przystało. A jednak gdyby przyjrzeć się jej lepiej, można by zauważyć, że jej cera była nieco przesuszona i blada, a pod oczami umiejscowiły się starannie przykryte pudrem sińce.

W ostatnich tygodniach tyle się działo! I tego dobrego, i złego. Przede wszystkim wyglądało na to, że w jej kraju nareszcie kończy się wojna. Społeczność międzynarodowa poruszona masakrą w Srebrenicy oraz powtórny atakiem bombowym na sarajewski targ Markale^[62] nie była w stanie dłużej patrzeć biernie na to, co dzieje się w Bośni i Hercegowinie. Pod koniec sierpnia lotnictwo NATO dokonało ostrych nalotów na pozycje bośniackich Serbów, a dzieła dokończyły armia chorwacka, siły muzułmańskie i wojska bośniackich Chorwatów. We wrześniu zaś doszło do trójstronnych rozmów w Genewie, które ostatecznie przeniesiono do Stanów Zjednoczonych. Zwaśnione strony usiadły przy jednym stole i nawet Serbowie sprawiali wrażenie, że zależy im na porozumieniu.

Co prawda, po tylu wcześniejszych nieudanych próbach zakończenia konfliktu i teraz mogło niespodziewanie nastąpić fiasko, jednak Olja wierzyła, że dla jej ojczyzny nadchodzą lepsze czasy^[63].

W prywatnym życiu dziewczyny też zaczęło się układać. Dragan, choć przebywał jeszcze w ośrodku rehabilitacji, prawie całkowicie odzyskał sprawność. Miło było patrzeć i na niego, gdy poruszał się bez balkonika, i na zadziwione miny lekarzy, gdy wypowiadał zdania niemal płynnie. I tylko pamięć nie chciała go słuchać, co akurat specjalnie dziewczyny nie martwiło. Olja doskonale wiedziała, ile trudu i wyrzeczeń kosztowało chłopaka ostatnich siedemnaście miesięcy. Była świadkiem tego, z jaką zaciętością walczył o powrót do zdrowia, jak nigdy nie odpuszczał. Dzięki determinacji udało mu się osiągnąć zadziwiające wyniki.

Brała pod uwagę, że amnezja chłopaka może minąć, ponieważ jednak dotąd, gdy spoglądał wstecz, widział głównie ciemność, odsuwała od siebie tę myśl. A gdyby nawet

przypomniał sobie, że kiedyś się znali, powiemu, że to lekarze zalecili jej milczenie, bo pacjent powinien sam odkryć swoją przeszłość stopniowo, powolutku, bez nagłego wstrząsu. Martwiła ją tylko jedna sprawa – nie wiedziała, jak wytłumaczy chłopakowi, że nie zawiadomiła jego bliskich o tym, że żyje.

W pierwszych dniach po wybudzeniu się Dragana próbowała dodzwonić się do Warszawy do Katarzyny, ale w jej mieszkaniu nikt nie odebrał telefonu. Pomyślała więc, że może ma zły numer albo matka chłopaka gdzieś się wyniosła, zmieniła adres. Planowała nawet, że poszuka jej przez polski bank, ale w końcu zrezygnowała z tego. Niepotrzebne jej były komplikacje. Kasia zaraz by tu przyjechała, narobiła rabanu, z pewnością chciałaby zabrać syna do Polski... A na to Olja nie mogła pozwolić. Nie teraz, gdy tak bardzo się z Draganem zbliżyła. Ciągle więc odkładała moment, w którym powiadomi matkę o tym, że jej syn jest w Belgradzie. Usprawiedliwiała się przed samą sobą, że to zwłoka dla dobra znajomej. Bo po co Katarzyna miałaby się zamartwiać, że chłopak jest w złym stanie? Lepiej niech najpierw Dragan nauczy się sprawnie poruszać, płynnie mówić... A gdy to się już stało, Olja znajdowała kolejne argumenty za tym, że telefon do Warszawy może jeszcze poczekać. Na przykład do momentu, gdy... Dragan odzyska pamięć, czyli pewnie nigdy. Lecz jego pamięć rządziła się własnymi regułami.

Niedawno Olja siedziała z przyjacielem w sali integracyjnej. Pacjenci tak właśnie nazwali świetliste pomieszczenie znajdujące się w centralnym miejscu kliniki, w którym mogli wypić kawę, pograć w gry planszowe lub karty. Para wraz z dwoma mężczyznami zabawiała się grą w kości, gdy ktoś włączył telewizor.

Dziewczyna rzuciła okiem na ekran, na którym młoda aktorka ubrana w zwiewną szatę klęczała u boku zakonnika, ale ponieważ nigdy nie przepadała za teatrem telewizyjnym, szybko straciła zainteresowanie programem. Dragan jednak wpatrywał się w telewizor z uwagą, jakby wypowiedane przez aktorkę słowa miały dla niego szczególne znaczenie.

*Postanowienie moje nazwij mądrym,
A w tym sztylcie zaraz znajdę środek.
Bóg złączył moje i Romea serce,
Ty nasze dłonie; i nim ta dłoń, święta
Pieczęcią swoją z Romeem spojona,
Inny akt stwierdzi, nim to wierne serce
W zdradzieckim buncie odda się innemu,
To ostrze zada śmierć sercu i dłoni.*

Na dźwięk słowa „Romeo” Dragan nagle zamarł, jakby go ktoś zawołał po imieniu. Na jego twarzy malowały się różne emocje: zdziwienie, niedowierzanie, a może nawet... radość z powodu odzyskania czegoś bardzo cennego, malutkiej cząstki siebie. Olja miała ochotę podbiec do telewizora i natychmiast go wyłączyć, lecz ktoś ją uprzedził.

– Nudy! – stwierdził starszy mężczyzna z opaską na oku i przełączył program.

– Zostaw! – zawołał Dragan.

– No chyba nie będziesz wlepił oczu w jakieś teatralne starocie – jeden ze współtowarzyszy gry spojrział na niego z politowaniem. – Rzucaj, twoja kolej – podał mu

kubek z kostkami.

– No właśnie, grajmy! – Olja przyłączyła się skwapliwie do jego sugestii.

– Czekajcie, tylko coś sobie... Ta dziewczyna jest podobna... – Dragan zamknął oczy, próbując się skupić. Przyłożył dłoń do zmarszczonego czoła. – Ech, już mi umknęło – skrzywił się, na co Olja odetchnęła z ulgą.

Długo zastanawiała się potem w domu, co powinna zrobić. Naprawdę nie chciała, by chłopak odkrył swoje dawne ja, a zwłaszcza by przypomniał sobie o uczuciach do Jasminy. Pragnęła ukształtować go od zera, na nowo, po swojemu. Czy jednak powinna ukrywać przed nim fakt, że miał talent? Przed wojną zapowiadał się świetnie jako aktor, poza tym ten jego głos... poruszający, niski, ciepły, taki, że gdy się go słuchało z zamkniętymi oczami, to aż ciarki przechodziły. Szkoda by było go zmarnować. Jeszcze chwila, jeszcze kilka miesięcy zajęć z logopedą i Dragan będzie mówił już całkiem płynnie...

I nagle wpadła na pomysł. Niedawno jeden z jej kolegów, który pracował w radiu Beograd 202, wspomniał, że szukają aktora do przedstawień kultowego teatru Indeksovo Radio Pozorište. Dlaczego nie miałyby polecić mu Dragana? „To będzie coś!” – ekscytowała się.

Satyryczne programy radiowego teatru zdobywały nagrody od lat, słuchacze je uwielbiali. Część z nich wystawiano w belgradzkiej Dvoranie Doma Sindikata, a potem w całej Serbii. Więc jeśli tylko Dragan dostanie się do radia, zmobilizuje go to do ćwiczeń, a potem wróci do zawodu, który zawsze kochał.

Niebawem wyjdzie z ośrodka, zamieszkają razem, wyobrażała sobie. Brat właśnie się wyprowadził do dziewczyny, więc wszystko świetnie się składało. Sama też nie osiadzie na laurach, będzie dalej robić karierę w banku... Ostatnio odnosiła sukcesy. Prezes dowiedział się przez przypadek, kto naprawdę stoi za pomysłem wspierania ośrodka „Powrót” i przyznał jej wysoką premię. Przebąkiwał też coś o awansie, jednak na razie wygrała solidarność plemników, bo jej bezpośredni przełożony pozostał nadal jej szefem.

Tak czy inaczej, bank chwalił się projektem, gdzie tylko mógł, i wieści o jej sukcesie dotarły nawet za granicę. Pomysł wspierania placówek medycznych przez instytucje finansowe zainteresował Polaków. W pierwszej chwili Olję bardzo to ucieszyło, poczuła się dumna, jednak gdy dowiedziała się, kto z zaprzyjaźnionego warszawskiego banku ma ich odwiedzić, ścięła jej skóra. Zawodowy sukces w jednej chwili mógł stać się jej życiową porażką. Za żadne skarby świata nie mogła do tego dopuścić. Do tej pory nie powiadomiła Katarzyny o Draganiu, a teraz było już za późno. Wierzyła, że jakoś sobie z Polką na własnym terenie poradzi, nie przewidziała tylko jednego, że wraz z nią na belgradzkim lotnisku pojawi się ktoś jeszcze...

– No nie wierzę...! Co ty tu robisz? – widok Jasminy wbił Olję w ziemię.

– Miło cię widzieć – zaśmiała się Kasia, na którą pod wpływem emocji Olja nie zwróciła uwagi.

– Och, przepraszam. Już się z tobą witam – dziewczyna wyciągnęła do niej rękę. – Wiedziałam, że ty masz przyjechać, ale że Jasmina...? – Katarzyna dostrzegła na jej twarzy dziwny grymas. – Byłam pewna, że jesteś w Sarajewie! – zwróciła się znów do dawnej przyjaciółki.

– No widzisz, dla mnie to też niespodzianka, że stoję tu przed tobą, ale nawet nie wiesz,

jak się cieszę! – Jasmina mocno ją uściskała. – Mam wrażenie, jakbym wróciła do domu.

Olja puściła jej słowa mimo uszu i szybko złapała za uchwyt walizki Katarzyny. Nie chciała dać po sobie poznać, jak bardzo jest jej nie na rękę ta wizyta.

Zawiozła swoich gości do hotelu Moskva, przy ulicy Balkanskiej, który mieścił się w pięknym budynku w stylu empire, by kobiety mogły się zakwaterować i przebrać. Miała nadzieję, że namówi je na mielone kasztany w znanej cukierni, która znajdowała się na parterze, a potem oprowadzi je po mieście, omijając szerokim łukiem miejsce, do którego bardzo nie chciała z nimi trafić. Specjalnie wybrała dla Katarzyny hotel w centrum, z którego wszędzie były dwa kroki – i do dzielnicy artystów zwanej Skadarlija, i do parku Tašmajdan, i do cerkwii Świętego Sawy, i pod budynek parlamentu. Wiedziała, że Polka wcześniej odwiedziła główne miasto Serbii tylko raz, dawno temu, gdy było ono jeszcze stolicą Jugosławii, a teraz planowała przypomnieć sobie jego najważniejsze punkty. Olji było to bardzo na rękę.

Obiecała, że zabierze ją także na bazar, by Kasia mogła kupić kajmak i kory[64] do pieczenia gibanicy, na co miała wielką ochotę, a że bank przysłał ją tutaj tylko na trzy dni, to dziewczyna miała nadzieję, że na wycieczkę do centrum medycznego zabraknie im czasu. Nie przewidziała jednak tego, że Katarzyna była zawsze święcie przekonana, że czas jest rozciągliwy i uda jej się być naraz w wielu miejscach.

– To co, jedźmy może od razu do tego ośrodka, jak mu tam... „Powrót”? – zakrzyknęła do Olji, gdy ponownie spotkały się we trzy w wytwornym hotelowym hallu wyłożonym marmurami.

– A może najpierw skoczmy coś zjeść albo zajrzemy do biura? Poznam cię z szefem – zaproponowała z nadzieją w głosie dziewczyna.

– Wolałybyśmy jechać prosto na Dedinje. Tyle słyszałam o tym waszym ośrodku... Poza tym wiesz, chciałybyśmy pogadać z ludźmi z Bośni... – Polka uśmiechnęła się półgębkiem.

– Jasne, rozumiem. Tylko wiesz, Kasiu... – Olja zamrugła nerwowo powiekami. – Muszę wam najpierw coś powiedzieć.

– Tak...? – Katarzynę zaskoczył wyraźny niepokój w jej głosie. Jasminę też zdziwiło zdenerwowanie przyjaciółki.

– Chcę, żebyście wiedziały, że... A zresztą zobaczycie na miejscu – machnęła nagle ręką i ruszyła do wyjścia z hotelu, które kręconymi drzwiami prowadziło na szerokie schody opadające łagodnie niczym wachlarz na ulicę.

Po chwili wszystkie trzy siedziały już w zastawie, którą Olja dostała z firmy, by wozic po mieście przedstawicielkę polskiego banku. Jasmina cały czas coś mówiła, zadawała koleżance mnóstwo pytań, ta jednak odpowiadała jej półgębkiem. Jakieś niezrozumiałe napięcie wisiało w powietrzu, więc po chwili zamilkła.

Z samochodowego radioodbiornika sączyła się rytmiczna piosenka Massive Attack *Unfinished Sympathy*, by za chwilę przerodzić się w mocno folkowe dźwięki utworu Cecy Ražnjatović.

„Typowe dla serbskich stacji pomieszanie z poplątaniem” – pomyślała Jasmina. Przykleiła nos do szyby i z zainteresowaniem śledziła obrazy wymalowane przez belgradzką jesień. Na trotuarach jak zawsze w tym mieście, a zapamiętała to z niegdysiejszej wycieczki szkolnej do stolicy Jugosławii, fruwały śmieci podrzucane przez

košawę^[65]. Największe miasto Serbii nigdy nie należało według niej do najpiękniejszych w Europie, nie było w nim tyle czaru, co choćby w jej ukochanym Sarajewie, aczkolwiek i tu można było znaleźć ciekawe zakątki, jak park Kalemegdan, ulica Kneza Mihaila – główny deptak, półwysep Ada Ciganlija na Dunaju, czy Plac Republiki ze swoim nieodzownym pomnikiem jeźdźca na koniu.

Koń... Jasminę przeszedł nagły dreszcz. Przypomniała jej się przepowiednia ciotki Draženki. Nie miała jednak czasu, by się zastanowić głębiej nad tym skojarzeniem, bo samochód wjechał właśnie między otoczone niewielkimi ogrodami wille w dzielnicy Dedinje. Dziewczynę zaskoczyło to, że właśnie tutaj ulokowano ośrodek rehabilitacji dla uchodźców, jednak po chwili stwierdziła, że nie powinna się temu dziwić, rządzący chcieli pewnie zagłuszyć swoje wyrzuty sumienia.

Jasmina nie przyjechała tu, żeby zwiedzać, chciała zobaczyć ludzi, którzy kiedyś byli jej braćmi (tak przynajmniej twierdził marszałek Tito) i porozmawiać z tymi, którzy przeżyli to, co ona. Być może spotkali kiedyś Dragana, widzieli go na scenie albo się o niego otarli w tramwaju... Wizyta w Belgradzie ogromnie wiele dla niej znaczyła. Była podróżą w głąb siebie, po nieprzeżyte do końca emocje, a może nawet po zapomnienie.

– Jesteśmy na miejscu – poinformowała Olja, parkując pod okazałym budynkiem otynkowanym na kremowy kolor.

– Ładnie tu – uśmiechnęła się Katarzyna.

– No, mój bank wyłożył trochę pieniędzy, żeby to tak wyglądało.

Przez szerokie drzwi dziewczyna wprowadziła swoich gości do środka. Zaraz za progiem zaczęła witać się z pacjentami, którzy siedzieli w przestronnym hallu. Widać było, że czuje się tutaj jak u siebie.

– Chodźcie, poznam was z profesorem Klimowem. Dzięki niemu udało się wybudzić już dwóch pacjentów – zaproponowała.

– Dwóch? Słyszałam o jednym. Czy to przypadkiem nie jego historia przyniosła wam największy rozgłos? – zauważyła Kasia.

– To prawda.

– Mam nadzieję, że poznasz nas z tymi pacjentami – Polka uśmiechnęła się do dziewczyny.

– No właśnie, z tym może być mały problem – Olja zatrzymała się na środku korytarza.

– Bo widzisz... Jeden już tu nie mieszka, a drugi ostatnio trochę gorzej się czuje...

– Ej, nie wygłupiaj się, przecież przede wszystkim po to tu przyjechałam. Chcę zapoznać się ze wszystkimi szczegółami waszego projektu. To dla mnie bardzo ważne – Katarzyna z natury była uparta.

Bała się jechać do Sarajewa, bo choć wojna dobiegała końca, nadal było tam niebezpiecznie, ale spotkanie z ludźmi stamtąd, którzy chodzili po tych samych ulicach, co jej syn, po trotuarach, na których wykwitły sarajewskie róże, którzy wdychali to samo powietrze o zapachu prochu, znaczyło dla niej bardzo wiele.

Dlatego teraz, gdy patrzyła na blade twarze pacjentów mijanych na korytarzu, czuła, jak jej tętno przyspiesza, a oddech się skraca, jakby nagle sama znalazła się w oku wojennego cyklonu. Miała wrażenie, że przez pory w skórze, przez włosy, przez paznokcie wnikają w nią wspomnienia tych ludzi, ich strach i żal za utraconym dawnym życiem.

– Hm... No dobra. Spytamy profesora – Olja zrozumiała, że nie wygra ze swoim gościem. – Albo wiesz co – uśmiechnęła się, jakby nagle coś wymyśliła. – To może chodźmy od razu do... „dwójki”.

– Więc prowadź! – rzekła Katarzyna i, trzymając Jasminę pod rękę, szybkim krokiem podążyła za przewodniczką.

Po chwili kobiety zatrzymały się przed salą z numerem dwa wymalowanym na białych drzwiach. Olja położyła dłoń na klamce. Przez chwilę jakby się wahała, lecz w końcu ją nacisnęła.

– Zapraszam! – puściła gości przodem. – To jest właśnie jeden z naszych wybudzonych.

Kasia i Jasmina weszły do jasnego pomieszczenia i... stanęły jak wryte. Pod oknem, na fotelu na kółkach, tyłem do przybyłych siedział chłopak. Był wysoki, miał szczupłe ramiona, ciemne, prawie czarne włosy zupełnie jak...

– Dragan? – Katarzyna musiała przytrzymać się metalowej ramy łóżka, by nie upaść.

– On nie pamięta, jak ma na imię. Lekarze też nie wiedzą, bo podobnie jak wielu pacjentów przywieźli go tu bez dokumentów – odezwała się cicho Olja. – Ja nazwałam go Dra... – podeszła do wózka z młodym mężczyzną i powoli przekręciła go w stronę kobiet – ...gutin.

Katarzyna opadła ciężko na krzesło. Jasmina nadal stała przy drzwiach nieruchomo i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w chłopaka.

– Czy on nas słyszy? – wydukała w końcu. – Naprawdę jest wybudzony?

– Hm... Dlatego nie chciałam, żebyście tu przyszły... – rzekła Olja.

Urwała kawałek ligniny ze stojącej na parapecie rolki i delikatnie wytarła nią mężczyźnie ślinę spływającą z kącika ust. Pacjent siedział całkowicie nieruchomo, niewidzący wzrok utkwiał w przestrzeń. Nie dawał żadnych oznak życia.

– Niektórzy tak mają. Potrzeba czasu. Ale zaręczam wam, że Dragutin nie jest już w śpiączce.

– A dlaczego Dragutin? Skąd to imię? – spytała starsza z kobiet.

– Bo widzisz... Miałam kiedyś przyjaciela, w Sarajewie... – powiedziała dziewczyna. – Bardzo wiele dla mnie znaczył. Bardzo wiele...

Katarzyna siedziała na łóżku ze splecionymi rękoma i patrzyła smutno na chłopaka. Był taki podobny, taki bardzo podobny... Ale nie był jej synem. Dotarło do niej w końcu z całym okrucieństwem, że jego już nigdy nie zobaczy. Wizyta w Belgradzie miała przynieść jej ukojenie, a... Może musiało się tak stać, by w końcu mogła odbyć żałobę?

Jasmina także bez słów przyglądała się bezbronnemu jak dziecko mężczyźnie na inwalidzkim wózku i Olji, dawnej przyjaciółce, która teraz w tym miejscu pełnym światłocieni zdawała jej się całkowicie obca.

Spuściła głowę. Czuła żal do całego świata. Wojna zabrała im wszystkim młodość, miłość, a w zamian dała tylko poranioną pamięć. Niezależnie od tego, jak nazywali swojego Boga, w którą stronę zwracali twarz przy modlitwie i czy w ogóle robili znak krzyża, wszyscy byli przegranym pokoleniem.

Potrzebowała powietrza teraz, natychmiast! Odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem wyszła na korytarz. Jej nogi obute w zamszowe półbuty stukały miarowo o gładką podłogę, wybijając rytm jakiejś dziwnej żałobnej pieśni. Chciała stąd uciec, by się nie

rozplakać, gdy nagle ktoś otworzył drzwi od „trójki”. Prawie na niego wpadła...

Zobaczyła adidasy zniszczone tylko trochę, potem granatowe sztruksy, koszulę w drobną kratę, delikatny zarost na szczupłej twarzy, aż w końcu... czarne oczy. Jednak nie tak czarne jak Dunaj nocą, nieprzyjaźnie, mrocznie, lecz o odcieniu jej najpiękniejszej Miljacki w świetle księżycy. Nie mogła oderwać od mężczyzny wzroku ani wydobyć z siebie słowa. Przez chwilę zdawało jej się, że śni, że to tęsknota, która od miesięcy trzyma ją w uścisku, wytworzyła omamy, lecz obraz nie znikał. I już wiedziała, że ta podróż przywiodła ją jednak do domu.

– *Chcesz już iść? Jeszcze ranek nie tak bliski, słowik to, a nie skowronek się zrywa* – odezwała się śpiewnym głosem Julii.

Chłopak zamrugał dziwnie powiekami, jakby nagle przez wszystkie jego członki przeszedł prąd.

– *Skowronek to, ów czujny herold ranka, nie słowik; widzisz te zazdrosne smugi, co tam na wschodzie złocą chmur krawędzie?* – wyszeptał. Nie miał pojęcia, skąd zna te słowa.

Lecz nagle w jego uszach rozbrzmiało dalekie wołanie muezinów pomieszone z donośnym śpiewem popa i srebrzystym głosem dzwoneczków płynącym z katedry. Pod powiekami zobaczył sarajewskie gołębie wzlatujące radośnie ponad Fontannę Sebilj, ponad cierniste róże wyryte na chodnikach, ponad targ Markale, na którym znów sprzedawano owoce i kwiaty pełne słońca. I ponad dachy miasta wyswobodzonego w końcu z okowów nienawiści.

Z czułością dotknął miękkich włosów dziewczyny i wciągnął w nozdrza jej cudowny zapach dojrzałych granatów i słodkiej baklavy. I już wiedział, że to ta, której obraz zagubił w pamięci. W pamięci, w której na szczęście mieszkają nie tylko demony.

Koniec części drugiej

[62] W drugiej masakrze na targu Markale w Sarajewie w dniu 28 sierpnia 1995 roku zginęło 37 osób, a 90 zostało rannych. NATO podało to wydarzenie jako bezpośredni powód operacji lotniczej przeciwko siłom zbrojnym bośniackich Serbów, którą nazwało Deliberate Force.

[63] W listopadzie 1995 roku w Dayton został wynegocjowany układ pokojowy kończący wojnę w Bośni.

[64] Bardzo cienko rozwałkowane ciasto służące do wypieków bałkańskich specjałów.

[65] Košava – silny wiatr wschodni i południowo-wschodni wiejący od strony Karpat najczęściej jesienią i zimą.

SAGA BAŁKAŃSKA – PISARSKIE WYZWANIE

No i mamy mały jubileusz! Piszę „mamy”, bo gdyby nie Wy, Drodzy Czytelnicy, to pewnie nie byłoby jeszcze moich pięciu książek. Gdy usiadłam do pisania bałkańskiej sagi, uświadomiłam sobie, że czeka mnie trudne zadanie i nie miałam pewności, czy mu podołam. Dlaczego? Oto powody:

Pierwszy raz piszę **KSIĄŻKĘ WIELOTOMOWĄ**.

A ponieważ należę do osób niecierpliwych, nie wiedziałam, czy przebywanie przez długie miesiące w tym samym świecie, wśród tych samych bohaterów, w dramatycznej wojennej scenerii nie okaże się dla mnie zbyt dużym wyzwaniem. Jednak Wy, Moi Czytelnicy, przyjęliście pierwszy tom sagi z takim entuzjazmem, że kontynuacja losów Jasminy i Dragana po prostu musiała powstać.

Pierwszy raz pracuję nad **KSIĄŻKĄ Z TŁEM HISTORYCZNYM**.

W posłowie *Nie czas na miłość* wspomniałam, że jestem z wykształcenia slawistką, mieszkałam kilka lat w byłej Jugosławii i tematy związane z Bałkanami są mi bardzo bliskie, nie byłam jednak świadkiem wydarzeń, które opisuję w mojej sadze. Dlatego cały czas staram się pogłębiać wiedzę na temat bratobójczego konfliktu lat dziewięćdziesiątych – czytam literaturę faktu, oglądam filmy, gromadzę informacje i przede wszystkim rozmawiam z tymi, którzy brali bezpośredni udział w wojennych wydarzeniach. Bo nic nie stanowi większej inspiracji dla autora niż prawdziwe ludzkie losy.

Latem 2016 roku odbyłam podróż w rodzinne strony moich bohaterów, czyli do Bośni i Hercegowiny, a dzięki uprzejmości Agaty Grabskiej, konsul w Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Sarajewie, miałam możliwość poznania ludzi, którzy zechcieli podzielić się ze mną swoimi historiami z tamtego okresu.

Każda z tych osób opowiedziała mi o swoich przeżyciach zupełnie inaczej, lecz każda poruszyła we mnie czułą strunę.

Žanka wydarzenia ze swojego życia zreferowała spokojnym, niemal bezbarwnym tonem, jakby przytrafiły się nie jej, a komuś innemu. Miałam wrażenie, że ta pozbawiona emocji narracja pozwala jej zdystansować się do tragicznych przeżyć, które głęboko zapadły jej w pamięć.

Dubravka łagodziła wydzźwięk swojej historii humorem, nadała opowieści lekki styl, choć przeżyła wiele bardzo bolesnych momentów. Jej sposobem na zmierzenie się z trudnymi przeżyciami jest niewątpliwie dystans do siebie i świata.

Najbardziej poruszyła mnie jednak historia mostarskiego dziennikarza, Huseina. Pewnie dlatego, że choć na ogół chłopaki nie płaczą, została ona okraszona szczerymi

łzami, które uświadomiły mi, zresztą nie pierwszy raz, jak bardzo w Bośni i Hercegowinie pamięć o wojnie jest ciągle żywa.

Okruchy tych niezwykłych opowieści, naturalnie mocno przetworzone przez moją wyobraźnię, znajdziecie w tomie *Nie czas na zapomnienie*. Wplotłam je w moją fikcyjną historię jak w... warkocz. Tak samo zresztą jak i własne wiersze.

Inspiracją do książki była dla mnie także rozmowa z ambasadorem Rzeczypospolitej Polskiej w Bośni i Hercegowinie, panem Andrzejem Krawczykiem, z którym poznała mnie Agata.

Pan ambasador, dyplomata i historyk, dowiedziawszy się o mojej „Sadze Bałkańskiej”, spytał, po której ze stron konfliktu opowiedziałam się w powieściach. Odpowiedziałam, że po żadnej, bo z założenia moja saga ma mieć wydźwięk antywojenny. Wtedy pan ambasador uśmiechnął się do mnie i uraczył mnie krótką anegdotą, jak to czasem jednego dnia spotyka się na kawie najpierw z Muzułmaninem, potem z Serbem i w końcu z Chorwatem. Z każdym z nich rozmawia o tych samych faktach, jednak ma wrażenie, że słyszy trzy różne historie, bo każda ze stron to samo zdarzenie interpretuje zupełnie inaczej.

I pewnie pan ambasador ma rację.

Pisząc o wojnie w Bośni, nie jest łatwo zachować obiektywizm. Ja jednak w powieści starałam się unikać interpretacji zdarzeń historycznych, gdyż moim celem było przede wszystkim unaocznienie losów jednostki wplątanej wbrew swojej woli w dziejowe zajścia.

Trzeba też pamiętać, że mimo iż inspiracją były dla mnie prawdziwe historie i w książce odnoszę się do pewnych faktów historycznych czy wspominam nazwiska autentycznych postaci, to w żadnej mierze nie jest to literatura faktu, a wyłącznie fikcja literacka.

W drugim tomie pragnęłam pokazać, jak wielką moc potrafi mieć miłość oraz ludzka pamięć. Chciałam też, by przy okazji powieść była głosem sprzeciwu wobec coraz bardziej wszechobecnym w naszym życiu nacjonalizmom. Czy mi się to udało? Oceńcie sami.

Pierwszy raz **CHODZIŁAM PO ŚLADACH WŁASNEJ POWIEŚCI**.

Zbieranie materiałów do kolejnych tomów sagi połączyłam z wyprawą śladami moich bohaterów. Pamiętam moment przekroczenia granicy między Chorwacją a Bośnią i Hercegowiną. Przeszedł mnie dreszcz, gdy spojrzałam na wzgórza, wśród których nieco ponad dwadzieścia lat temu toczyły się bratobójcze walki. Wizyta w Sarajewie zrobiła na mnie jeszcze większe wrażenie. W tym pięknym mieście na każdym kroku widać ślady wojny: sarajewskie róże „zdobią” trotuary, ślady po kulach naznaczają mury domów, tablice pamiątkowe – ściany i mosty. Nietrudno więc o wzruszenia.

Moja córka tak bardzo „weszła” w klimat historii o Jasminie i Draganie, że na ścianach korytarzy Teatru Kameralnego 55, gdzie wywieszono są zdjęcia z dawnych spektakli, szukała z zapalem fotografii pary aktorów stworzonej w mojej wyobraźni. Silne emocje towarzyszyły nam w Tunelu Nadziei, a także w odbudowanym z gruzów budynku Vijećnicy, dawnej biblioteki narodowej, w której nie ma już książek, lecz zobaczyć można fotografie z historii Sarajewa i symboliczną wystawę przypominającą o dramatycznych czasach.

Mogłabym pisać jeszcze o wielu innych pamiątkach, które znalazłam wraz z rodziną w Sarajewie, Mostarze i innych miejscowościach, ale pojawiają się one w mojej powieści,

nie będę się więc powtarzać. Zamiast tego usiądę lepiej do pisania trzeciego tomu bałkańskiej sagi, bo wiem, że czekacie na niego niecierpliwie.

PODZIĘKOWANIA

Jak zwykle nie może się obejść bez podziękowań, bo choć praca literata wydaje się zajęciem samotniczym, to na jej rezultat ma wpływ wiele osób. Dlatego pragnę pokłonić się nisko:

Agacie Grabskiej, konsulowi w ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Bośni i Hercegowinie za gościnę w Sarajewie i wszelką życzliwość.

Ambasadorowi Andrzejowi Krawczykowi, Žance, Dubravce, Huseinowi i Tinie za niezwykle ciekawe rozmowy i opowiedziane historie.

Annie Maksimović za konsultację merytoryczną i gotowość do odpowiadania na moje pytania o każdej porze dnia i nocy.

Mojemu tacie Grzegorzowi Walczakowi, cenionemu literatowi, za uwagi do książki, które pomogły mi ustrzec się przed przegadaniem, zbytnią kobiecą czułościowością i innymi pisarskimi grzechami (co oczywiście nie znaczy, że żadnych takich w książce nie dostrzeżecie).

Autorkom, Agnieszce Lingas-Łoniewskiej i Magdalenie Majcher, za piękne rekomendacje na okładkę książki i ich serdeczność. Pisarki te, tak jak i Magdalena Kordel, Izabella Frączyk, Kasia Bulicz-Kasprzak oraz Ewa Bauer, udowadniają, że środowisko literackie nie jest wcale tak podzielone, jak się powszechnie uważa i można w nim odnaleźć wiele osób życzliwych innym.

Za pomoc w promowaniu mojego pisarstwa dziękuję bardzo:

blogerkom: Justynie z „Ona Czyta”, Wioletcie Sadowskiej („Subiektywnie o książkach”), Krystynie Meszce („Literacki Świat Cyrysi”), Karolinie Pająk („Dzosefinn’s Books”), Julicie Sobolewskiej („Polacy nie gęsi i swoich autorów mają”);

autorom strony: www.naszebalkany.pl – Annie i Mateuszowi Mikołajczykom;

drogim administratorom grupy „Miłośnicy powieści Agnieszki Walczak-Chojeckiej” na Facebooku: Annie Piotrowskiej i Katarzynie Chabło;

bibliotekarzom w całej Polsce, którzy polecają moje książki.

Za wszelką życzliwość dziękuję Wydawnictwu Filia oraz niezwykle profesjonalnej redaktorce Krystynie Sadeckiej, która ma wielkie wyczucie słowa, Markowi Baranowi (prawnikowi i założycielowi facebookowego profilu „Czytamy polskich autorów”), Justynie Kowalskiej (mojemu doradcy medycznemu) i Annie Borys-Karwackiej (osobistej czytelniczce testowej), a także mej kochanej rodzinie: mężowi, córce, mamie i tacie.

Na koniec, ale niezwykle nisko, kłaniam się Wam, Wspaniali Czytelnicy. Dziękuję za to, że jesteście, że czytacie moje książki i wzmacniacie we mnie wiarę, że właściwie wybrałam życiową drogę. Z przyjemnością spotkam się z Wami na wieczorach autorskich,

targach książki, na stronie www.walczak-chojecka.pl oraz facebookowym funpage'u! Do zobaczenia też na kartach trzeciego tomu bałkańskiej sagi.

Agnieszka Walczak-Chojecka

Konstancin-Jeziorna, lipiec – grudzień 2016 roku

NOTA O AUTORCE

Agnieszka Walczak-Chojecka jest autorką poczytnych powieści obyczajowych. Zaczęła zajmować się literaturą już w wieku... pięciu lat. Wtedy to ułożyła swój pierwszy wiersz. Później publikowała między innymi w „Poezji” i „Nowym Wyrazie”; pisała też teksty piosenek, współpracując m.in. z Piotrem Rubikiem w początkach jego kompozytorskiej kariery. Ich wspólne utwory wykonywał Emilian Kamiński. Jej artystyczne pasje nie ograniczały się wyłącznie do słowa pisanego. Zagrała jedną z głównych ról w filmie pt. *Grzechy dzieciństwa* oraz śpiewała w awangardowym zespole.

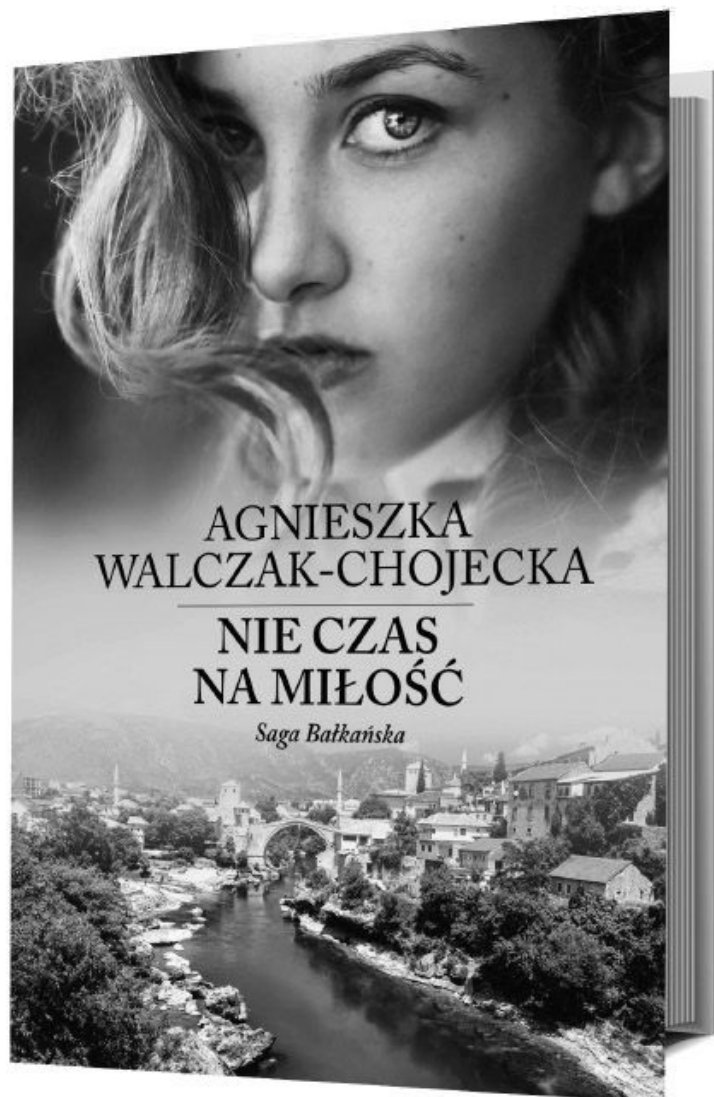
W czasie studiów na Filologii Słowiańskiej UW (w latach 1986–1992) Agnieszka Walczak-Chojecka zajmowała się tłumaczeniami literatury z języka serbskiego, którego nauczyła się podczas czteroletniego pobytu w Belgradzie. Współpracowała z Radiem Belgrad, Programem Trzecim Polskiego Radia, pisała też artykuły do czasopism muzycznych.

Na kolejne dwadzieścia lat Agnieszkę Walczak-Chojecką pochłonęła praca w biznesie. Zajmowała najwyższe stanowiska (m.in. dyrektora marketingu i doradcy Zarządu) w dużych korporacjach. Odnosiła zawodowe sukcesy. Jednak w połowie 2012 roku zakończyła pracę w biznesie i powróciła do twórczości. Owocem jej pasji są powieści wydane nakładem Wydawnictwa Filia: *Dziewczyna z Ajutthai*, *Gdy zakwitną poziomki*, *Włoska symfonia* oraz *Nie czas na miłość* (pierwszy tom „Sagi Bałkańskiej”). Najnowsza powieść autorki pt. *Nie czas na zapomnienie* to drugi tom sagi, a obecnie autorka pracuje już nad kolejnym.

Więcej na: www.walczak-chojecka.pl



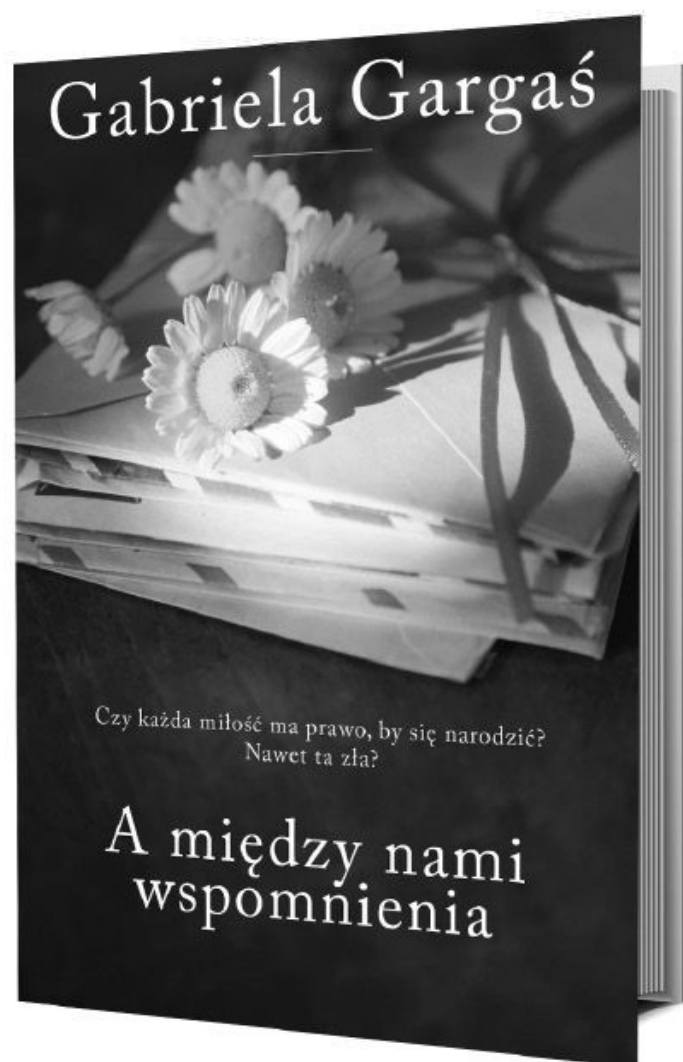
Foto: Joanna Sibilska, Atelier21



ITOM

Sagi Batkańskiej

FILIA



A między nami wspomnienia

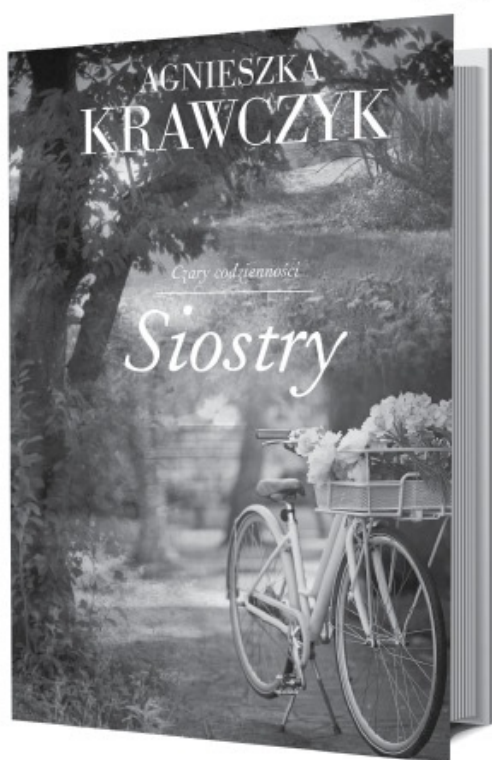
Czy miłość zawsze jest dobra?
Nawet wtedy, gdy kochasz wroga?

FILIA

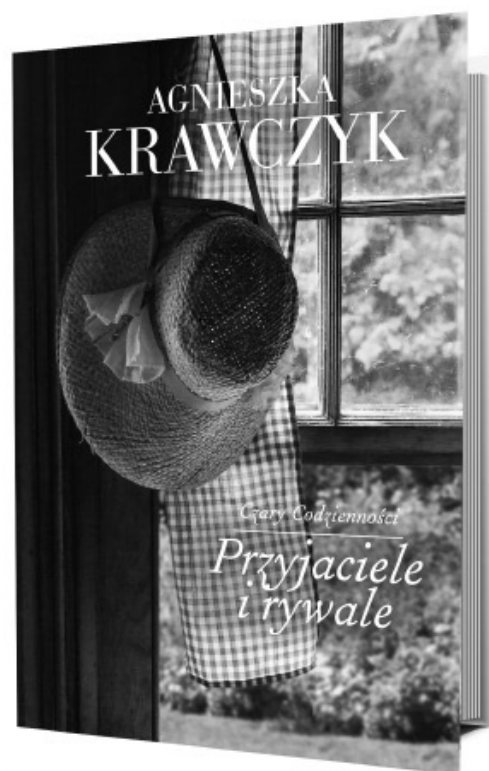
AGNIESZKA KRAWCZYK

Niech uwiodą Was czary codzienności zaklęte
w magii górskiego miasteczka,
położonego wśród lasów i pachnących kwiatami łąk.

SAGA
Czary Codzienności



Tom I
Siostry



Tom II
Przyjaciele i rywale

W przygotowaniu
Słoneczna przystań

FILIA

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Cytat](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

ROZDZIAŁ 26
SAGA BAŁKAŃSKA – PISARSKIE WYZWANIE
PODZIĘKOWANIA
NOTA O AUTORCE

Reklama 1

Reklama 2

Reklama 3

Karta redakcyjna



AGNIESZKA
WALCZAK-CHOJECKA

NIE CZAS
NA ZAPOMNIENIE

Saga Bałkańska



FILIA